

TEATR LĘKÓW ANDRÉ DE LORDE'A

pod redakcją
Tomasza Kaczmarka



ROMANISTYKA
DLA TEATRU



TEATR ŁĘKÓW
ANDRÉ DE LORDE'A



WYDAWNICTWO
UNIwersytetu
ŁÓDZKIEGO

TEATR LĘKÓW ANDRÉ DE LORDE'A

pod redakcją
Tomasza Kaczmarka



WYDAWNICTWO
UNIWERSYTETU
ŁÓDZKIEGO
Łódź 2020

ROMANISTYKA
DLA TEATRU



Tomasz Kaczmarek – Uniwersytet Łódzki, Wydział Filologiczny
Instytut Romanistyki, 90-236 Łódź, ul. Pomorska 171/173

RECENZENT

Anna Ledwina

REDAKTOR INICJUJĄCY

Witold Szczęśny

REDAKTOR WYDAWNICTWA UŁ

Joanna Balcerak

SKŁAD I ŁAMANIE

Munda – Maciej Torz

KOREKTA TECHNICZNA

Leonora Gralka

PROJEKT OKŁADKI

Katarzyna Turkowska

Zdjęcie wykorzystane na okładce: <https://commons.wikimedia.org>
Théâtre du Grand Guignol de Paris..., *Gott mit uns*, drame en 2 actes
de M. René Berton, mise en scène de M. Jack Jouvin (affiche)

© Copyright by Authors, Łódź 2020

© Copyright for this edition by Uniwersytet Łódzki, Łódź 2020

Wydane przez Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego

Wydanie I. W.09876.20.0.K

Ark. wyd. 7,0; ark. druk. 21,25

ISBN 978-83-8142-958-0

e-ISBN 978-83-8142-959-7

<https://doi.org/10.18778/8142-958-0.01>

Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego

90-131 Łódź, ul. Lindleya 8

www.wydawnictwo.uni.lodz.pl

e-mail: ksiegarnia@uni.lodz.pl

tel. 42 665 58 63

Publikacja jest udostępniona na licencji Creative Commons

Uznanie autorstwa-Użycie niekomercyjne-Bez utworów zależnych 4.0 (CC BY-NC-ND)

Serdeczne podziękowania dla Joanny Ciesielki

Spis treści

André de Lorde: anatomia lęku (Tomasz Kaczmarek) / 9

System doktora Smoły i profesora Pierza

(przeł. Katarzyna Kowalik) / 29

Obsesja (przeł. Anita Staroń) / 71

Mała Roque (przeł. Sebastian Zacharow) / 123

Ostatnia tortura (przeł. Joanna Ciesielka) / 261

Telefon (przeł. Tomasz Kaczmarek) / 299

André de Lorde: anatomia lęku

Cierpiący na nerwicę lękową André de Lorde (1871–1942) napisał wiele sztuk, które jeszcze w latach 20. XX wieku przejmowały paryżan szczerym strachem. Jego utwory na stałe weszły do repertuaru Teatru Grand-Guignol (1897–1962), znanego przede wszystkim dzięki mrozącym krew w żyłach widowiskom. Tryskająca krew, wydłubywanie oczu, wbijanie na pal, skalpowanie, przebijanie nożem serca, stały się typowymi składnikami nowego makabrycznego gatunku¹. Owa scena, która szybko zyskała międzynarodową sławę – stając się obok Wieży Eiffla i katedry Notre-Dame jednym z najatrakcyjniejszych miejsc na turystycznej mapie francuskiej stolicy – wyspecjalizowała się w ukazywaniu przerażających obrazów, które miały doprowadzić widza na skraj załamania nerwowego. Na sali czuwał nawet zatrudniony lekarz, gotowy udzielić pierwszej pomocy osobom o wyjątkowo słabych nerwach. Wspomnieć tu trzeba, że liczba omdleń i spazmatycznych reakcji widowni decydowała o sukcesie lub o fiasku

¹ C. Antona-Traversi, *L'Histoire du Grand-Guignol. Théâtre de l'épouvante et du rire*, Paris 1933.

przedstawienia. Publiczność odwiedzała ochoczo paryskie centrum potworności, w którym epatowano okrucieństwem i wyrafinowanymi torturami, aby odreagować autentyczne lęki lub dać upust swym ukrytym, często sadystycznym potrzebom². Niemniej, równolegle do tego spektakularnego i krwawego instrumentarium, które antycypowało pojawienie się np. slash-rów w kinie, bujnie rozwijał się również swoisty „teatr obaw” lub „teatr psychologiczny”, poruszający problemy egzystencjalne. Koncentrował się on na lękach człowieka, ale nie operował już drastycznymi rozwiązaniami scenicznymi, miał bowiem wywoływać niepokój i grozę, pobudzając widza do refleksji natury intelektualnej. W tym kontekście ciekawe wydaje się przybliżenie współczesnemu odbiorcy niepokojących dramatów André de Lorde’a, który uważał, że „większy lęk” można wzbudzić sugestią, a nie poćwiartowanym ciałem czy wnętrznościami ludzkimi na scenie.

Lęk to naturalny stan emocjonalny, który pojawia się w życiu każdego człowieka. W słabym nasileniu jest on nawet korzystny, bowiem pobudza do aktywności, alarmuje przed niebezpieczeństwem, pomaga przetrwać we wrogim otoczeniu. Może zapewnić również rozrywkę, wszak ludzki mózg doskonale rozpoznaje, kiedy boimy się naprawdę, a kiedy napięcie przeżywane w zaciszu domowym stanowi świetną zabawę. Zanim pojawiły się horrory, paryżanie szukali silnych wrażeń w teatrze, w którym okrucieństwo pokazywano w taki sposób, aby widz odniósł wrażenie, że uczestniczy w prawdziwym makabrycznym zdarzeniu. De Lorde zachwycał się tą „nową” estetyką. O ile podobnie jak jego koledzy po piórze pragnął wstrząsnąć publicznością, doprowadzając ją wręcz do rozpacz, o tyle szybko zdecydował się na użycie zupełnie innych środków wyrazu. Zdawał sobie bowiem sprawę, iż ograniczając się jedynie do zapierających dech obrazów, wypeł-

² T. Kaczmarek, *Grand-Guignol – teatr grozy*, „Zagadnienia Rodzajów Literackich” 2018, z. 4, s. 125–131.

nionych popisową wręcz przemocą, nie tylko umniejszałby swoją rolę jako pisarza, ale i sprowadzałby swoją sztukę do funkcji pospolitej rozrywki. Nie chciał więc wzbudzać strachu prymarnym okrucieństwem, które zresztą z czasem bardziej śmieszyło niż napawało lękiem. Szukał innych, bardziej wyszukanych form wyrazu, aby wzburzyć nie tylko fizycznie, ale i psychicznie bywalców Teatru Grand-Guignol. Ów „książę okrucieństwa”, jak zwano dramaturga w artystycznym świecie francuskiej stolicy, stworzył quasi gatunek dramatyczny, „thriller psychologiczny”, który, nie odwołując się bezpośrednio do sadystycznych obrazów, nie mniej porażał paryską publiczność. Pisarz pragnął wywołać niepokój u widza za pomocą tajemniczej i niepokojącej atmosfery, która zapowiadała nieuchronny, tragiczny finał przedstawianej historii³. De Lorde był mistrzem w budowaniu napięcia prowadzącego do paroksyzmu, a jego sztuki porównywano do „ekstacycznych pigułek”⁴, które swą koncentryczną formą miały dosłownie wzbudzać trwogę.

Dzisiaj zupełnie zapomniany, de Lorde był pisarzem niezwykle płodnym i wręcz rozchwytywanym, bowiem pozostawił po sobie blisko 150 tytułów, z których większość doczekała się realizacji scenicznych. Swoją karierę dramaturgiczną rozpoczął jako autor popularnych komedii, a jego utwory święciły triumfy na takich scenach Paryża jak L'Odéon, le Gymnase czy les Bouffes-Parisiens. Jako wytrawny komediopisarz, znający doskonale twórczość Sardou, Labiche'a czy Feydeau, wypracował swoiście zbudowaną intrygę, zdolną pochwycić i utrzymać przez cały czas rozwoju akcji uwagę publiczności, którą z powodzeniem stosował również później w dramatach o tematyce poważnej. Choć w pierwszej fazie swojej działalności pisarskiej de Lorde bawił publiczność, to na początku XX wieku odsłonił jeszcze jedną

.....
³ *La Folie au théâtre, ou l'esthétique de l'épouvante selon André de Lorde*, red. T. Kaczmarek, Łódź 2018, s. 7–36.

⁴ A. Pierron, *Le Grand-Guignol. Le théâtre des peurs de la Belle Époque*, Paris 1995, s. XII–XIII.

możliwość swego warsztatu dramaturgicznego. Przypadkiem zapoznał się z dziełami amerykańskiego twórcy grozy Allana Edgara Poe (1809–1849). Przede wszystkim jedno opowiadanie pt. *System doktora Smoły i profesora Pierza* (ang. *System of Doctor Tarr and Professor Fether*) głęboko poruszyło i zainspirowało Francuza do porzucenia lekkiego tonu na rzecz makabrycznego gatunku. Po lekturze pisarz był tak wstrząśnięty, że w ciągu tylko jednej nocy napisał własną dramaturgiczną wersję noweli⁵, która miała wprowadzić w osłupienie samego André Antoine'a, założyciela naturalistycznego Théâtre Libre.

Nie bez wpływu na zmianę stylu pisarskiego było samo usposobienie dramaturga, który cierpiał na zaburzenia nerwowe. Marzył o karierze aktora, pragnął odgrywać wyłącznie role tragicznych bohaterów. Już za młodu zdradzał skłonności do silnych przeżyć, namiętności prowadzących zwykle do katastrofy poruszającej emocje publiczności. To zamiłowanie do „posepnej estetyki” wynikało z jego traumatycznych doświadczeń z okresu młodości. Od dzieciństwa prześladowała go myśl o śmierci, której panicznie się obawiał, czemu często dawał wyraz w swoich tekstach programowych, jak i, rzecz jasna, w swojej bogatej twórczości. Jego ojciec, który był wziętym lekarzem, próbował wyleczyć chłopca z wrodzonego niepokoju, paradoksalnie powodując u niego jeszcze głębsze urazy psychiczne. Autor *Obsesji* wspomina, że po śmierci babci, nieznoszący sprzeciwu rodziciel zmusił go do obmycia jej zwłok⁶. Mały André często także przebywał wśród cierpiących i chorych (nierzadko nieuleczalnie) pacjentów ojca, co przyczyniało się do jego chronicznego obniżenia nastroju. Te przykre doznania rzutowały na dorosłe życie pisarza, który podejmując w swych dramatach tematykę lęku, próbował niejako rozprawić się z własnymi fobiami. Sztuka, której kośćcem był niepokój, stała się dla de Lorde'a *sui generis* terapią,

⁵ A. Pierron, *Les Nuits blanches du Grand-Guignol*, Paris 2002, s. 69–70.

⁶ A. de Lorde, *Przedmowa do: Théâtre d'épouvante*, Paris 1909, s. 19–20.

wszak „przeżycia lękowe są [...] swoistą *katharsis*, odreagowaniem nieświadomych pragnień i oporów w symbolicznej formie fantastycznych doznań”⁷.

De Lorde nie napisałby, być może, tylu utworów, gdyby nie współpracował z innymi twórcami, a przede wszystkim z psychiatrami, z którymi dzielił zainteresowania ludzką psychiką. Spotkał na swej drodze uznanego psychologa Alfreda Bineta (1857–1911), który w Polsce jest znany przede wszystkim jako twórca pierwszej skali pomiaru inteligencji. Z nim napisał kilka sztandarowych dramatów, gorąco przyjętych przez publiczność Teatru Grand-Guignol⁸. Autor przełożonej na język polski książki *Pojęcia nowoczesne o dzieciach* (1911) zajmował się również chorobami psychicznymi, interesował go teatr, dzięki któremu mógł zilustrować dynamikę zaburzeń psychologicznych. Obydwaj stworzyli swego rodzaju „teatr lęków”, w którym odbijały się obawy Francuzów z przełomu XIX i XX wieku, a przeciętny obywatel drżał na myśl o chorobach dziedzicznych, zwłaszcza wenerycznych, odczuwał także strach przed obłędem, opętaniem, psychozą. Szaleństwo stało się główną osią utworów, które dostarczały silnych emocji paryskiej publiczności. W owej epoce nie obawiano się więc już duchów, upiorów czy sił nadprzyrodzonych, a lękano się bardziej drugiego człowieka. W okresie tzw. *belle époque* coraz intensywniej interesowano się naturą istoty ludzkiej, jej nieznanym, tajemniczym i niepokojącym wymiarem. Odkryto z przerażaniem, że owa natura nie jest tak nieskomplikowana, jak ją opiewał Jean-Jacques Rousseau. Udowodniono, że prawdziwe złe siły wcale nie pochodzą z zewnątrz, a wręcz przeciwnie, istnieją w samym człowieku. Już nie obcy zagrażał społeczeństwu, ale potwór, który perfidnie skrywał się w każdej jednostce, a ta nie miała nad nim żadnej

.....
⁷ J. Mitarski, „Demonologia lęku. Niektóre formy ekspresji i symboliki lęku w dziejach kultury”, [w:] A. Kępiński, *Lęk*, Warszawa 1977, s. 335.

⁸ A. Pierron, *Un savant au théâtre ou les paradoxes d'Alfred Binet*, Genève 1995.

władzy. Wystarczyło go jedynie obudzić, aby ujawnić drzemiącą w najbardziej spokojnym obywatelu bezwzględną bestię. Dlatego też Francuzi nie musieli już lękać się zjaw czy wampirów, zaczęli obawiać się samych siebie. Lęki tego czasu wywołane zostały pracami naukowców, którzy badali ludzką psychikę, a ich spostrzeżenia nie napawały optymizmem. Wspomniany już Binet, ale także Hippolyte Bernheim (1840–1919) czy Théodule-Armand Ribot (1839–1919) ujawniali mroczną, nieuświadomioną i przez to przerażającą, niespójną magmę, swoiste, by użyć metafory Mauriaca, „klębowisko żmij”, którego siedliskiem jest ludzka podświadomość. Odrzucono w ten sposób optymistyczny paradygmat pozytywizmu, zgodnie z którym można było określić naturę człowieka, wyjaśnić dokładnie wszystkie jego pobudki, poddać go drobiazgowemu badaniu empirycznemu. Psychoanaliza ugruntowała jeszcze przekonanie o tragiczności życia ludzkiego będącego ciągle pod presją „dwóch potężnych mechanizmów – ciemnej siły popędów i rygorystycznej bezwzględności społecznych i obyczajowych imponderabiliów”⁹.

W tym kontekście nie tylko psychiatrzy, lecz także pisarze (zainspirowani naukowymi metodami) zaczęli się interesować rozdzieleniem jaźni. Literatura tamtych czasów często podejmowała temat, tyleż modnej, co przerażającej, podwójnej osobowości. Owo rozdzielenie ukazywało bolesne rozszczepienie natury ludzkiej, która była terenem niekończących się walk między dobrem a złem. W słynnej noweli *Doktor Jekyll i pan Hyde* (1886) Louis Stevenson (1850–1894) kreślił portret uznanego lekarza, który, po zażyciu osobliwego eliksiru, z potulnego za dnia obywatela przemieniał się w nocy w bezwzględnego mordercę. Trudno jednak zarzucić medykowi popełnienie morderstwa z zimną krwią, ponieważ nie był sobą, kiedy napadał na przypadkowo napotkanego staruszka. Émile Zola (1840–1902) zaś

⁹ A. Hutnikiewicz, *Od czystej formy do literatury faktu*, Warszawa 1988, s. 23.

zwracał uwagę, że jego bohater z *Bestii ludzkiej* (1888), niejaki Jacques Lantier, który, zgodnie z dziewiętnastowiecznymi przekonaniem, odziedziczył po rodzicach (byli alkoholikami) pociąg do zbrodni, nie był odpowiedzialny za zabójstwo swej kochanki, bowiem nie działał z premedytacją. Autorzy piszący dla paryskiej krwawej sceny również obierali za głównych bohaterów osobników dotkniętych chorobą dezintegracyjną, psychopatów, schizofreników czy sadystów.

W utworach de Lorde'a odnajdziemy przede wszystkim bohaterów szaleńców, którzy nie potrafią ujarzmić swych zbrodniczych skłonności. Nie sposób tu wyliczyć tytuły wszystkich dramatów egzemplifikujących ową tematykę. Wystarczy jednak przywołać niektóre, cieszące się szczególnym uznaniem publiczności, aby przekonać się, na czym polegał powtarzający się w całej twórczości pisarza schemat dramatyczny, mający wywołać niepokój u widza.

Pierwszym sukcesem scenicznym było wystawienie na deskach Grand-Guignol swobodnej adaptacji noweli Poe *System doktora Smoły i profesora Pierza* (1903)¹⁰. Historia pewnego szpitala psychiatrycznego, kierowanego przez pacjentów zbuntowanych przeciw dyrekcji, rozpaliała umysły paryżan. Pewnego dnia umysłowo chorzy zamordowali dyrektora placówki oraz zamknęli cały personel szpitalny w celach, przeznaczonych dla wyjątkowo krewkich „kuracjuszy”. O tych wydarzeniach, do których doszło przed podniesieniem kurtyny, widz dowiaduje się dopiero na samym końcu sztuki. Właściwa akcja rozpoczyna się od wizyty dwóch dziennikarzy, przybywających w nadziei poznania rewolucyjnej metody leczenia zaburzeń psychicznych nazwanej „systemem uspokajania”, którzy, ku swojemu zdziwieniu, bez przeszkód poruszają się po opustoszałym szpitalu psychiatrycznym. Są zaskoczeni pootwieranymi na oścież drzwiami i przerażającymi odgłosami cierpiących „kuracjuszy”, co budzi w nich złe

.....

¹⁰ A. de Lorde, *Théâtre d'épouvante*, s. 219–258.

przecucia. Uspokajają się jednak na myśl o tym, że znajdują się w szpitalu dla osób umysłowo chorych. Zdumiewa ich nagle pojawienie się ekscentrycznego doktora, który podaje się za dyrektora kliniki. De Lorde buduje napięcie na powolnym odkrywaniu prawdziwej osobowości chorego podszywającego się pod lekarza. Początkowo jego obłąd skrywa się za maską normalności, lecz jego mimika, gesty, spojrzenia ujawniają stopniowo niepokojące niuanse charakteru szaleńca. Po dłuższej rozmowie, kiedy młodzi mężczyźni nie zdają sobie jeszcze sprawy z niebezpieczeństwa, pojawiają się nie mniej ekstrawaganccy asystenci medyka, u których od razu można zaobserwować objawy nieźrównoważenia psychicznego. O ile w noweli Poe w scenie tej występują elementy groteski, o tyle w wersji dramaturgicznej dominuje niepodzielnie groza. Atmosfera zagęszcza się, a napięcie wywołane niepewnością rośnie, co prowadzi do punktu kulminacyjnego. Odgłosy zbliżającej się burzy budzą nieoczekiwane irracjonalny lęk chorych, którzy, niczym wprowadzeni w trans, rzucają się na jednego z mężczyzn, pałając osobliwą żądzą wydłubania mu oczu i wyrzucenia go przez okno. Widz Teatru Grand-Guignol musiał być jednak zawiedziony, że nie doszło do iście krwawej sceny, bowiem w ostatniej chwili do pokoju wpadają strażnicy, którzy uwalniają młodych ludzi. Na koniec de Lorde pokazuje zmasakrowane ciało dyrektora, ale ten widok nie porusza już widzów, bowiem intencją autora było nie epatowanie brutalizmem, a utrzymywanie w napięciu odbiorcy, który niecierpliwie oczekiwał rozwiązania akcji. Wytworzenie napięcia miało również prowadzić do odkrycia ważnego problemu natury psychologicznej. Dramatopisarz chciał bowiem pokazać, jak trudno odróżnić człowieka tzw. normalnego od szaleńca, jak płynna jest granica między tzw. „normalnością” a stanem psychotycznym. Wszak widz, podobnie jak dziennikarze, nie miał powodów, by wątpić (przynajmniej na początku), że młodzi mężczyźni rozmawiali z prawdziwym doktorem. Sam pisarz wyjaśniał w swoich artykułach, iż chciał ukazać w tej sztuce nieuchwytną naturę ludzką,

dowodząc, że w sprzyjających okolicznościach każdy z nas może stać się żądnym krwi szaleńcem. Był przekonany, że nawet najbardziej kulturalny człowiek nosi w sobie potwora. Przez całe życie szukał odpowiedzi, jaka jest na przyczyna istnienia tej „złej natury”, ale musiał pogodzić się z faktem, że owa tajemnica nie może być w żaden sposób wyjaśniona. I właśnie ten aspekt, który podnosił także w innych utworach, miał przerażać widzów o wiele bardziej niż widowiskowe sceny tortur, rzezi czy gwałtów.

W *Obsesji* (*L'Obsession*), wystawionej w 1905 roku, główną postacią jest mężczyzna, nie będący w stanie zapanować nad swoimi morderczymi pobudkami. Dramatopisarz opisuje przypadek tragiczny, bowiem protagonista nie popełnia zbrodni z premedytacją. Brzydzi się nią, a nawet się jej obawia, ponieważ nieokiełznana siła pcha go do zabicia własnego syna bez żadnych logicznych powodów. Dramat podzielony jest na dwa akty. W pierwszym, w przeciwieństwie do poprzedniego utworu, widz/czytelnik wydaje się wprowadzony w świat sztuki i poinformowany o jej zasadniczej intrydze. Otóż 32-letni Jean Desmarts udaje się do psychiatry, aby skonsultować się w sprawie członka rodziny, który cierpi na poważne zaburzenie: na widok ostrych przedmiotów, zwłaszcza noża, myśli o zabiciu swojego dziecka. Jednak widz nie jest pewien, czy bohater nie jest chorym, który wymyślił całą historię, by opisać własną makabryczną przypadłość (w obawie przed zatrzymaniem w szpitalu psychiatrycznym), czy przybywa do medyka, szczerze obawiając się o zdrowie psychiczne swego krewnego. Z początku de Lorde skupia uwagę odbiorcy na lekarzu, który nie dba o zdrowie pacjentów, a myśli jedynie o karierze i finansowych apanażach. Kiedy kurtyna opada na koniec części pierwszej, nie wiadomo jeszcze, kto jest prawdziwym bohaterem sztuki. Bywalcy Grand-Guignol przyzwyczaili się do doktorów psychopatów, którzy traktowali swych pacjentów, zdaniem dramatopisarza, „jak laboratoryjne króliki doświadczalne”. Nie mogli więc wykluczyć, że postać medyka, dość szczegółowo zarysowana przez autora,

miała odegrać ważną rolę w przebiegu późniejszych wydarzeń. Niemniej w drugim akcie de Lorde odsłania odbiorcy krok po kroku, iż cierpiącym na zaburzenie jest właśnie mężczyzna, który szukał bezskutecznie pomocy u specjalisty¹¹. Ta ostatnia odsłona, rozgrywająca się już w mieszkaniu bohatera, zbudowana jest na pełnej napięcia akcji, która w punkcie kulminacyjnym prowadzi do mordu. Pierwszą niepokojącą wskazówkę stanowi odkrycie przez żonę Desmaret's'a śladów przemocy na ciele synka. Kiedy jednak siostra chłopca bierze winę na siebie, widz uspokaja się, bowiem nie ma jeszcze powodów sądzić, że ma to jakiś związek z protagonistą. Dopiero przybycie Jeana, który przyznaje się do brutalnego zachowania wobec dziecka, tłumacząc się zdenerwowaniem, ponownie budzi niepewność odbiorcy. W tej części utworu pisarz przedstawia kliniczny wręcz zapis rozpadu osobowości Desmaret's'a. Jego coraz dziwniejsze zachowanie, niezrozumiałe dla jego otoczenia, ukazuje, jak bohater walczy ze swoimi niszczycielskimi instynktami. Kiedy dramaturg wyklada wszystkie karty na stół, widz czeka już niespokojnie na tragiczne zakończenie. Owo napięcie nie wynika bynajmniej stąd, że trudno przewidzieć rozwiązanie, ale stąd, że odbiorca już wie znacznie więcej niż bohaterowie. Niepokój jest jeszcze większy, bo widz nieprzekonany o winie głównego bohatera mógł nawet współczuć mordercy własnego dziecka – wszak ten nie działał świadomie. Był przecież tragicznie naznaczony przez choroby przebyte przez jego ojca. Po zabójstwie syna, do którego dochodzi „za kulisami”, widzimy na scenie Jeana tarzającego się w niewyobrażalnym bólu, co podkreśla raz jeszcze, że nie działał, kierując się chłodną kalkulacją. W przeciwieństwie do współczesnego horroru, będącego swoistą „grą satysfakcji”, nie mamy tu do czynienia z oczywistym, może za

.....

¹¹ Choć utwór ten nie skupia się na krytyce lekarzy, to jednak dramaturg wykorzystuje okazję, żeby przedstawić doktora w nieprzychylnym świetle. Zadufany w sobie, nie był w stanie rozpoznać u mężczyzny choroby psychicznej.

wyjątkiem lekarza, podziałem na dobre i złe postacie. O wiele łatwiej identyfikować się z bohaterem pozytywnym, który w ostateczności „przeważa nad zagrażającym mu Innym”¹². De Lorde ponownie straszy, poruszając problemy natury psychologicznej i skłaniając tym samym widzów do refleksji.

Także w sztuce *Mała Roque* (*La Petite Roque*), która miała swoją premierę w 1911 roku w Teatrze Ambigu, protagonista nie panuje nad swoimi krwiożerczymi instynktami. Analogicznie do poprzedniego utworu, Bernard, mer pewnej gminy w Normandii, nie jest klasycznym degeneratem, który czyha na swoje ofiary i rozważa perwersyjne scenariusze zadawania im tyleż lubieżnych, co śmiertelnych męczarni. Przeciwnie, jest lubianym i szanowanym obywatelem o delikatnej konstrukcji fizycznej i psychicznej. Do zabójstwa dochodzi pod wpływem podniecenia seksualnego oraz żaru lejącego się z nieba. Za pretekst do napisania utworu posłużył dramatopisarzowi tekst Maupassanta o tym samym tytule. Akt pierwszy, stanowiący dość długą ekspozycję z epizodami pozornie nie mającymi nic wspólnego z głównym wątkiem, wydaje się przygotowywać widza do odbioru swoistego thrillera. Od początku wiadomo, że po okolicy krąży wyjątkowo brutalny gwałcieł, przed którym rodzice przestrzegają swoje córki. Wszystkie postacie narzekają na nieznośny skwar, który źle wpływa na ich samopoczucie. Pisarz gmatwa intrygę i kieruje uwagę widza na motywy poboczne, by zaskoczyć go zupełnie innym przebiegiem akcji. Na przykład koncentruje się na Césarine, młodej kobiecie ukrywającej przed mieszkańcami swą brzemienność. Wiele wskazuje, że to właśnie jej autor powierzył funkcję głównej postaci, lecz, jak się później okaże, występuje ona jedynie raz w dramacie. W ostatniej scenie zaś pojawia się Bernard, który urzeczony powabami młodej chłopki o imieniu Roque zapragnie ją pojąć. Kurtyna opada

.....
¹² Y. Leffler, „Współczesny horror jako gra satysfakcji”, [w:] *Wokół gotycyzmów, wyobrażenia, groza, okrucieństwo*, red. G. Gazda, A. Izdebska, J. Pluciennik, Kraków 2002, s. 45.

w momencie, kiedy mężczyzna idzie za swą ofiarą. Także i tym razem dramaturg wstrzymuje się przed pokazaniem okrucieństwa na scenie, a o brutalnym gwałcie dowiemy się w kolejnej odsłonie z ust lekarza medycyny sądowej. Akt drugi oparty jest na iście Hitchcockowskim napięciu. Bohater przechodzi przez piekło, bowiem dręczy go sumienie: czuje się winny, ale zarazem nie pojmuje swego uczynku. Jednak nikt nie podejrzewa nawet przez chwilę, że przedstawiciel władzy, człowiek o delikatnym usposobieniu, mógłby skrzywdzić drugą osobę, a tym bardziej bezbronną niewiastę. Wyrzuty sumienia nie dają spokoju bohaterowi, który w momentach słabości zdradza się, lecz za każdym razem nikt nie bierze jego słów na poważnie. Kiedy widz jest przekonany, iż po frenetycznym opisie morderstwa zostanie on zatrzymany albo przynajmniej stanie się jednym z podejrzanych, przyjaciele zabójcy wychwalają jego talent oratorski. Są nawet przekonani, że Bernard mógłby z powodzeniem zrobić karierę jako obrońca lub oskarżyciel. W ostatnim akcie protagonista targany poczuciem winy – symbolizowanym przez zjawę zabitej kobiety – postanawia wreszcie wyznać swój nikczemny czyn. Píše list, adresowany do zaprzyjaźnionego prokuratora, w którym skrupulatnie zdaje relację z fatalnego w skutkach zdarzenia. Wyjaśnia, że nie chciał zabić i to splot nieszczęśliwych zbiegów okoliczności popchnął go do zbrodni. Swojej pokojówce nakazuje jeszcze tej samej nocy wrzucić list do skrzynki. Wreszcie zrzucił z siebie ciężar winy i po raz pierwszy od tragicznego incydentu mógł spokojnie położyć się spać. Nazajutrz, niepomny swej skruchy, pragnie żyć i zapomnieć o przeszłości, lecz listonosz zdążył już wyciągnąć niefortunny list ze skrzynki. Na nic się zdadzą prośby, a potem błagania mężczyzny, by poczciwy Médéric oddał mu jego pismo. Napięcie sięga zenitu, a morderca próbuje przekupić pocztowca, lecz ten pozostaje nieugięty. W punkcie kulminacyjnym zrozpaczony Bernard rzuca się z okna swojego mieszkania. Nie miejsce tu, by wykazywać różnice między opowiadaniem Guy de Maupassanta a wersją dra-

maturgiczną de Lorde'a, w obu jednak przypadkach odnajdziemy konwencję koszmaru sennego. „Książę okrucieństwa”, niczym wytrawny psychiatra, wchodzi w psychikę swojego bohatera, by oddać wiernie katusze, przez jakie przechodził. Alfred Binet zwracał przy tym uwagę, że dramatopisarz identyfikował się ze swoimi postaciami. Czytał na głos repliki, przybierał dziwne pozy, niespokojnie gestykulował. Odczuwał taki sam lęk jak jego bohaterowie. Wprowadzanie siebie w ten stan przerażało autora, ale owo posunięcie było bezwzględnie konieczne, by stworzyć makabryczną atmosferę na scenie. Tylko dzięki temu zabiegowi de Lorde mógł być pewny skuteczności swego pisarstwa¹³.

Ostatnia tortura (*La Dernière torture*, 1904)¹⁴ odchodzi od tematyki szaleństwa, aby ukazać zachowanie człowieka w ekstremalnej sytuacji. W utworze tym de Lorde opisuje historię Francuzów okrążonych przez wrogie zastępy rebeliantów chińskich podczas krwawego powstania bokserów (1899–1901). D'Hémelein, szef dyplomacji francuskiej, przebywa na placówce ze swoją ukochaną córką. Po śmierci uwielbianej żony przelewa on wszystkie uczucia na swoje jedyne dziecko. Jego troskliwość, granicząca z nadopiekuńczością, podyktowana jest wyjątkowo słabym zdrowiem Denise. Ojciec pragnie za wszelką cenę chronić ją przed chorobami i wszelkimi niebezpieczeństwami tego świata. Dlatego można zrozumieć jego niepokój o los córki, kiedy dowiaduje się o niechybnym szturmie „dzikich agresorów” na konsulat. Niepokój wzrasta wraz ze zbliżaniem się wojsk przeciwnika i kiedy ma już dojść do bezpośredniego ataku, bohater w akcie rozpacz strzela do córki, aby nie wpadła żywa w ręce bezwzględnych oprawców. To nie śmierć młodej kobiety jest jednak pointą sztuki, lecz rozpacz ojca na wieść, że wdzierający się zbrojnie do ambasady okazali się oddziałami Europejczyków,

.....
¹³ A. Binet, „Le Prince de la Terreur”, [w:] A. de Lorde, *Théâtre de la Peur*, Paris 1919, s. 19.

¹⁴ *André de Lorde et son théâtre de la peur*, red. T. Kaczmarek, Łódź 2019.

przybyłymi im z pomocą. Nie przypadkiem de Lorde umieszcza akcję dramatu w Chinach, bowiem nad Sekwaną, zwłaszcza po stłumieniu insurekcji, postrzegano Azjatów jako wyjątkowo sadystycznych barbarzyńców, którzy poddawali swoje ofiary przemysłnym torturom.

Dynamiczna struktura dramatu zachowuje regułę trzech jedności. Na ograniczonej przestrzeni rozgrywa się pełne napięcia oczekiwanie ataku bokserów na francuską koncesję. Dramatopisarz wzbudza emocje i wywołuje żywiołową reakcję publiczności, opóźniając z premedytacją nadejście niechybnej katastrofy. Wie bowiem doskonale, że oczekiwanie na kataklizm generuje większy lęk niż jego pojawienie się w całej okazałości. Wielu żołnierzy, którzy przeżyli hekatombę I wojny światowej, wspominało trudne do zniesienia, niekończące się chwile wyczekiwania w okopach na rozpoczęcie bitwy. Jeden z nich zwierzył się dramaturgowi, że te momenty „spokoju” były bardziej przerażające niż mordercza walka wręcz z wrogiem: to była prawdziwa tortura. Dlatego też de Lorde przyczynia się do dyskomfortu widza, który w trakcie spektaklu pragnie jedynie, aby wreszcie doszło do i tak nieuniknionego nieszczęścia. Zdobycie koncesji przez Chińczyków oznaczałoby nie tylko niechybną śmierć Europejczyków, ale i pohańbienie ich nietykalności cielesnej. O okrucieństwie Chińczyków miał zaświadczać Kerdrec, żołnierz, któremu udało się przedostać przez nieprzyjacielski kordon i który został poddany okrutnym torturom: zanim skonał, pojawił się na scenie zakrwawiony, z uciętymi dłońmi. To właśnie na lęku przed bezlitosnymi przeciwnikami zbudowana jest dramatyczność sztuki, a wszystkie środki sceniczne służą podtrzymaniu niepokoju. Analogicznie do wcześniejszych utworów, de Lorde przejawia dbałość o każdy, wydawałoby się naturalistyczny, a nawet zbędny element, który spełnia w sztuce bardzo ważną funkcję. Otóż dekorum, ograniczone do małej przestrzeni, przyczynia się do stworzenia klaustrofobicznej atmosfery, co miało podkreślać tragiczne położenie Francuzów. Również złowieszcze odgłosy,

płacz kobiet, budzą niepokój wśród żołnierzy, poczuwających się do obowiązku ochraniających najsłabszych: niewiast i dzieci. Dekoracja powinna więc wiernie oddać beznadziejną sytuację, w jakiej znaleźli się oblężeni, a przez to wywołać niepokój u widzów. Ukazanie realistycznej scenerii pozwala odbiorcy wyobrazić sobie siebie w podobnych okolicznościach, ale również sprawia, że identyfikuje się on z bohaterami, przeżywając boleśnie ich dramaty. W tym kontekście, wyzwalając u publiczności silne emocje, pisarz pragnie je niejako „przekroczyć”, by zmusić odbiorców do refleksji natury egzystencjalnej.

Dramat *Telefon* (1901), adaptacja noweli Charlesa Foleya pod tym samym tytułem, jest utworem osobliwym w repertuarze Teatru Grand-Guignol¹⁵. Akcja tej sztuki również została zbudowana na rosnącej linii napięcia dramatycznego. Widz nie uczestniczy bezpośrednio w mrozącej krew w żyłach końcowej scenie morderstwa, a jedynie dowiaduje się za pośrednictwem protagonisty o bestialskim zabójstwie rodziny głównego bohatera. Marex musi udać się pilnie do Paryża. Pozostawia swoją żonę, synka i służącą w Normandii, w położonej na uboczu posiadłości, wynajętej na wakacje. W akcie pierwszym bojaźliwa niania nie czuje się komfortowo pod nieobecność pana domu: obawia się właściwie wszystkiego, widzi tajemnicze cienie, przeraża ją grobowa cisza. Nastrój niepokoju udziela się także Marcie, żonie Marexa, która w chwili niebezpieczeństwa nie zawaha się skontaktować z mężem za pośrednictwem nowego wynalazku technicznego, jakim był w owym czasie telefon. Podobnie jak w przywołanych wcześniej utworach, de Lorde od początku tworzy atmosferę potencjalnego zagrożenia, aby przygotować odbiorcę do makabrycznych wydarzeń. Widz nie spodziewa się jednak, że w akcie drugim pisarz przeniesie miejsce akcji ze złowieszczo naznaczo-

.....
¹⁵ Choć utwór ten doczekał się pierwszego wystawienia już 27 listopada 1901 r. w Théâtre-Antoine, to odniósł on prawdziwy sukces dopiero w 1922 r. w Teatrze Grand-Guignol, stając się niekwestionowanym „przebojem” krwawej sceny.

nego dworku do luksusowych (symbolizujących oazę spokoju) wewnątrz rezydencji państwa Rivoire, dokąd przybył protagonista. Miły nastrój będzie przerywany ustawicznymi telefonami żony Marexa. Początkowo nic jeszcze nie zapowiada tragicznego przebiegu akcji, jednak kolejne połączenia telefoniczne zdradzają narastające obawy małżonki. Najpierw słyszy ona dziwne odgłosy, które z każdą chwilą zbliżają się do domu, napawając trwogą bezbronne kobiety. Dramatyczność sytuacji rośnie, gdy połączenia często rwą się lub Marex dobrze nie słyszy, co mówi jego żona. W punkcie szczytowym spazmatyczne reakcje zrozpaczonego męża wzmagają napięcie oczekiwania na katastrofę. To w tej części sztuki autor konstruuje z maestrią dramatyczność niepokoju, który z upływem czasu narasta aż do paroksyzmu. Niemniej de Lorde przewrotnie opóźnia moment „wybrzmienia”, doprowadzając widzów o słabej konstrukcji psychicznej na skraj rozpacz. Jak było powiedziane wcześniej, wielu ówczesnych znawców teatru twierdziło, że odbiorcę można jedynie przerazić, pokazując mu okrucieństwo w całej jego przerażającej ohydzie. Utwór de Lorde’a zadawał kłam temu przekonaniu, ponieważ, jak pisał Léo Marchès¹⁶, spektakl działał silniej na wyobraźnię publiczności nie poprzez obraz, a poprzez sugestię. Jeśli wierzyć obserwatorom sceny Grand-Guignol, sztuka ta wywoływała u widzów gwałtowne reakcje, nie mniej histeryczne niż te odgrywane przez aktora na scenie.



Sztuki André de Lorde’a na trwałe wpisały się do repertuaru Teatru Grand-Guignol. Choć pisarz nie stronił od pokazywania mrozących krew w żyłach scen przemocy, to jednak nie przykładał do nich szczególnej wagi. Nie są one główną osią akcji

.....
¹⁶ A. Pierron, *Le Grand-Guignol...*, s. 857.

dramatycznej, bowiem występują zwykle na końcu utworów, stanowiąc tym samym rozładowanie emocji. Autor nie pragnął straszyć brutalnością, epatować ohydą odwołującą się do niskich instynktów, skupiał się raczej na wywołaniu u widza niepokoju za pomocą sugestii. Na początku spektaklu odbiorca odczuwał niepewność, nieokreślony dyskomfort, a z upływem czasu pojawiały się coraz silniejsze emocje, powodujące już zmiany fizjologiczne, takie jak uczucie duszności, pocenie się czy przyspieszony puls, mogło również dojść do utraty świadomości. Dramaturg tworzy więc atmosferę, której groza wzrasta z każdą chwilą. Chwyt ten będą później wykorzystywać twórcy dreszczowców. Polegał on przede wszystkim na budowaniu narracyjnego napięcia, które prowadziło do nagłego, nieoczekiwanego finału. Wzburzony widz oczekiwał rozwiązania akcji, natomiast autor wydłużał z premedytacją owo oczekiwanie. W tym kontekście, kiedy akcja dochodziła do punktu kulminacyjnego (czasami z drastycznymi rozwiązaniami inscenizacyjnymi), publiczność przyjmowała z nieukrywaną ulgą nawet najbardziej okrutne zakończenie. W omówionych dramatach można by odnaleźć nawiązania do Arystotelesowskiego modelu tragedii. Niemniej, odbiorca nie przychodził do Grand-Guignol, aby się „oczyścić”, lecz żeby doznać silnych wrażeń umożliwiających mu rozładowanie emocji w bezpiecznej formie scenicznej obserwacji. Nie chodziło jednak dramatopisarzowi o zwykłą rozrywkę, ale o wytrącenie widza z równowagi. Prowokując szok, zmuszał go do refleksji. Strach wzmagał się, bo delegatem zła nie był jakiś potwór, ale utajone siły, drzemające w samym człowieku. Prawdziwy lęk mógł być jedynie wywołany identyfikacją widza z bohaterem.

De Lorde tworzył więc teatr mający zapewnić odreagowanie autentycznych lęków widowni poprzez mechanizm „projekcji/identyfikacji”. Dlatego też dramatopisarz podawał wszystkie, czasami wydawałoby się zbyteczne detale scenograficzne, które ową identyfikację miały zapewnić. Pisarz kładł nacisk na wytworzenie sytuacji lękowej, bardziej probabilistycznej niż realnej,

związanej ze swoistym „niepokojem istnienia”. Można zaryzykować stwierdzenie, że ów teatr antycypował filmowy „thriller egzystencjalny”¹⁷, który poprzez wytworzenie emocjonalnego odbioru miał być punktem wyjścia do konstatacji natury intelektualnej. Pisarzem kierowały nie tylko intencje czysto artystyczne, lecz także katartyczne czy wychowawcze, bowiem stawiał istotne problemy ludzkiej egzystencji, myśli o oddziaływaniu socjotechnicznym. Dzisiaj moglibyśmy powiedzieć, że dramaturg – w przeciwieństwie do zwolenników teorii mimetycznej, według której pokazywanie przemocy i okrucieństwa sprzyja realizacji tych wzorców w życiu – zaliczałby się bezsprzecznie do zwolenników teorii *katharsis*, uważając, że „‘metoda uczestniczenia’, poprzez zaangażowane przeżywanie w roli widza scen przemocy i okrucieństwa, pozwala na rozładowanie gromadzących się napięć, które w ten sposób znajdują swoje ujście”¹⁸.

Literatura

- André de Lorde et son théâtre de la peur, red. T. Kaczmarek, Łódź 2019.
 Antona-Traversi C., *L'Histoire du Grand-Guignol. Théâtre de l'épouvante et du rire*, Paris 1933.
 Binet A., „Le Prince de la Terreur”, [w:] A. de Lorde, *Théâtre de la Peur*, Paris 1919.
 Hutnikiewicz A., *Od czystej formy do literatury faktu*, Warszawa 1988.
 Imieliński K., *Seksiatria*, Warszawa 1990.
 Kaczmarek T., *Grand-Guignol – teatr grozy*, „Zagadnienia Rodzajów Literackich” 2018, z. 4.
 Kletowski P., „Groza jako dominanta kultury audiowizualnej – próba definicji tzw. «egzystencjalnego thrillera»”, [w:] *Anatomia strachu*, red. B. Bozdioch-Bryła, L. Dorak-Wojakowska, Kraków 2017.
La Folie au théâtre, ou l'esthétique de l'épouvante selon André de Lorde, red. T. Kaczmarek, Łódź 2018.

¹⁷ P. Kletowski, „Groza jako dominanta kultury audiowizualnej – próba definicji tzw. «egzystencjalnego thrillera»”, [w:] *Anatomia strachu*, red. B. Bozdioch-Bryła, L. Dorak-Wojakowska, Kraków 2017, s. 389–405.

¹⁸ K. Imieliński, *Seksiatria*, Warszawa 1990, s. 210.

- Leffler Y., „Współczesny horror jako gra satysfakcji”, [w:] *Wokół gotycyzmów, wyobrażenia, groza, okrucieństwo*, red. G. Gazda, A. Izdebska, J. Płucien-
nik, Kraków 2002.
- Lorde A. de, *Théâtre d'épouvante*, Paris 1909.
- Lorde A. de, *Théâtre de la Peur*, Paris 1919.
- Mitarski J., „Demonologia lęku. Niektóre formy ekspresji i symboliki lęku
w dziejach kultury”, [w:] A. Kępiński, *Lęk*, Warszawa 1977.
- Pierron A., *Le Grand-Guignol. Le théâtre des peurs de la Belle Époque*, Paris
1995.
- Pierron A., *Les Nuits blanches du Grand-Guignol*, Paris 2002.
- Pierron A., *Un savant au théâtre ou les paradoxes d'Alfred Binet*, Genève 1995.

System doktora Smoly i profesora Pierza

DRAMAT W JEDNYM AKCIE*

PRZEKŁAD I OPRACOWANIE TEKSTU**

KATARZYNA KOWALIK

.....

* Sztuka André de Lorde'a, której premiera w Teatrze Grand-Guignol odbyła się 3 kwietnia 1903 r., luźno opiera się na opowiadaniu Edgara Allana Poe pt. *The System of Doctor Tarr and Professor Fether* z 1845 r., znanego we Francji w tłumaczeniu Charlesa Baudelaire'a. Autorem polskiego przekładu jest Stanisław Wyrzykowski. Na nim wzorowano się w kwestii przekładu na język polski nazw własnych występujących w sztuce Lorde'a. Na podstawie opowiadania Edgara Allana Poe powstało także libretto Stefana Kisielewskiego do baletu o tym samym tytule, którego prapremiera w Teatrze Wielkim w Warszawie miała miejsce 27 i 28 maja 1988 r. W stosunku do opowiadania amerykańskiego pisarza część wątków i postaci zostało w sztuce pominiętych, dodano natomiast postaci drugiego gościa szpitala i strażników, o których w noweli jedynie wspomniano. Zgodny z estetyką Teatru Grand-Guignol finał sztuki znacząco modyfikuje zakończenie prozatorskiego pierwowzoru historii.

** Tłumaczenia dokonano z języka oryginału na podstawie wydania: A. de Lorde, *Le Système du docteur Goudron et du professeur Plume*, drame en un acte, [w:] *André de Lorde et son théâtre de la peur*, red. T. Kaczmarek, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2019, s. 53–98.

Osoby

DOKTOR SMOŁA, 45 lat

PROFESOR PIERZE, 60 lat

HENRY, 30 lat

JEAN, 28 lat

ROBERT, 25 lat

DOWÓDCA STRAŻY, 40 lat

PIERWSZY STRAŻNIK

DRUGI STRAŻNIK

TRZECI STRAŻNIK

PANI JOYEUSE, 45 lat

PANNA EUGÉNIE, 18 lat

Scena I

Skromnie urządzony gabinet psychiatri¹. W tle wielkie okno z balkonem. Po lewej stronie drzwi; po ich otwarciu widać długi korytarz. Niskie drzwi po prawej stronie – przy nich kominek, na którym znajdują się urządzenia elektryczne, książki, karafka itp. – Biurko w nieładzie. W rogu pokoju biblioteczka. – Letnie popołudnie, mocne słońce.

HENRI, JEAN²

(Cisza na scenie w trakcie podnoszenia kurtyny. Następnie pukanie do drzwi. – Znów cisza. – Ponownie pukanie do drzwi. – Drzwi po lewej stronie powoli się otwierają. – Mężczyzna podnosi głowę, rozgląda się po pomieszczeniu, wchodzi, odwraca się i mówi do osoby idącej za nim.)

HENRI

Nikogo nie ma...

JEAN

wchodząc także do pokoju.

Tutaj też nie!

(Zamyka za sobą odruchowo drzwi.)

.....
¹ Akcja noweli rozgrywa się w ponurym zamczysku.

² W noweli Edgara Allana Poe narrator wchodzi do szpitala sam, a jego towarzyszy odmawia, tłumacząc się najpierw pośpiechem, po czym przyznaje, że boi się osób psychicznie chorych.

HENRI

Wchodzi się tutaj jak do młyna!³

JEAN

Dziwny ten szpital! Wszystkie drzwi są otwarte... Obłąkani mogą uciec, kiedy tylko im się podoba!

HENRI

Zaczekajmy tutaj... Na pewno ktoś przyjdzie...

(Rozglądając się dookoła.)

To musi być gabinet dyrektora...

(Cisza. – Oglądają pokój, biblioteczkę, urządzenia elektryczne.)

JEAN

znienacka, wesoło.

Powiedz mi, mój drogi, czy my przypadkiem się nie pomyliliśmy? Jesteś pewien, że to tutaj? Wyobraź sobie, że przez pomyłkę weszliśmy gdzieś indziej! Byłoby zabawnie!...

HENRI

Tak, byłoby zabawnie...

(Wybuchają śmiechem. Nagle przerywają im przenikliwe, straszliwe krzyki ze środka.)

JEAN

szeptem.

Co to było?

HENRI

słyszysz i kieruje się ku oknu.

To szaleńcy...

.....

³ W wersji oryginalnej „On entre ici comme dans un moulin”, nawiązanie do XIX-wiecznego powiedzenia „entrer comme un âne dans un moulin”, ‘wejść bez pukania i pytania’.

JEAN

Szaleńcy... jesteś pewien?

HENRI

A kto inny?

(Krzyki wzmagają się; straszliwe wrzaski.)

JEAN

Co za krzyki... Ale co się tutaj dzieje?

HENRI

podchodzi do okna i otwiera je.

A co ma się dziać?

JEAN

idzie za nim.

Widzisz coś?

HENRI

podchodzi do balkonu i wychyla się.

Z tego balkonu nic nie widać... wielki dziedziniec na dole...

(Wychyla się mocniej.)

Och! Jak tu wysoko...

(Zamyka okno.)

To na pewno szaleńcy robią taki hałas ... Często tak wrzeszczą...

Zwłaszcza podczas burzy... a właśnie się na nią zanosi...⁴

(Ociera czoło chusteczką.)

JEAN

ociera się znowu i siada na rogu stołu.

Tak myślisz?

.....

⁴ W kolejnych scenach burza wielokrotnie będzie wpływała na zachowanie postaci.

HENRI

Gdybyś tylko ich słyszał, kiedy zagrzmiał!... To straszne!... Nigdy nie byłeś w szpitalu psychiatrycznym?

JEAN

ironicznie.

Taki zaszczyt przypada mi w udziale po raz pierwszy.

HENRI

To bardzo ciekawe!

JEAN

Tak... być może... Mnie na tym nie zależało. Ale w końcu ty chciałeś tu przyjść, ja poszedłem z tobą...

HENRI

Nie pożałujesz tego.

(W tym momencie znów słyszać przenikliwe jak wycie dzikich zwierząt krzyki.)

JEAN

podnosi się przerażony.

I znowu!... Co oni robią tym nieszczęśnikom? Jestem pewien, że strażnicy traktują ich okropnie... Co za wstyd!

HENRI

Ależ nie... Mówię ci, że to burzowa pogoda rozstraja im nerwy... Przede wszystkim musisz wiedzieć, że w tym szpitalu, jako jedynym we Francji, obłąkani żyją prawie na wolności i mają bardzo dobrą opiekę, łagodną, bardzo ludzką...

JEAN

Nie wszędzie tak jest...

HENRI

A tutaj właśnie tak. Zobaczysz...

JEAN

robiąc grymas.

Wolałbym tego nie widzieć!

HENRI

Jesteś śmieszny!...

JEAN

Czego chcesz? Na mnie szaleńcy robią wrażenie... a te krzyki!

HENRI

szydząc z niego.

Tchórz!

JEAN

Nie boję się... ale nie jest to dla mnie przyjemny widok... Biedacy, będziemy ich oglądać jak dziwaczne zwierzęta!... Nie mamy do tego prawa! To tacy sami chorzy, jak inni... trzeba im współczuć bardziej niż innym!...

HENRI

Ależ, mój drogi, co złego się stanie, jeśli pójdziemy ich zobaczyć, jeśli się nimi zajmiemy? Przeciwnie, to właśnie od kiedy się nimi zajmujemy, ich los się nieco poprawił, traktujemy ich tak samo jak innych chorych... Poza tym, to nie dla nich samych tu przychodzę... ale dla doktora, który prowadzi ten szpital... Mówi się, że to wybitny alienista, znany na całym świecie ze swoich książek i eksperymentów. W leczeniu chorych stosuje metodę, system, któremu zawdzięcza spektakularne wyleczenia. Wiesz, jak trudno tu się dostać?

JEAN

Ach! O czym ty mówisz!... Drzwi wejściowe były otwarte na oścież... przeszliśmy schody i cały budynek i nigdzie nie było żywego ducha...⁵

.....
⁵ W wersji oryginalnej „sans rencontrer un chat”, nawiązanie do powiedzenia „Il n’y a pas un chat”.

HENRI

przerywa mu.

... Mam na myśli to, że dyrektor... – wielce oryginalna postać – upoważnia do wejścia jedynie wyjątkowo... Na szczęście mam dla niego list polecający...⁶

(przetrząsa kieszenie.)

Chyba go nie zgubiłem!

(Znajduje.)

Nie, jest... Mam nadzieję, że dzięki niemu zostaniemy przyjęci... że wszystko nam pokażą... Muszę na ten temat napisać co najmniej dwa artykuły do mojej gazety...⁷

JEAN

śmieje się.

Albo trzy... Ach! Podstępny...

(przerywając.)

Ciszej!... Słuchaj... Ktoś idzie!

HENRI

Nareszcie!

(Zdejmują czapki, prostują się. Cisza. Patrzą na siebie zadziwieni.)

JEAN

Nie... Chociaż wydawało mi się, że słyszę jakiś hałas, tam, obok...

(Nadstawiając ucha.)

Ależ tak, tam ktoś jest...

.....
⁶ W noweli Edgara Allana Poe wejście do szpitala umożliwia towarzysz narratora, który kilka lat wcześniej nawiązał znajomość z dyrektorem. Po pożegnaniu przed bramą szpitala bohaterowie nigdy więcej się już nie spotkali.

⁷ Określenie dziennikarskiej profesji postaci i celu wizyty to element wprowadzony przez de Lorde'a.

HENRI

zbliżając się.

Tak myślisz?...

JEAN

popychając go w kierunku drzwi po prawej stronie.

Na pewno...

(Henri przechodzi przez pokój, podchodzi do drzwi i puka.)

GŁOS

zza drzwi.

Halo... Jest tam ktoś?...

HENRI

głośno.

Przepraszam! Do kogo możemy się zwrócić w sprawie...

Scena II

CI SAMI, DOKTOR SMOŁA⁸

*(W tym momencie drzwi otwierają się, Smoła wchodzi z impetem i gwałtownie zamyka za sobą drzwi; w środku pozostaje udekoro-
wane rozetą oficera Legii Honorowej ciało. Nerwowy głos i ruchy.)*

SMOŁA

Kim jesteście? Czego chcecie?

.....

⁸ W opowiadaniu Edgara Allana Poe doktor, który przyjmuje narratora, nosi nazwisko Maillard. Doktor Smoła i profesor Pierze są bohaterami jego wspomnień.

HENRI

wycofując się, podobnie jak Jean.

Przepraszamy pana... Przeszliśmy cały budynek nie spotykając żywej duszy, żeby dowiedzieć się...

JEAN

ciągąc.

... Chcielibyśmy porozmawiać z panem dyrektorem...

SMOŁA

brutalnie.

Z panem dyrektorem? Czego od niego chcecie?

HENRI

Zobaczyć szpital... Jesteśmy tu z polecenia doktora Richarda...

Oto pismo od niego...

(Wręcza mu list.)

SMOŁA

Ach! ach!... Bardzo dobrze... Bardzo dobrze...

(Bierze list, gniecie go i rzuca na stół.)

Widzę, co to jest...

(Śmieje się.)

Chcielibyście uzyskać pozwolenie na zwiedzenie obiektu, zobaczenie szaleńców...

JEAN

Bylibyśmy bardzo szczęśliwi...

HENRI

Czy pan dyrektor jest obecny?

SMOŁA

uroczyście.

Pan dyrektor! Panowie, przecież to ja, a kogo panowie się spodziewali?

HENRI

Proszę wybaczyć! Nie wiedziałem, z kim mam zaszczyt rozmawiać...

SMOŁA

z powrotem bardzo uprzejmie.

Proszę usiąść...

(Wskazuje im krzesła.)

HENRI

Czy my panu przypadkiem nie przeszkadzamy?

SMOŁA

Absolutnie, panowie, absolutnie... Jestem do panów całkowitej dyspozycji.

HENRI

Dziękujemy panu...

JEAN

Jest pan naprawdę uprzejmy...

(Jean i Henri siadają. Smoła zasiada w fotelu za biurkiem z zarożumiałą miną, odwraca się.)

SMOŁA

Słucham panów...

HENRI

Otóż, panie dyrektorze, jeżeli jest pan tak uprzejmy... Wiemy, jak niewielu szczęśliwców zostało przez pana upoważnionych do zobaczenia z bliska zarządzanej przez pana od lat z takim powodzeniem placówki...

SMOŁA

powtarza.

Od lat!...

HENRI

Jestem dziennikarzem „Dziennika Paryskiego”, podobnie jak mój przyjaciel, Jean Valmont, i chciałbym, gdyby pan pozwolił, sporządzić nieco notatek na temat pana szpitala, chorób, którymi się pan zajmuje, i gdyby nie sprawiło to panu kłopotu, chciałbym uzyskać informacje na temat pana, pana prac, pana metody leczenia, pana sławnego systemu...⁹

SMOŁA

powtarza.

Mojego systemu!

JEAN

Bylibyśmy bardzo zobowiązani, gdyby wyświadczył nam pan tę przysługę...

HENRI

wyjmując z kieszeni, tak samo jak Jean, notes i ołówek.

... Podobnie jak czytelnicy naszego dziennika...

SMOŁA

z wielką emfazą.

Panowie, bardzo mi pochlebia... że wpadli panowie na pomysł, by złożyć mi wizytę i że zainteresowali się panowie tak droгим mi dziełem, któremu poświęciłem całe moje życie, odkąd tu przybyłem... System, o którym panowie mówili... – i który kosztował mnie tyle zmartwień i problemów!... – jest rzeczywiście moim pomysłem... Sądzę, że wywiera wielki wpływ na umysł obłąkanych... (*Z rosnącą emfazą.*)

Ach! Panowie, obłąkani!... Kto zdoła wyrazić ich cierpienia, ich nędzę! Dotąd traktowano ich jak szkodliwe zwierzęta, jak dziwaczne stworzenia, a nie jako chorych.

.....
⁹ W noweli Edgara Allana Poe bohater pojawia się w szpitalu w momencie, w którym omawiany dalej system został już zastąpiony nowym.

(Z coraz większą emfazą.)

Współczujmy im! Leczymy ich! Tęgo chce ludzkość, tak nakazuje nauka!

HENRI

na stronie.

Szarlatan!

SMOŁA

Nie sądzę, że ujmie skromności prostego, odizolowanego od świata uczonego, jeśli powiem panom, że odnotowałem do tej pory bardzo ciekawe przypadki wyleczeń, z których zbieram obserwacje, żeby przedłożyć je Wydziałowi Medycznemu...

(z naciskiem.)

Tak, panowie, Wydziałowi Medycznemu... Mógłbym nawet zacytować...

(w tym momencie słyhać jęki, które wydają się dochodzić z pokoju po prawej stronie. Zatrzymuje się, patrzy w tamtym kierunku, przysłuchuje się.)

Ach! Wciąż go słyszę!...

(Jęki są coraz wyraźniejsze. Podnosi się.)

Przepraszam, panowie...

(Idzie ku drzwiom po prawej stronie i staje przed nimi, wykrzykując na cały głos.)

Ależ ucisz się! przyjacielu!... Kiedy skończą się twoje skargi...

(Jak gdyby nagle komuś odpowiadał.)

Myślisz, że się tym przejmę? To ja tu rządę, słuchajcie... Nie wy! Chcę, żebyście zamilkli!...

(Uderza pięściami w drzwi, a następnie odwraca się uśmiechnięty do Jeana i Henriego, którzy ze zdziwieniem obserwują tę scenę.)

Trzeba do niego mówić w ten sposób... Przepraszam panów, proszę wybaczyć... to tylko biedny szaleniec, którego nie mogę uspokoić...

JEAN

przerażony.

Tam przy panu... jest... szalenie?

SMOŁA

Tak, zamknąłem go tam dla bezpieczeństwa... Och! Nie mogę go zostawić nawet na chwilę. Tylko ja mam na niego wpływ... Jest najbardziej cierpiący i najbardziej niebezpieczny... Tak, panowie, najbardziej niebezpieczny.

(Po chwili.)

Ale o czym to mówiliśmy?

HENRI

Rozmawialiśmy o imponujących rezultatach pana systemu...

(Smoła maszeruje nerwowo po pokoju, podczas gdy Henri robi notatki. Zakłopotany Jean raz za razem rzuca spojrzenie na drzwi po prawej stronie.)

SMOŁA

Ach! Tak... mój system!... Muszą panowie poznać go ogólnie, a może nawet szczegółowo... Bez wątpienia słyszeli panowie o najistotniejszej i najbardziej interesującej części leczenia, którą stosuję wobec chorych... leczenia, które, skądinąd, już działa w całych Niemczech, Anglii, Włoszech, i które rozpowszechni się, mam nadzieję – na całym świecie... Mój system – bo tak określa się go powszechnie, jak gdyby była to, panowie, kwestia praktycznego wynalazku – mój system...

(Z pokoju po prawej stronie wydobywają się nowe jęki. Zatrzymuje się gwałtownie i patrzy w stronę drzwi.)

Znów zaczyna!... Co za zwierzę!...

(Wściekły.)

Niech ten hałas się już skończy!

(Przebiega szybko przez scenę i znika w pokoju po prawej stronie, zamknąwszy za sobą gwałtownie drzwi.)

Scena III

JEAN, HENRI, SAMI

(Po chwili. Dziennikarze patrzą na siebie.)

HENRI

To jest ktoś.

JEAN

Interesujący... inteligentny...

HENRI

Tak, ale jaki z niego szarlatan!... „Mój system”! Jak się tym chełpi!

JEAN

Jest zachwycony, że przyszliśmy zrobić z nim wywiad... Byłeś bardzo złośliwy!

(Słysząc straszliwy krzyk, a później ostry śmiech. Przerażeni dziennikarze powstają. W tej chwili powraca spokojny Smoła. – Jean idzie ku Smole.)

Ale co to było?

HENRI

Co się tam dzieje?

Scena IV

CI SAMI, SMOŁA

SMOŁA

To nic, panowie... To nic...

(Śmieje się.)

Już nam nie przeszkodzi... Uspokoilem go. Co za bydlak! Niech panowie zobaczą, jak mnie podrapał! Ależ nie, spójrzcie! Jaki złośliwy jest ten drab!

(Pokazuje dłonie.)

JEAN

Och! Ależ ma pan pokaleczone dłonie!...

HENRI

Całe podrapane!...

SMOŁA

ocierając się chusteczką.

Och! To nic! Ilu już tu takich widziałem!

JEAN

Tacy chorzy stwarzają duże ryzyko...

SMOŁA

Tak, nie jest łatwo!... Ten chory, bardzo inteligentny, kiedy nie ma kryzysu, cierpi na manię, z której do tej pory nie udało się go uleczyć, mimo że przebywa tu od lat... *(Śmieje się.)*

Chciałby na siłę być lekarzem i zarządzać szpitalem...

(Proponując im leżące na stole papierosy.)

Żywi do mnie wielką nienawiść!... Nie dalej jak pół godziny temu, proszę sobie wyobrazić, udało mu się namówić innych

szaleńców, żeby wszcząć bunt! Oni ogromnie się go lękają i są mu posłuszni jak wodzowi, wpadli do nas znienacka... Chcieli nas uwięzić w swoich izolatkach. Mieliśmy wiele kłopotu z tym, żeby zaprowadzić porządek i przemówić im do rozsądku...

(Wybuchając śmiechem.)

... O ile można w ogóle powiedzieć, że da się szaleńcowi przemówić do rozsądku... To była walka między nimi a nami!...

HENRI

do Jeana.

To były te krzyki, które słyszeliśmy!...

SMOŁA

ciągnie dobrotliwym tonem.

W końcu są zamknięci, i to dokładnie zamknięci... Jeśli chodzi o „Dyrektora”, jak tutaj go nazywają, umieściłem go tutaj...

(Wskazując pokój po prawej stronie.)

Żeby był spokojny... Ale on robi taki hałas!... A ja nienawidzę hałasu!

(Powtarzając dziwnym głosem.)

Tak, panowie, nienawidzę hałasu...

(Po chwili siada.)

Trzeba było ich ukarać bardzo surowo... mimo odrazy, jaką zawsze żywiłem wobec stosowania takich metod w stosunku do chorych...

(Wzruszony.)

To było dla mnie bardzo trudne!...

HENRI

Kazaliście założyć mu kaftan bezpieczeństwa?

SMOŁA

powstając gwałtownie.

Ach! Niech panowie o tym nie mówią!... Po co poruszać ten temat?...

HENRI

zmieszany.

Ale myślałem...

SMOŁA

wściekły.

Kaftan!... Ależ to okropne!... To potworne!... Chcielibyście mnie rozżłościć!...

HENRI

próbuję naprawić swoją gafę.

Wiem, że nie jest pan zwolennikiem tak surowych środków represji...

SMOŁA

Barbarzyńcy... nikczemni!...

JEAN

Ależ, jednak, w niektórych przypadkach...

HENRI

Trzeba je zastosować...

JEAN

Albo wysłać ich pod prysznic...

SMOŁA

uderzając w stół.

Cóż panowie opowiadają!... Prysznic!... Ależ to jeszcze gorsze niż kaftan! Zimna woda, która gwałtownie uderza ciało i głowę...

(Dygocząc.)

Brr! To jakby dolewać benzyny do ognia! Widać, że nie wiecie, o co chodzi!... Ach! Błagam, nie mówmy już o tym.

(Kładzie ręce na głowę, jak gdyby go bolała. Niezręczna cisza. Jean i Henri patrzą na siebie zaskoczeni. Wydają się zadawać sobie pytanie: co mu jest?)

HENRI

po chwili.

Czy mógłby pan dyrektor przedstawić nieco więcej szczegółów na temat stosowanej przez pana metody?...

SMOŁA

nagle staje się znów uprzejmy i spokojny.

Oczywiście, panowie, oczywiście... Przecież po to panowie przyszli...

(W tej chwili otwierają się lewe drzwi i ukazuje się mały, nieśmiało wyglądający staruszek, za którym natychmiast podążają młody mężczyzna i dwie damy; wchodzi pojedynczo powoli, nie mówiąc ani słowa, uśmiechnięci. – Smoła na ich widok przerywa.)

Oto pan Pierze... i pan Robert... Chciałbym ich panom przedstawić... To moi wspaniali współpracownicy i przyjaciele.

(Do wstających dziennikarzy.)

Proszę sobie nie przeszkadzać, panowie.

Scena V

CI SAMI, ROBERT, PIERZE, PANI JOYEUSE, PANNA EUGÉNIE¹⁰

SMOŁA

idąc do nowo przybyłych, gorliwie

Dzień dobry panom... Niech panie wejdą... Proszę się nie bać.

.....
¹⁰ André de Lorde opisuje następująco scenę, która ma się rozegrać: „Każda z postaci za wyjątkiem Smoły i dziennikarzy cierpi na tik nerwowy lub mało rzucającą się w oczy manię. Pani Joyeuse wacha bardzo często kwiat, który trzyma w ręku; panna Eugénie wciąż mruga oczami; Pierze patrzy w dal, błogo się uśmiechając, a Robert trzy- lub czterokrotnie przetrząsa wszystkie kieszenie, jak gdyby coś zgubił, po czym staje nieruchomo jak posąg”.

Ci panowie to dziennikarze, którzy usłyszeli o naszym szpitalu i chcieliby go zobaczyć...

PANI JOYEUSE

kokietując, z różą w ręku, kłania się.

Panowie naprawdę przyszli zobaczyć obłąkanych? To panów interesuje?¹¹

(Dziennikarze uśmiechają się i witają ją.)

SMOŁA

Pozwolą panowie, że przedstawię sławnego profesora Pierza, mojego wspańskiego przyjaciela i wybitnego współpracownika...

PIERZE

kłaniając się groteskowo.

Drogi panie dyrektorze!... Panowie...

SMOŁA

przedstawiając dalej.

... Mój przyjaciel, pan Robert... oraz panie... Ależ proszę usiąść... Wkrótce pokażemy panom naszych biednych chorych, jak tylko się nieco uspokoją.

PIERZE

powtarza.

Uspokoją się!...

(Wszyscy siadają.)

.....
¹¹ W noweli rozmowa odbywa się podczas wystawnego obiadu z udziałem dwudziestu pięciu do trzydziestu osób. Kwestie bohaterów mówiących o poszczególnych przypadkach chorych zakładu z przeszłości zostają w sztuce rozdzielone na kilka postaci. Niektóre przypadki zostały pominięte (np. pacjenci utrzymujący, że są czarnikiem, serem kordobańskim lub żabą).

PANI JOYEUSE

Ach! Życzę panom udanej wizyty!... Ja jednak nie mogłabym spojrzeć w oczy szaleńcowi.

JEAN

do Henriego, cicho.

Co ona tu robi?

PANNA EUGÉNIE¹²

do pani Joyeuse.

Co za osobliwa rozrywka!

HENRI

cicho do Jeana, wskazując na Smołę.

To muszą być jego żona i córka... bez wątplenia!...

PANNA EUGÉNIE

Szaleństwo! To straszliwe!...

PIERZE

powtarza.

Straszliwe!...

PANI JOYEUSE

Ach! Panowie, wy, jako uczeni, musicie szybko znaleźć lekarstwo na to nieszczęście ludzkości!

SMOŁA

podniosłym tonem.

Szukamy...

PIERZE

powtarza.

Szukamy!...

.....

¹² W noweli Edgara Allana Poe znane było także jej nazwisko – Salsafette.

JEAN

na stronie, patrząc na Pierza.

Zabawny jest ten stary profesor!

HENRI

pochlebiając Smole.

Ależ panie dyrektorze, dzięki pana systemowi...

JEAN

Licytując się.

Wspaniały system...

HENRI

Cudowny...

SMOŁA

skromnie.

Ach! panowie... nie zasługuję na takie pochwały... w każdym razie nie ja sam... Proszę wspomnieć, że do mojego dzieła przyczynił się mój drogi i wybitny współpracownik, profesor Pierze...

PIERZE

pozdrawiając go groteskowo.

Mój drogi dyrektorze!

SMOŁA

Metoda stosowana w leczeniu chorych – metoda, którą nazwałem systemem *pobłażania* – to mój wynalazek... Jednak metoda ta w niektórych aspektach została znacznie zmodyfikowana przez mojego szacownego przyjaciela...

(Wskazuje profesora Pierza.)

Leczenie, któremu poddajemy chorych, panowie, jest bardzo proste... Nie przeciwstawiamy się żadnej z ich manii. Wręcz przeciwnie. Nie tylko na nie przyzwalamy, ale wręcz do nich zachęcamy... To w ten sposób mogliśmy doprowadzić do pewnej liczby całkowitych wyleczeń... W około sześćdziesięciu procentach.

JEAN

pisząc.

Sześćdziesięciu procentach?

HENRI

także zapisuje.

Naprawdę, takie są proporcje?

SMOŁA

Absolutnie!... Nie ma argumentu, który przemawiałby do osłabionego rozumu obłąkanego tak skutecznie, jak *reductio ad absurdum*... Mieliśmy na przykład chorych, którzy uważali się za kurczęta... Ich leczenie było następujące: rozpoznać, zaakceptować ich manię jako fakt pozytywny, i od tego momentu dawać choremu przez cały tydzień pożywienie przeznaczone właśnie dla kurcząt... Dzięki tej metodzie wystarczyło nieco ziarna i żwiru, żeby zdziałać cuda... Ziaren... żwiru!...

(śmieje się.)

Ach! Ach!

(Wszyscy wybuchają śmiechem.)

JEAN

także się śmieje.

Bardzo ciekawe!...

HENRI

tak samo.

To takie zabawne!...

SMOŁA

Ale ten nieporównywalnie do innych ludzki system pociągał jednak za sobą pewne ryzyko... wielkie ryzyko! Niemożliwe jest odgadnąć, przewidzieć zachcianki szaleńców... Nie można im pozwolić wychodzić samodzielnie, bez żadnej kontroli... Szalenie, panowie, może być *uspokojony*, jak to się mówi, przez

pewien czas; wciąż jednak zaburzenia są możliwe... Co więcej, jego spryt jest wręcz przysłowiowy... i naprawdę wielki... Jeśli ma jakieś zamiary, potrafi je zataić z nadzwyczajną hipokryzją.

PIERZE

*powtarza*¹³.

Nadzwyczajną!

HENRI

W tym momencie, panie dyrektorze, ma pan wielu chorych?

SMOŁA

Pół tuzina¹⁴.

JEAN

Tylko?

SMOŁA

Proszę uwierzyć, trzeba ich liczyć potrójnie! Sprawili nam więcej kłopotu niż można byłoby się po ich szóstce spodziewać!...

HENRI

Wśród tej szóstki jest więcej kobiet niż mężczyzn, jak sądzę?

SMOŁA

Wszyscy są mężczyznami... I to bardzo krzepkimi mężczyznami, mogą panów zapewnić! Ha! Ha!

(Wybuchła głośnym śmiechem. Pierze, Robert, pani Joyeuse, panna Eugénie zaczynają się śmiać jeszcze głośniej.)

.....
¹³ Uwaga autora: „W trakcie tej sceny, poczynawszy od kwestii Pierza «Nadzwyczajną!», słyhać w oddali nadciągającą *crescendo* burzę, a na końcu uderzenie pioruna. Aktorzy natomiast muszą poprzez swoją grę wskazywać, że coraz cięższe powietrze źle wpływa na ich nerwy”.

¹⁴ W noweli Edgara Allana Poe – dziesięciu.

JEAN

cicho, na stronie.

Dlaczego oni się tak śmieją?

HENRI

do Smoły.

Zawsze słyszałem, że wśród kobiet jest więcej obłąkanych niż wśród mężczyzn...¹⁵

PANI JOYEUSE

kokieteryjnie.

Ależ co pan mówi?... To stwierdzenie równie fałszywe, jak nieuprzejme dla naszej płci...

HENRI

uśmiechając się.

Rzeczywiście, bardzo panią przepraszam! Ale to nie ja to powiedziałem, to statystyka... a wiadomo, że ona nie jest szarmancka!...

PANI JOYEUSE

Statystyka się myli!... Więcej obłąkanych wśród kobiet niż wśród mężczyzn! Podtrzymywanie tego poglądu to absurd! Czyż nie, drogi panie Pierze?

PIERZE

powtarzając.

Absurd.

PANI JOYEUSE

Nie przeczę, niemal wszystkie kobiety są oryginalne... ekscentryczne... maniaczki!¹⁶... ale stąd do szaleństwa jest daleko! Czyż nie, drogi panie dyrektorze?

.....
¹⁵ Wątek dotyczący przewagi liczebnej kobiet wśród obłąkanych pojawia się w noweli, ale nie wywołuje tak ostrej reakcji bohaterów.

¹⁶ Prawdopodobnie aluzja do hysterii, przypadłości przypisywanej kobietom.

SMOŁA

Całkowicie podzielam pani pogląd, pani Joyeuse.

(Słyszając dziwne nazwisko¹⁷ pani Joyeuse, dziennikarze patrzą na siebie z uśmiechem.)

PANI JOYEUSE

A czy pani, panno Eugénie, podziela moją opinię?

EUGÉNIE

Absolutnie, pani Joyeuse! Trzeba być osłem, żeby sądzić inaczej!

SMOŁA

żywo, śmiejąc się.

Jeśli mowa o osłach, proszę sobie wyobrazić, że mamy tu choro-
go, który wbił sobie do głowy, że jest tym zwierzęciem!

(Robert, który do tej pory nie wypowiedział ani słowa i nie wykonał żadnego gestu, podnosi się gwałtownie i skacze ku dziennikarzom.)

ROBERT

To bardzo kłopotliwy chory!... Trudno nam go okiełznać... Przez
długi czas żywił się tylko ostem... Wciąż był zajęty wierzganiem
kopytami... w taki sposób, panowie, o, tak!

*(Podnosi się i zaczyna wierzgać nogami, wybuchając przy tym
śmiechem; kopie panią Joyeuse.)*

PANI JOYEUSE

podnosi się wściekła.

Panie Robercie, byłabym panu zobowiązana, gdyby się pan po-
wstrzymał... Pana żarty są w wątpliwym stylu... Zniszczył pan

.....

¹⁷ Joyeuse: fr. 'radosna, wesola'.

moją brokatową suknię!... Panowie zrozumieliby doskonale bez tego przedstawienia...

(Siada odwrócona do reszty plecami.)

ROBERT

opadając ciężko na krzesło.

Przepraszam, pani Joyeuse... Absolutnie nie chciałem pani obrazić... absolutnie!

SMOŁA

przerywając mu.

Drogi panie Robercie, mężczyzna, o którym pan mówi, był bardzo chory, ale nie można go porównać do tego, którego wszyscy, oczywiście poza panami, poznaliśmy! Mówię o tym, który uważał się za butelkę od szampana, i który, kiedy mówił, zawsze robił: pam... pam... i psss... psss...

(naśladuje wystrzelający z butelki korek i uderza pięścią w stół tak silnie, że dziennikarze podskakują.)

Jak wystrzelający korek... ha! ha!...

(Wybuchu niepohamowanym śmiechem. Reszta idzie w jego ślady.)

JEAN

po cichu do Henriego.

Drażni mnie ich śmiech!

HENRI

także po cichu.

Ale co im jest?

ROBERT

wciąż zwijając się ze śmiechu.

A Bouvier?...¹⁸

.....

¹⁸ W noweli Edgara Allana Poe nosił nazwisko Boullard.

PIERZE

wybuchając śmiechem.

Ach! tak! Bouvier!

SMOŁA

śmiejąc się głośno.

Bouvier-fryga!... Przeważaliśmy go „fryga”, bo wpadł w manię myślenia, że przemienił się we frygę...

ROBERT

Umrą panowie ze śmiechu, kiedy zobaczą go wirującego jak fryga!... Godzinami obracał się na jednej nodze.

(Podnosi się, kuca, szybko wstaje, udając frygę i śmieje się na cały głos, a później nagle powstaje, jak gdyby wystrzelił ze sprężyny.)

Był tu także Jules Deshoulières, naprawdę ciekawy przypadek... Niech sobie panowie wyobrażą, że uważał się za dynię! I nieustannie naciskał na kucharza, żeby wrzucił go do gorącej wody!

(Powtarza.)

Do gorącej wody, panowie!...Ha! Ha!...

(Opada z powrotem na krzesło, zwijając się ze śmiechu, podobnie jak pani Joyeuse, panna Eugénie, Pierze i Smoła.)

JEAN

cicho do Henriego.

To nie jest naturalne...

HENRI

cicho do Jeana.

Nie, to nie jest naturalne...

(Eugénie podnosi się gwałtownie i idzie do dziennikarzy z dziwną miną, podczas gdy oni, przerażeni, cofają krzesła.)

PANNA EUGÉNIE

Pan Merlin miał przynajmniej bardziej sensowną zachciankę: jego zachcianka była podyktowana zdrowym rozsądkiem i dostarczała przynajmniej przyjemności otoczeniu... Po przemyśleniu odkrył przez przypadek, że zmienił się w koguta; ale jako kogut zachowywał się jak należy... Tak trzepotał skrzydłami!¹⁹

(Naśladuje trzepotanie skrzydeł koguta.)

Jego pianie było cudowne!

(Naśladuje pianie koguta.)

Kukuryku! Kukuryku!...

WSZYSCY

oprócz Smoły, naśladują koguta.

Kukuryku!... Kukuryku!...

HENRI

podnosząc się, cicho do Jeana.

Oni są obłąkani!

JEAN

tak samo.

Co chcesz przez to powiedzieć?...

SMOŁA

podnosząc się z gniewem i waląc w stół.

Panno Eugénie, proszę się powstrzymać. Jeśli nie potrafi się pani zachować przyzwoicie, jak to przystoi młodej damie, proszę wyjść...

WSZYSCY

razem, oprócz panny Eugénie, która ze spuszczoną głową stoi nieruchomo na środku pokoju.

Pan dyrektor ma rację!... Pan dyrektor ma rację!... Pan dyrektor ma rację!...

.....

¹⁹ W noweli Edgara Allana Poe na manię tę cierpiała pani Joyeuse i sama opowiadała o niej w trzeciej osobie.

JEAN

cicho do Henriego.

Chodź, idiemy... Nie mogę na to patrzeć!

HENRI

idzie do doktora Smoły.

Panie doktorze, to nie jest śmieszne!...

(W tej chwili słysząc wyraźnie grzmot.)

SMOŁA

przeżony chwytą go za ramię.

Co to za hałas?...

HENRI

uwalniając się z uścisku.

Ależ to burza...

SMOŁA

wystraszony.

Burza!...

PANI JOYEUSE

przeżona, jęcząc.

Burza!... Ach! Mój Boże!...

(Kryje twarz w dłoniach i chowa się w kącie pokoju, pod fotelem.)

EUGÉNIE

Burza!... Boję się.

(Jęczy także i rzuca się na ziemię na brzuch.)

Ach!...

PIERZE

Burza!... Ukryjcie mnie!... ukryjcie mnie!

(Trzęsąc się i szczękając zębami, znika w kominku z twarzą w palenisku.)

ROBERT

z grymasem przerażenia na twarzy.
Jesteśmy zgubieni!...

(Wspina się jak kot na kominiek, twarzą do szkła. W tym momencie na scenie zapada ciemność, pokój przeszywa błysk, po kilku sekundach rozlega się potężny grzmot. Wszyscy szaleńcy zaczynają krzyczeć. Jean i Henri są jak sparaliżowani, wbici w ziemię, przerażeni.)

SMOŁA

skacząc na stół i gestykulując wśród krzyków.
Cisza!... cisza!... Przyciągniecie tu pioruny... Nakazuję wam zamilczeć!... Kiedy przestaniecie jęczeć! Co wam to da? To ja tu rządę, słuchajcie!... Cisza!...

JEAN

do Henriego.
Uciekajmy! Grozi nam niebezpieczeństwo...

HENRI

do Jeana.
Jedni są bardziej szaleni od drugih!

JEAN

Gdzie my trafiliśmy!

(Przechodzą szybko przez scenę w kierunku drzwi po lewej stronie, kiedy nagle na ziemię zeskakuje Smoła, blokując im drogę.)

SMOŁA

szyderczo.
Nie bójcie się... nie bójcie się...
(Patrzy na drzwi.)
Spokojnie... wszedł... nie bójcie się... trzeba zamknąć drzwi...

(zamyka drzwi na klucz i chowa go do kieszeni.)

Teraz go mamy... mamy piorun!...

(pokazuje Jeana.)

Złapcie go, my go trzymamy... pomóżcie mi!..

(Pierze, Robert i Smoła rzucają się na Jeana.)

Już nam nie ucieknie!...

JEAN

szarpiąc się, rozciągnięty na stole, na który go rzucono.

Zostawcie mnie... Ratunku!...

(Rozpoczyna się walka.)

HENRI

walczy z panią Joyeuse i panną Eugénie, które wskakują na niego i drapią z okrzykami.

Puśćcie tego nieszczęśnika!...

SMOŁA

wskakując na stół i pokazując głowę Jeana.

Czekajcie... Dajcie mi nóż, to wbiję mu go w oko...

(Bierze ze stołu nóż do papieru.)

PIERZE

Tak... wyłupmy mu oko...²⁰

JEAN

próbując się uwolnić.

Ratunku!... Henri!

.....
²⁰ Wyłupywanie oczu, podobnie jak wcześniejsze wbijanie w nie noża, są zgodne z estetyką naturalistycznych horrorów przedstawianych w Teatrze Grand-Guignol.

PIERZE

Leje się krew... Ha! Ha!

(Wybuchu śmiechem.)

HENRI

wciąż walczy z kobietami.

Nędzni szaleńcy!... Ach!...

ROBERT

wskazuje na okno.

Wyrzucmy go przez okno!... Przez okno!...

SMOŁA

otwiera okno.

Tak, przez okno!...

(Podtrzymywany przez Smołę, Roberta i Pierza Jean wyrzywa się, desperacko chwytając zasłon i rozdziera je.)

JEAN

Ratunku!...

(Henri uwalnia się wreszcie z rąk kobiet, które uciekają ze śmiechem na balkon. Biegnie do lewych drzwi i próbuje je otworzyć.)

HENRI

Zamknięte...

(Uderzając w nie pięściami.)

Ratunku! Nikt nie przyjdzie!...

(Krzycząc.)

Ratunku!...

(Powraca do szaleńców, którzy zaciągnęli Jeana na balkon, żeby go z niego wyrzucić. W szarpaninie tłucze się płytka. W tym momencie słychać gwałtowne szarpanie drzwi po lewej stronie i wiele głosów.)

GŁOS

z zewnątrz.

Otwórzcie!... Otwórzcie!...

HENRI

na balkonie, usiłuje oswobodzić Jeana.

Drzwi są zamknięte! Wyważcie je!

GŁOS

z drzwi.

Co się dzieje?... Robercie! Pierze! Smoła! Jesteście tam?...

(Walenie w drzwi.)

Oni nie mogą tu być...

HENRI

z balkonu.

Szybko... ratunku!

JEAN

Jesteśmy uwięzieni przez szaleńców... Ratunku!

(W tym momencie drzwi ustępują i wchodzi kilku strażników. Szaleńcy, przerażeni głosem strażników, puszczają Jeana i roztrzęsieni chronią się w rogu pokoju.)

Scena VI

CI SAMI, DOWÓDCA STRAŻY, STRAŻNICY

DOWÓDCA STRAŻY

wchodząc.

Co się dzieje?

PIERWSZY STRAŻNIK

Poduszą się wzajemnie...

DRUGI STRAŻNIK

skacząc na Pierza i Roberta

A oto oni... Pierze... Robert...

PIERWSZY STRAŻNIK

chwytając Roberta.

I Smoła...

DRUGI STRAŻNIK

chwytając Smołę.

Najbardziej niebezpieczny...

PIERWSZY STRAŻNIK

Ale to nie wszyscy...

DRUGI STRAŻNIK

Reszta uciekła...

DOWÓDCA STRAŻY

Odnajdziemy ich później... Zaprowadźcie ich... Mężczyzn do celi...

Kobiety pod prysznic... Tylko spokojnie... Nie róbcie im krzywdy... to stało się z naszej winy... Teraz będziemy ich lepiej pilnować...

(Prowadzeni przez strażników szaleńcy wychodzą z okrzykami; Pierze śmieje się, Robert udaje wyskakujący korek, a kobiety imitują gdakanie koguta. – Zwraca się do Henriego i Jeana.)

Ale co wy tam robiliście?

(Do Smoły, który kłóci się z dwoma strażnikami.)

Ach! spokojnie, Smoła... bo każę założyć ci kaftan... bądź rozsądny! *(Dostrzegając odznakę Smoły.)*

Och, zostałeś odznaczony? Skąd on to wziął?

(Smoła kłóci się jeszcze bardziej.)

Dalej, zabierzcie go stąd!

SMOŁA

gestykulując, z wściekłością.

Cisza! Cisza!... Nakazuję wam milczeć!... Kiedy skończą się wasze narzekania?... Czemu ma to służyć?... Ja tu rządę, słyszycie?... Ja tu rządę!

(Rzuca się z wrzaskiem na ziemię i atakuje strażników, którzy go chwytają. Gryzie jednego z nich w rękę.

PIERWSZY STRAŻNIK

puszczając Smołę i krzycząc z bólu.

Ach! Ty draniu!... Ugryzł mnie!

DOWÓDCA STRAŻY

pomagając strażnikom go złapać.

Smoła!... Jest coraz gorzej... Będiesz zachowywał się spokojnie?... Chcesz mnie zmusić, żebym cię ukarał? A zatem, kaftan... kaftan!

(Podtrzymywany przez strażników Smoła krzyczy.)

SMOŁA

Jestem szefem, słyszycie? Jestem szefem!

(Jego wrzaski giną w oddali.)

Scena VII

JEAN, HENRI, DOWÓDCA STRAŻY

HENRI

Dobrze! Przybyliście na czas!...

(Wskazując rozciągniętego na krześle Jeana; jego ubrania są porwane, twarz pokrwawiona.)

Wody... szybko...

DOWÓDCA STRAŻY

idąc po karafkę z kominka.

Jak się tu znaleźliście?

HENRI

pomagając Jeanowi wraz z dowódcą straży.

Jesteśmy dziennikarzami... Przyszliśmy zobaczyć szpital...

Wszystko było otwarte...

DOWÓDCA STRAŻY

Wiem... Szaleńcy się zbuntowali! Zamknęli nas w swoich izolatkach... Na szczęście jeden z moich ludzi zdołał uciec i nas uwolnić...

JEAN

Nie mogłem się stamtąd wydostać!

HENRI

Mogli ci wybić oko...

DOWÓDCA STRAŻY

Ale kto was tu przyjął? Kogo spotkaliście?

HENRI

Ten, którego przyprowadziliśmy jako ostatniego...

DOWÓDCA STRAŻY

Smoła?

HENRI

Sądziliśmy, że to dyrektor...

DOWÓDCA STRAŻY

Pozwoliliście mu zatem uciec!... To najbardziej niebezpieczny szaleniec w szpitalu!... To on wszczął bunt...

JEAN

Ależ on ma pięść! Prawie mnie udusił...

DOWÓDCA STRAŻY

Ach! Kiedy dostaje ataku, staje się groźny!...

(W tym momencie wchodzi trzech strażników.)

Scena VIII

CI SAMI, PIERWSZY, DRUGI I TRZECI STRAŻNIK

PIERWSZY STRAŻNIK

Rozkaz wykonany!

DRUGI STRAŻNIK

Może pobiegniemy do miasta, żeby złapać pozostałych?

DOWÓDCA STRAŻY

Och! Nie mogli uciec daleko... Powiadomcie żandarmerię.

(W momencie, kiedy strażnicy chcą się wycofać, powstrzymuje ich.)

Ale powiedzcie... Gdzie jest nasz dyrektor?

(Strażnicy patrzą na siebie.)

PIERWSZY STRAŻNIK

Pan Maillard...

DRUGI STRAŻNIK

To prawda...

TRZECI STRAŻNIK

Uwięzili ich tak, jak nas...

DRUGI STRAŻNIK

Chyba że zdołał uciec...

PIERWSZY STRAŻNIK

I pobiegł do miasta szukać dla nas ratunku...

DOWÓDCA STRAŻY

bardzo zaniepokojony.

Mój Boże! Żeby tylko nic mu się nie stało... Szukajcie... szukajcie wszędzie...

HENRI

wysłuchawszy ich, wychodzi nagle na środek²¹.

Poczekajcie!... Kiedy tu weszliśmy, słyszać było hałas... tam... z boku...

(Pokazuje drzwi po prawej stronie.)

Zapukałem do drzwi... Wyszedł Smoła...

DOWÓDCA STRAŻY

zdziwiony.

Ale jak to!

HENRI

I kiedy rozmawialiśmy z nim, usłyszeliśmy jęki...

wskazując na drzwi.

Dochodzące stamtąd?

.....
²¹ Uwaga autora: „Od tego momentu scena musi być odgrywana bardzo szybko aż do samego końca”.

JEAN

podnosząc się.

Tak! W pewnym momencie wyszedł i dwa razy tam wrócił...

DOWÓDCA STRAŻY

To ciemnia do wywoływania fotografii!

HENRI

Wyszedł z niej cały pokaleczony i zakrwawiony!

DOWÓDCA STRAŻY

przeżony

Ach! mój Boże!

(Henri, ze wzrokiem przykutym do drzwi po prawej stronie, wydaje z siebie nagle krzyk.)

HENRI

Och!...

DOWÓDCA STRAŻY I POZOSTALI STRAŻNICY

Co się dzieje?

HENRI

wskazując na podłogę.

Tam... patrzcie... pod drzwiami!

(Strażnicy zbliżają się.)

JEAN

także się zbliżając.

Te czerwone plamy... przecież to krew!

(Cofają się przerażeni.)

DOWÓDCA STRAŻY

Och! Mój Boże!... a jeśli to był...

(Rzuca się do pokoju po prawej stronie, a za nim strażnicy. – Długa cisza. Henri i Jean są sparaliżowani strachem i wbijają wzrok w podłogę. Wtedy rozlega się przerażający krzyk, a strażnicy wynoszą z pokoju bladą postać z włosami najeżonymi jak w horrorze.)

JEAN
obracając się ku nim.
A zatem?

HENRI
tak samo
Co to?

PIERWSZY STRAŻNIK
zatrzymując ich.
Nie wchodźcie tam...

DRUGI STRAŻNIK
To przerażające!...

DOWÓDCA STRAŻY
oszołomiony.
Niech ktoś wezwie policję... lekarza... To potworne... potworne...

(W tym momencie ukazują się zwłoki dyrektora, ciągnięte przez trzeciego strażnika. Zwłoki są przerażające, okaleczone, rozczłonkowane, cała twarz pocięta jest brzytwą²². – Wszyscy cofają się w obliczu tego przerażającego widowiska, podczas gdy zwłoki są ciągnięte przez scenę, a z daleka słyszać głośne krzyki szaleńców, którzy z powrotem zaczynają się śmiać i śpiewać. – Powoli opada kurtyna.)

.....

²² Zgodnie z estetyką Teatru Grand-Guignol.

Obsesja

DRAMAT W DWÓCH ODSŁONACH*
NAPISANY WE WSPÓŁPRACY Z ALFREDEM BINETEM**

PRZEKŁAD I OPRACOWANIE TEKSTU***
ANITA STAROŃ

-
- * Sztuka miała premierę na scenie Teatru Grand-Guignol 17 maja 1905 r. Jej pełny tytuł to *Obsesja czyli dwie siły* (*L'Obsession ou les deux forces*).
 - ** Alfred Binet (1857–1911), francuski pedagog i psycholog, znany głównie ze względu na prace z dziedziny psychometrii. Autor licznych dzieł z zakresu psychologii eksperymentalnej, a także współautor, z André de Lorde, serii sztuk dotyczących chorób psychicznych.
 - *** Tłumaczenia dokonano z języka oryginału na podstawie wydania: A. de Lorde, *L'Obsession*, drame en deux tableaux en collaboration avec Alfred Binet, [w:] *La Folie au théâtre, ou l'esthétique de l'épouvante selon André de Lorde*, red. T. Kaczmarek, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2018, s. 37–87.

Osoby

JAN DESMARETS, 32 lata

DOKTOR MERCIER, 60 lat, oficer Legii Honorowej

BERNARD, jego sekretarz

LEROY, 70 lat

SŁUŻĄCY

WDOWA DESMARETS, 65 lat

MARTA DESMARETS, 28 lat

PIOTR DESMARETS, 5 lat

MAGDALENA DESMARETS, 8 lat

POKOJÓWKA

GUWERNANTKA

Pierwsza odsłona dzieje się w Paryżu, druga w Melun*.

* Melun to miejscowość położona w departamencie Sekwana i Marna, 41 km na południowy wschód od Paryża.

Odsłona I

Gabinet, w którym przyjmuje znany lekarz psychiatra doktor Mercier. Bogaty wystrój. Po prawej i lewej stronie drzwi. W głębi – kolejne drzwi, prowadzące do drugiego gabinetu; biurko, biblioteczka, duży portret przedstawiający doktora Merciera¹.

Scena I

DOKTOR MERCIER, SŁUŻĄCY

(Po podniesieniu kurtyny scena jest pusta. Niemal natychmiast rozlega się dzwonek, słysząc odgłos zamykanych drzwi i wchodzi doktor, bardzo zaaferowany, z teczką pod pachą, za nim służący.)

DOKTOR MERCIER

oddaje służącemu kapelusz i płaszcz.

Szybko, szybko... Jestem już spóźniony do pacjentów?...

SŁUŻĄCY

patrząc na zegar.

Nie, panie doktorze...

.....

¹ Opis gabinetu doktora Merciera może wskazywać, że mamy do czynienia z człowiekiem zadufanym w sobie.

DOKTOR MERCIER

Mój sekretarz przyszedł?

SŁUŻĄCY

wychodząc.

Tak, panie doktorze...

(Doktor Mercier idzie w głąb gabinetu, otwiera drzwi i woła.)

DOKTOR MERCIER

Bernardzie!...

(Po otwarciu drzwi widać pracującego przy stole młodzieńca. Bernard wstaje i podchodzi do doktora, zamykając za sobą drzwi.)

BERNARD

Mistrzu!...

DOKTOR MERCIER

Kładzie na stole teczkę i wyjmuję z niej papiery.

Właśnie dostałem odbitki swojego artykułu. Niech mi pan jak najszybciej to poprawi!

BERNARD

bierze odbitki.

Oczywiście, mistrzu... A, właśnie! Ktoś chciałby natychmiast się z panem zobaczyć...

DOKTOR MERCIER

Był umówiony? Czy to jakiś pacjent?

BERNARD

Nie...

DOKTOR MERCIER

A więc?...

BERNARD

Chce przeprowadzić z panem wywiad...

DOKTOR MERCIER

Proszę go wprowadzić.

BERNARD

z uśmiechem.

Tylko że... nie wydaje mi się to bardzo interesujące!... To ktoś z „Odgłosów Centrum”²... takiej prowincjonalnej gazetki... która nie ma dużego nakładu...

DOKTOR MERCIER

O! W takim razie nie ma mnie³...

BERNARD

Tak jest, mistrzu.

DOKTOR MERCIER

À propos gazet, niech mi pan przygotuje krótką notkę... informację, że znów wezwano mnie na konsultację w sprawie przypadku księcia Oridina⁴.

BERNARD

Co z nim?

.....
² Fr. „L'Écho du Centre”. Nie wydaje się, aby publikacja o tym tytule istniała w czasach, które prezentuje sztuka. Niemniej autorzy mogli odwoływać się do innych, podobnych tytułów, jak choćby „L'Écho de Paris”. Co ciekawe, dziennik „L'Écho du Centre” powstał w czasach II wojny światowej w regionie Limousin (1943–2019).

³ Lekarz kieruje się tu w sposób widoczny względami kariery. Alfred Binet zdaje się „wyrównywać rachunki ze swoim zawodem” (A. Pierron, *Le Grand-Guignol, le théâtre des peurs de la Belle Époque*, Robert Laffont, Paris 1995, s. 144). Scena ta przypomina dialogi Octave’a Mirbeau *L'illustre écrivain*, które ukazały się na łamach „Le Journal” w październiku i listopadzie 1897.

⁴ Psychiatra specjalizuje się w leczeniu zaburzeń umysłowych wyższych klas, co zapewnia mu wysokie dochody i renomę w kręgach arystokracji.

DOKTOR MERCIER

Bardzo źle. Mania prześladowcza. Ale rodzinie nic nie można wytłumaczyć. Szaleństwo to wciąż wstydliva choroba, do której nie wolno się przyznać⁵.

BERNARD

To niesłychane! Nie tak dawno spotkałem księcia; nigdy bym nie powiedział...

DOKTOR MERCIER

przegląda czasopisma leżące na stole.

Ależ mój drogi, nie zawsze mają to wypisane na twarzach!... To by było zbyt wygodne... Uważa się, że my, psychiatrzy, rozpoznajemy te przypadki od razu... na pierwszy rzut oka... To idiotyczne! Dobrze, jeśli są jakieś widoczne oznaki choroby umysłowej.

(Cisza.)

A więc niech mi pan przygotuje tę notkę... i poprawi odbitki; przed szóstą trzeba je zanieść do „Przeglądu Naukowego”⁶... Dużo jest osób w salonie?

BERNARD

Pięć...

(Wychodzi drzwiami w głębi.)

DOKTOR MERCIER

Dobrze, dziękuję....

(siada za biurkiem, naciska na dzwonek. Pojawia się służący.)

Wprowadź...

(Służący wychodzi. – Pauza. – Wchodzi Jan Desmarets.)

.....

⁵ Niezależnie od krytycznego spojrzenia na lekarza, autorzy wkładają w jego usta opinie o niewątpliwie postępowym charakterze.

⁶ Fr. „Revue des Sciences”. Również w tym przypadku wydaje się, że tytuł jest wynikiem inwencji autorów.

DOKTOR MERCIER

Bardzo proszę, niech pan spocznie...

Scena II

DOKTOR MERCIER, JAN DESMARETS

JAN

siada, mocno poruszony.

Dziękuję, panie doktorze...

DOKTOR MERCIER

W czym problem? Słucham.

JAN

głosem drżącym od emocji, które stara się ukryć.

Panie doktorze, przychodzę zasięgnąć pańskiej opinii w przypadku, który wydaje mi się poważny, bardzo poważny...

DOKTOR MERCIER

przypatruje mu się.

Ach tak? Co panu dolega?

JAN

Spuszcza oczy, zakłopotany.

Nie przychodzę tu we własnej sprawie... Dzięki Bogu, dobrze się miewam... nie potrzebuję pańskiej opieki...

DOKTOR MERCIER

Oby nigdy pan jej nie potrzebował...

JAN

mówi dalej.

Chodzi o mojego krewnego, bardzo bliskiego, niestety...

(nieco się waha.)

Mogę przecież powiedzieć... chodzi o mojego szwagra. Stan jego zdrowia zaczyna nas głęboko niepokoić...

DOKTOR MERCIER

W jaki sposób?

JAN

Od pewnego czasu obserwujemy w nim tak wielką zmianę, że chciałem poprosić...

DOKTOR MERCIER

O zbadanie go?... Jest tutaj?...

JAN

Nie, panie doktorze... szwagier mieszka ze mną pod Paryżem... Jestem z prowincji; przyjechałem do Paryża specjalnie, żeby z panem porozmawiać...

DOKTOR MERCIER

Trzeba było przywieźć go ze sobą...

JAN

Zastanawiałem się nad tym... Ale jak go tu przyprowadzić?... Pod jakim pretekstem?... Byłoby to bardzo trudne! Nie chcemy w żaden sposób go przestraszyć, zanim dowiemy się, co mu dolega...

DOKTOR MERCIER

Czego więc pan ode mnie oczekuje?

JAN

Panie doktorze, chciałbym... – i przede wszystkim dlatego przyjechałem sam – żeby powiedział mi pan bardzo szczerze i bez

owijania w bawełnę, jaka jest natura jego schorzenia i jak bardzo jest poważne...

DOKTOR MERCIER

Powinienem porozmawiać z chorym...

JAN

żywo.

Mogę panu udzielić na jego temat wszystkich informacji, jakich będzie pan potrzebował...

DOKTOR MERCIER

Jak to wszystkich?...

JAN

Wszystkich. Od dzieciństwa żyjemy obok siebie w największej bliskości... Jestem nie tylko jego krewnym, ale i przyjacielem; zwierzał mi się ze wszystkiego, wyjawiał mi wszystko, co go niepokoiło, dręczyło... Wystarczy, że mnie pan przepytą, będzie tak, jakby to on panu odpowiadał.

DOKTOR MERCIER

po chwili ciszy, robiąc notatki.

W jakim wieku jest pański szwagier?

JAN

Po chwili wahania.

Trzydzieści osiem lat...

DOKTOR MERCIER

Jaki zawód wykonuje?

JAN

Jest architektem...

DOKTOR MERCIER

Czy dotąd często chorował?

JAN

Nigdy, panie doktorze. Właśnie to jest niezwykle! Zawsze był zdrow jak ryba, nigdy najmniejszego schorzenia, bardzo odporny... Do tej pory w ogóle nie troszczył się o swoje zdrowie...

DOKTOR MERCIER

To poważny błąd!...

JAN

Ma pan rację... przepracował się... wykończył... Wtedy pojawiły się pewne przypadłości nerwowe... i wpędziły go w przerażający stan... A przecież jest człowiekiem energicznym, potrafiącym się opanować, dzielny z natury.

(ciszej, jakby do siebie samego.)

O tak, bardzo dzielny...

DOKTOR MERCIER

Po chwili ciszy, przestaje pisać.

Mówił pan o przypadłościach nerwowych. Proszę je opisać dokładniej.

JAN

Zmęczenie... całkowita bezsenność, brak apetytu... bardzo schudł, a w dodatku...

(urywa.)

DOKTOR MERCIER

W dodatku?

JAN

Smutek, nagłe napady złości, strach...

DOKTOR MERCIER

Jak to strach?

JAN

Tak... strach... stany lękowe... obawa w związku z pewnymi myślami... dziwnymi myślami... bezsensownymi.

DOKTOR MERCIER

Powiedział panu, o jakie myśli chodzi?

JAN

O tak, panie doktorze, wszystko mi powiedział.

DOKTOR MERCIER

A więc?

JAN

A więc... widok pewnych rzeczy... niektórych przedmiotów... niepokoi go i drażni...

DOKTOR MERCIER

Jakiego rodzaju przedmiotów?

JAN

Cóż... na przykład... noży... Opowiadał mi, że raz – wiele razy – kiedy siedział przy stole z rodziną, odczuwał przerażającą pokusę pochwycenia noża i zadania nim ciosu komuś z otoczenia... Czasami ogarnia go taka *idée fixe*...

DOKTOR MERCIER

Zmyliło mnie to, co pan wcześniej mówił o strachu... Nie mówimy tu o *idée fixe*, ale o impulsie do działania...

JAN

Tak, panie doktorze...

DOKTOR MERCIER

Mówi pan, że zwłaszcza widok noży powoduje w nim tę obsesję...

JAN

To właściwy termin, panie doktorze⁷... obsesję, której stale boi się ulec...

DOKTOR MERCIER

Proszę mi jednak powiedzieć: obsesja tego typu musi mieć konkretny obiekt... zapewne dotyczy w szczególności jednej konkretnej osoby?... Zawsze tak się dzieje w przypadku tego rodzaju choroby... zawsze...

JAN

Cichym, drżącym głosem.

Istotnie, panie doktorze, jest w jego otoczeniu ktoś, komu miałby straszliwą chęć zadać cios.

DOKTOR MERCIER

Któż to jest?

JAN

głęboko poruszony.

Ach! Panie doktorze, właśnie tego nie można pojąć... to potworne... chodzi o jego własne dziecko... ośmioletniego chłopczyka⁸...

DOKTOR MERCIER

Jego syna?

.....

⁷ W tym miejscu pojawia się termin, którego ilustrację stanowi dalszy ciąg wypadków. Obsesja była kluczowym zagadnieniem w sztukach, które de Lorde i Binet poświęcili tematyce szaleństwa. Niezależnie od jej obiektu, zawsze prowadziła do alienacji i szaleństwa. De Lorde twierdził, że wszyscy cierpiemy „w różnym stopniu, na obsesję na punkcie dumy, zdrowia, pieniędzy” (A. de Lorde, „Au pays de la folie”, [w:] idem, *La folie au théâtre*, Fontemoing, Paris 1913, s. XVI). Każdy więc może potencjalnie stać się szaleńcem.

⁸ W opisie postaci chłopczyk ma pięć lat. Ponieważ jednak już wcześniej Jan zawyżył swój własny wiek (nie 32, a 38 lat), można przyjąć, że jest to ciąg dalszy owej strategii kamuflażu.

JAN

Jego syna...

DOKTOR MERCIER

Nieszczęśnik!

(*Cisza.*)

Czy często ogarnia go ta obsesja?

JAN

Od dwóch miesięcy bardzo często. Zdarza mu się spędzać całe dni, całe noce z tą bolesną, okrutną obsesją. Kiedy go ogarnia, biegnie zamknąć się w swoim gabinecie. Spędza tam całe godziny próbując z nią walczyć, pokonać ją. Doszło do tego, że obawia się wracać do siebie, znajduje wszelkie możliwe preteksty, żeby pozostać z dala od domu, po to, żeby nie patrzeć na to dziecko, którego obecność wprawia go w stan niewytłumaczalnej, szaleńczej furii!

DOKTOR MERCIER

A jak go ogarnia owa obsesja? Jak się zaczyna?

JAN

Bez wyraźnych oznak... bez powodu... wtedy, gdy najmniej się tego spodziewa. Nagle zaczyna odczuwać, z tego co mi mówił, silną obawę... jakby zaraz miał upaść, i czuje...

(*chwyta się za czoło.*)

jakby imadło, które ściska coraz mocniej... to przerażające cierpienie!

DOKTOR MERCIER

Nigdy nie mówił beładnie?

JAN

Nigdy.

DOKTOR MERCIER

jakby do siebie samego.

Mamy więc do czynienia z obsesją uświadomioną.

JAN

To poważny przypadek, prawda, panie doktorze? On jest...
(*waha się.*)
szalony... albo wkrótce oszaleje?

DOKTOR MERCIER

Jeszcze nie mogę panu odpowiedzieć.

JAN

bardzo zdenerwowany.

Bardzo pana proszę, niech mi pan powie prawdę, jakakolwiek ona jest... Przyjechałem tutaj, żeby ją usłyszeć... Mnie może pan powiedzieć. Mam do tego prawo. Reprezentuję rodzinę...

DOKTOR MERCIER

sucho.

Ależ powiem panu. Jestem do tego zobowiązany. To kwestia życia i śmierci...

JAN

Jak to?

DOKTOR MERCIER

Ależ tak, pański szwagier ma obsesję na punkcie morderstwa...

JAN

Morderstwa!

DOKTOR MERCIER

Do tej pory udawało mu się powstrzymać, ale któregoś dnia...

JAN

przerażony.

Mógłby zabić... proszę powiedzieć, mógłby zabić?

DOKTOR MERCIER

Zanim się wypowiem, muszę zadać panu ostatnie pytanie. Czy w rodzinie występują wady dziedziczne? Czy rodzice byli zdrowi, bez chorób?... Wszystko od tego zależy... Zaburzenia nerwowe, na które cierpi – nawet jeśli będą wymagały poważnej, długiej kuracji – można całkowicie wyleczyć, pod warunkiem jednak, że nie mają żadnej organicznej przyczyny, że nie są, jak to mówimy, wynikiem stanu degeneracji psychicznej⁹.

JAN

Mogę pana zapewnić...

DOKTOR MERCIER

Czy w rodzinie nie było żadnych alkoholików¹⁰... albo chorych psychicznie?

JAN

próbuje sobie przypomnieć.

Nie, panie doktorze...

DOKTOR MERCIER

Jest pan pewien? Bo to jest rzecz pierwszorzędnej wagi. Dziedziczność, zwłaszcza w przypadku chorób psychicznych, jest nieubłagany, nieuchronnym prawem. Rozumie pan więc powagę mego pytania?...

JAN

Tak, panie doktorze, ale nigdy nie słyszałem, żeby w rodzinie...

.....
⁹ XIX-wieczna medycyna silnie akcentowała rolę dziedziczności. Francuski psychiatra Bénédict Morel był twórcą teorii o dziedzicznym zwyrodnieniu psychicznym (degeneracji psychicznej), w której upatrywał przyczyny chorób umysłowych (B. Morel, *Traité des dégénérescences physiques, intellectuelles et morales de l'espèce humaine*, H. Baillière, Paris 1857). Teoria ta znalazła również odbicie w literaturze, np. w cyklu powieściowym Emila Zoli o rodzinie Rougon-Macquartów.

¹⁰ Alkoholizm był długo uważany za najważniejszą przyczynę zwyrodnienia psychicznego, często prowadzącą do szaleństwa.

DOKTOR MERCIER

O takich rzeczach się nie opowiada; takie rzeczy się ukrywa.

JAN

bardzo zmieszany tą odpowiedzią.

To prawda... ale, panie doktorze, ja znam całą rodzinę szwagra, razem się wychowaliśmy... Jego dziadkowie byli krzepkimi wieśniakami, zmarli ze starości... Jego matka jeszcze żyje... i bardzo dobrze się miewa...

DOKTOR MERCIER

A ojciec?

JAN

Nie żyje.

DOKTOR MERCIER

Na co zmarł?

JAN

zastanawia się.

Nie wiem dokładnie... byłem bardzo młody... zresztą nie mieszkał z nami... rozstał się z żoną... wydaje mi się, że słyszałem od wuja... – tak, chyba tak – że zabrało go zapalenie płuc lub dusznica.

DOKTOR MERCIER

Nie jest pan pewien?

JAN

Tak mi się zdaje. Do tej pory nie ciekawiło mnie to...

DOKTOR MERCIER

Trzeba by mieć absolutną pewność... bez tego o niczym nie mogę przesądzić...

JAN

dziwnym tonem.

W takim razie, panie doktorze, dowiem się... Ma pan rację, takie rzeczy się ukrywa.

(jakby do samego siebie)

Zrobię tak, żeby się dowiedzieć.

DOKTOR MERCIER

Bardzo dobrze. Wtedy przyjedzie pan ponownie i zobaczymy. Ale już teraz mogę pana zapewnić...

(wstaje.)

Że niebezpieczeństwo grozi tylko w jednym wypadku: tym, który panu przedstawiłem. Jeśli mamy do czynienia z degeneratem, synem alkoholika, szaleńca albo epileptyka, rodzina będzie musiała szybko podjąć decyzję. Nie będziecie go mogli przy sobie zatrzymać, bo na pewno zdarzyłoby się nieszczęście.

(wymawia ostatnie słowo z naciskiem.)

JAN

z przerażeniem.

Ale co należałoby wtedy zrobić, co zrobić?

DOKTOR MERCIER

zdecydowanie, ważąc słowa.

Należałoby go zamknąć.

JAN

wstaje pobladły, bliski omdlenia.

Zamknąć!

DOKTOR MERCIER

I to jak najszybciej...

JAN

przytrzymując się krawędzi stołu.

Zamknąć!

DOKTOR MERCIER

Rozumiem pańskie poruszenie¹¹. To decyzja bolesna i trudna dla rodziny. Ale gdyby okazała się konieczna!...

(próbując go pocieszyć.)

Być może nie będziemy do tego zmuszeni... Muszę zbadać chorego...

JAN

bełkocze, w głosie słysząc silne emocje.

Tak... ja... przywiozę go panu, doktorze...

(Chwila ciszy.)

Ile jestem winien?

DOKTOR MERCIER

Pięćdziesiąt franków...

JAN

Wyjmuje portfel i kładzie banknot na stole drżącą ręką.

Proszę.

DOKTOR MERCIER

Dziękuję.

JAN

wychodzi chwiejnym krokiem, z rozpaczą w spojrzeniu.

To ja panu dziękuję... A więc do zobaczenia wkrótce... do zobaczenia...

DOKTOR MERCIER

odprowadza go.

Do zobaczenia¹²...

.....

¹¹ Lekarz opacznie pojmując zachowanie Jana.

¹² Cała scena zawiera liczne wskazówki, świadczące o tym, że to sam Jan jest dotknięty chorobą. Lekarz nie potrafi jednak tego zauważyć, co potwierdza wcześniej wypowiedzianą przez niego opinię, dotyczącą księcia Oridina. André de Lorde pisze: „wszyscy jesteśmy, w mniejszym lub większym stopniu, na granicy szaleństwa” (A. de Lorde, „Au pays de la folie”, s. XVI).

(po wyjściu Jana wraca do biurka i dzwoni. Ukazuje się służący.)
Następny!

*(Służący wychodzi. Doktor siada w fotelu i chowa banknot¹³.
– Kurtyna powoli opada.)*

Odsłona II

Salon w mieszczańskim stylu, na prowincji. Drzwi po prawej i lewej stronie. Biblioteczka, stół, fotele itd... Na kominku – zapalone lampy¹⁴.

Scena I

PANI DESMARETS, MARTA, POKOJÓWKA

(Po podniesieniu kurtyny widać lewe, otwarte drzwi. Dochodzą odgłosy sprzątaney zastawy, ustawiania krzeseł. Skończono kolację. – Wchodzi pani Desmarets, za nią Marta. Pani Desmarets patrzy na zegar ustawiony na kominku w salonie.)

PANI DESMARETS

Wpół do dziewiątej... dopiero!... Ależ dzisiaj szybko poszedł nam posiłek!...

.....
¹³ Te szczegóły pokazują niewątpliwie przywiązanie doktora do pieniędzy, a tym samym pogłębiają krytykę zawodu.

¹⁴ Wskazówki scenograficzne pozwalają na dokładniejsze socjologiczne usytuowanie postaci dramatu.

MARTA

To dlatego, że nie było Jana!...

(Pani Desmarets siada w fotelu blisko stołu, wkłada okulary.)

Czy mama chce, żeby od razu podano jej napar z lipy? Czy też woli mama zaczekać?

PANI DESMARETS

Jeszcze trochę za wcześniej, Martusiu... Za chwilę!... Teraz popracuję dla naszych maleństw. *(Wyjmuje z koszyka ustawionego na stole dziecięce ubranko.)*

Ależ te twoje dzieci niszczą ubrania... Zwłaszcza Piotruś! Co za szatan!

(Pokazuje rozdarte spodnie.)

Zupełnie nowe spodnie!... Widzisz tam grubszą nić?...

MARTA

Szuka, czego trzeba i podaje.

Tak, mamo.

PANI DESMARETS

szyjąc.

Właśnie, czy uprzedziłaś, żeby zostawiono coś do jedzenia dla twojego męża?

MARTA

wstając.

Akurat o tym myślałam!

(dzwoni na służbę.)

PANI DESMARETS

Może wcale tam nie jadł kolacji!

MARTA

Wraca i siada naprzeciwko pani Desmarets.

Często mu się to zdarza... tyle ma projektów na głowie... tyle placów budowy!... Co za ciężka praca! W ogóle już go nie widuję... to takie przykre!

PANI DESMARETS

Moja droga, nie narzekaj... Gdybym ja miała takie mieszkanie jak ty... takiego męża... ależ byłabym szczęśliwa!...

(Przerywa i zaczyna wzdychać.)

MARTA

Podchodzi do teściowej, żeby ją ucałować.

Ach! To prawda, mamusia nie miała tyle szczęścia.

(wchodzi służąca.)

Franciszko, proszę zostawić nakrycie dla pana... I trzymać kolację gotową do podania.

POKOJÓWKA

Dobrze, proszę pani.

(Wychodzi.)

MARTA

Oby tylko nie przysłał nam depeszy, jak już raz się zdarzyło, że nie wróci i zostanie na noc w Paryżu...

PANI DESMARETS

Dzisiaj pojechał do Paryża?

MARTA

Tak... w związku z budową tego domu przy ulicy Vaugirard... podobno to jakaś większa sprawa...

PANI DESMARETS

Szczęściem zdrowie mu dopisuje.

MARTA

Trzeba mieć dobre zdrowie¹⁵, żeby wytrzymać trudy podobnego zajęcia!

.....

¹⁵ Można się doszukiwać celowego zabiegu w owym nacisku na słowo „zdrowie”, podobnie jak w poprzedniej odsłonie powtarzało się słowo „obsesja”. Autorzy zwracają w ten sposób uwagę widza na centralne zagadnienie utworu.

PANI DESMARETS

Cały dzień poza domem, od rana do wieczora... w ciągłym biegu...

MARTA

Włączając się w ton teściowej.

Ledwie ma czas, żeby zjeść!...

PANI DESMARETS

Całe wieczory pracuje nad projektami...

MARTA

Wieczory?!... często całą noc!...

PANI DESMARETS

Nie powinnaś mu na to pozwalać, moja droga...

MARTA

Zna mama swojego syna... Kiedy wbije sobie coś do głowy!

POKOJÓWKA

Wchodzi, niosąc listy i prasę.

Przyniosłam pocztę, proszę pani... Dzieci właśnie wróciły.

MARTA

To dobrze... Niech przyjdą nas uściskać przed spaniem.

(Służąca wychodzi.)

PANI DESMARETS

To dzieci nie było w domu?

MARTA

Dziś było tak gorąco, że wysłałam je na spacer do parku po kolacji, żeby trochę się przewietrzyły...

(Przegląda korespondencję.)

To wszystko dla Jana. A! nie... „Pani Desmarets, wdowa”...

(Podaje list pani Desmarets. Podczas gdy ta go czyta, Marta wstaje i idzie do biblioteki. – Cisza.)

PANI DESMARETS

Odkładając list.

Nic ważnego... Moja dawna służąca, Katarzyna, napisała do mnie... opowiada, co u niej słysząc... (*widząc, że Marta czegoś szuka.*)
Czego szukasz, moja droga?

MARTA

Czegoś do czytania¹⁶...

(*słysząc głosy dzieci.*)

Och! Dzieci przyszły!

Scena II

TE SAME, PIOTR, MAGDALENA, GUWERNANTKA

(*Piotr wchodzi drzwiami w głębi, za nim jego siostra Magdalena i guwernantka.*)

PIOTR

Dobry wieczór, mamusiu...

(*całuje matkę.*)

Dobry wieczór, babciu...

(*Podchodzi do niej. — Magdalena również całuje kolejno matkę i babkę.*)

PANI DESMARETS

Dobry wieczór, mój chłopaczku... Dobry wieczór, Madziu... No i jak? dobrze się bawiliście?

.....
¹⁶ Ta scena nie jest potrzebna dla rozwoju akcji, jej banalność przydaje jednak sztuce realizmu.

PIOTR

O tak, babuniu!...

MAGDALENA

Mamusiu, wiesz, spotkaliśmy małych Durandów...

PIOTR

Bawiliśmy się w kozła¹⁷.

PANI DESMARETS

Bierze go na kolana, przytula i dotyka włosów chłopczyka.

Jesteś spocony...

PIOTR

Ależ nie, babciu...

MARTA

To nierozsądne... Ty też, Madziu, cała jesteś czerwona...

PANI DESMARETS

Wyciera Piotrowi czoło chusteczką.

Tak się rozbawili, że nie będą mogli usnąć...

(Do Piotra, patrząc na jego czoło.)

Zaraz! A co ty masz na czole?

MARTA

Podchodzi szybko.

Skaleczył się?

PANI DESMARETS

Tylko popatrz, Marto!

(do Piotra.)

Co to jest?

¹⁷ Zabawa, której uczestnicy kolejno przeskakują przez siebie jak przez kozioł gimnastyczny.

PIOTR

Spuszcza głowę.

To guz... babciu...

PANI DESMARETS

Właśnie widzę... potężny guz...

MARTA

Dotyka czoła dziecka.

Ale się uderzyłeś! Mój biedny Piotrusiu, musiało cię bardzo boleć...

PIOTR

Nie, mamusiu...

PANI DESMARETS

Jak to nie?

MARTA

Przewróciłeś się?

(do guwernantki.)

Dlaczego nic mi pani nie powiedziała?

GUWERNANTKA

Nic nie zauważyłam...

PANI DESMARETS

Jak to się stało?

MARTA

Kto ci to zrobił?

(Piotr nie odpowiada.)

PANI DESMARETS

Nie baw się w sekrety!...

MARTA

Do Magdaleny.

Wiesz, jak to było? W czasie zabawy?...

PIOTR

żywo.

Tak, mamusiu, w czasie zabawy.

MARTA

Patrzy na niego.

Piotrusiu, coś przede mną ukrywasz, okłamujesz mnie...

PIOTR

Spuszcza głowę.

Ależ nie, mamusiu...

PANI DESMARETS

To bardzo nieładnie!

MAGDALENA

Podchodzi do matki.

Nie krzycz na niego, mamusiu! To moja вина...

PANI DESMARETS

Jak to?

PIOTR

protestuje.

Ależ nie...

MAGDALENA

Wpatruje się w brata z naciskiem, żeby powstrzymać go od zaprzeczenia.

Właśnie że ja... to ja go popchnęłam...

MARTA

Ty, Madziu? Dziecko, mogłaś go poważnie zranić.

PIOTR

Już mnie w ogóle nie boli, mamusiu... Nie krzycz na Madzię...

MARTA

Do Magdaleny, surowo.

Pierwszy raz dowiaduję się, że zachowałeś się agresywnie w stosunku do brata... nie sądziłam, że jesteś do tego zdolna...

MAGDALENA

Podchodzi do matki, przejęta.

Mamusiu...

MARTA

Odpycha ją.

Zostaw mnie!...

(do guwernantki.) Niech pani położy ich spać...

(Całuje czule Piotra.)

Dobranoc, Piotrusiu... odpocznij... Nic ci nie będzie.

PANI DESMARETS

Również go całuje.

Dobranoc, kochanie.

(Do Magdaleny.)

Ty niedobra...

(do guwernantki.)

Kiedy już będzie leżał, proszę lekko rozgrzać nóż i przyłożyć mu do czoła... to niby taki domowy sposób, ale podobno pomaga¹⁸...

(Guwernantka wychodzi na prawo razem z dziećmi.)

Ach te dzieci... ani chwili spokoju...

.....
¹⁸ Ta „domowa metoda” (w oryg. „remède de bonne femme”) jest odwrotna do powszechnie znanej i stosowanej. We francuskim poradniku z końca wieku zaleca się, żeby przyłożyć srebrną monetę w celu zmniejszenia guza. Nie ma jednak mowy o jej rozgrzewaniu. Por. *Remèdes de la bonne femme, encyclopédie générale d'hygiène et de médecine usuelle*, Fayard, Paris 1895–1897.

Scena III

MARTA, PANI DESMARETS, PÓŹNIEJ POKOJÓWKA

MARTA

Madzia jest zawsze taka delikatna... taka dobra dla brata... nic nie rozumiem...

PANI DESMARETS

Wiesz, jak to bywa w zabawie...

(Słuchać dźwięk dzwonka.)

MARTA

rozdrażniona.

Jan przysłał depeszę... Tak jak myślałam...

POKOJÓWKA

wchodzi.

Przyszedł pan Leroy.

MARTA

Wstaje żywo.

Wujaszek!... proś go szybko...

(Pokojówka wychodzi.)

PANI DESMARETS

Co go sprowadza? Rzadko nas ostatnio odwiedza!

MARTA

Dawno u nas nie był...

Scena IV

TE SAME, LEROY

LEROY

Wchodzi, ściska dłonie obu pań.

Dobry wieczór, droga przyjaciółko... Dobry wieczór, Marto... Uff.

Ależ trzeba się do was wspinać!

(siada.)

MARTA

Ze śmiechem.

Ależ wujaszku, nic się nie zmieniło, odkąd byłeś tu ostatnio.

LEROY

Pięć pięter bez windy!... Jak można mieszkać w czymś takim!...

MARTA

To dla dzieci... Jest tu czym oddychać...

PANI DESMARETS

I można się przyzwyczaić...

LEROY

Masując sobie nogi.

Przyzwyczaić się!... Przyzwyczaić!...

MARTA

Co dobrego cię do nas sprowadza?

LEROY

przepraszając.

Wiem, że to nie pora na odwiedziny...

MARTA

Lepiej późno niż wcale... Dlaczego w ogóle się u nas nie pokazujesz?

LEROY

Zawsze się boję, że sprawię kłopot. Jestem tak mało zabawny! Zostaję więc u siebie... A im częściej zostaję, tym większą mam na to ochotę... Jan jest w domu?

MARTA

Jeszcze nie wrócił...

LEROY

Ale wróci?

MARTA

Chyba tak... mam nadzieję...

PANI DESMARETS

Pojechał służbowo do Paryża...

LEROY

Dobrze, poczekam na niego. Mam do niego prośbę: kupiłem kawałek ziemi... Chciałbym na nim zbudować...

MARTA

Źle się składa... Ostatnio jest przytłoczony pracą.

PANI DESMARETS

Nie wie, w co ręce włożyć...

LEROY

Uśmiecha się.

Będzie milionerem!...

MARTA

Ze śmiechem.

Nie tak od razu, wujaszku...

(Słysząc odgłos zamykanych drzwi.)

PANI DESMARETS

Nadstawia ucha.

Cicho... słyszysz!... to drzwi wejściowe.

MARTA

Również nasłuchuje¹⁹.

To musi być Jan.

LEROY

Nie musiałem długo czekać.

PANI DESMARETS

do Marty.

To na pewno on... idź zobaczyć!

MARTA

Wstaje, podchodzi do lewych drzwi i otwiera je.

To ty, Janie?

GŁOS JANA

Zza drzwi.

Tak.

MARTA

Jadłeś?

GŁOS JANA

Tak... jadłem już...

MARTA

Twój wuj przyszedł...

.....

¹⁹ Reakcje kobiet na powrót Jana potęgują nastrój oczekiwania i związanej z nim grozy.

GŁOS JANA

O!... już idę...

(Marta zamyka drzwi.)

PANI DESMARETS

Jadł... Pytanie jak!... Te paryskie restauracje...

MARTA

Psuje sobie żołądek!...

LEROY

Kiedys tego pożałuje!

Scena V

CI SAMI, JAN

(Jan wchodzi, bardzo blady.)

JAN

Dobry wieczór, wujku... Bardzo się cieszę, że cię widzę... właśnie miałem cię prosić o pewną informację.

LEROY

Ja też, chłopcze.

JAN

Całuje żonę i matkę.

Dobry wieczór, Marto... Dobry wieczór, mamoo...

MARTA

Tak późno wracasz! Zatrzymali cię w Paryżu?!

JAN

siada.

Tak... miałem...

(waha się.)

Straszny dzień!

PANI DESMARETS

Musisz być zmęczony...

JAN

Tak... bardzo...

LEROY

A więc interesy dobrze idą?

JAN

Ze spojrzeniem utkwionym w dal.

O tak!... bardzo dobrze... bardzo dobrze...

LEROY

To wspaniale!...

(chwila ciszy.)

PANI DESMARETS

Patrzy na syna.

Wyglądasz na zmartwionego, moje dziecko... Nic przykrego ci się dziś nie przydarzyło?

MARTA

Pokłóciłeś się z inwestorami?

JAN

żywo.

Nie... nie...

(chwila ciszy.)

A jak dzieci? Piotruś... jego skaleczenie?

MARTA

zdziwiona.

Jak to, wiesz, że się skaleczył?

JAN

Oczywiście...

LEROY

pytając.

Piotrusiowi coś się stało?...

PANI DESMARETS

Nic mu nie będzie... miejmy nadzieję...

MARTA

Mocno skrzyczałam Magdalenę...

JAN

A to dlaczego?

MARTA

Bo zachowała się agresywnie w stosunku do brata... zepchnęła go ze schodów...

JAN

Ależ co ty wygadujesz? Przecież to nie ona!... tylko ja.

MARTA I PANI DESMARETS

Patrzą na siebie ze zdumieniem.

Jak to?

JAN

nerwowo.

Tak... Przecież mówię... Dziś rano... ze schodów...

MARTA

Z niepokojem.

Ale dlaczego?

JAN

Przerywa nagle i zastanawia się, co powiedzieć.

Dlaczego?... bo... bo... ostatnio łatwo się denerwuję.

(wstaje i przechadza się nerwowo.)

Schodziłem po schodach, bardzo mi się spieszyło. Piotruś siedział na stopniu... bawił się... Nie chcę tracić czasu, przekraczam go...

Wtedy dla zabawy chwytam rączkami moją stopę... chcę się wyzwolić... myśli, że żartuję, śmiejąc się, trzyma jeszcze mocniej...

Wtedy zdenerwowany, poirytowany, brutalnie go odpycham...

MARTA

Ze smutkiem.

Och! Janie!

JAN

Uderzył główką o stopień... Jeszcze słyszę ten odgłos²⁰... Chciałem go podnieść, pocieszyć, ale od razu uciekł, płacząc. Cały dzień się tym martwiłem... Bardzo mnie to zasmuciło... bardzo...

(Chwila ciszy; patrzy na innych.)

Nie odzywacie się... jesteście zmieszani...

(z niepokojem.)

A więc coś się stało?... zrobiłem mu krzywdę... wielką krzywdę, tak?... Boicie się mi powiedzieć?

MARTA

uspokajająco.

Ależ nie... bądź spokojny.

PANI DESMARETS

Nabił sobie guza... nic mu nie będzie.

MARTA

A ja tak zgromiłam Madzię.

.....

²⁰ Jan nie oszczędza żonie szczegółów wypadku.

PANI DESMARETS

A Piotruś nic nie chciał powiedzieć! Teraz rozumiem, dlaczego!

MARTA

Do Jana.

Idź ich ucałować... idź... najserdeczniej jak potrafisz.

JAN

Idzie w stronę prawych drzwi.

Tak... tak...

PANI DESMARETS

do Leroya.

Ledwo odrósł od ziemi...

(Pokazuje wysokość chłopca gestem ręki.)

A już potrafi się zachować jak bohater...

LEROY

Z uśmiechem.

Od razu bohater!

PANI DESMARETS

Ależ tak, dla takich maluchów... to prawdziwe bohaterstwo.

(Jan podchodzi do drzwi, nagle staje, przeciąga dłońią po czole i chwieje się na nogach. Krzyczy głośno.)

JAN

Ach!

MARTA

Podbiega do niego z matką i wujem.

Co ci jest?

PANI DESMARETS

Źle się czujesz?

LEROY

Podtrzymując go.

Co się stało?

JAN

Nic.

(Po długiej ciszy, z zagubionym wyrazem twarzy.)

Gdzie jesteśmy?

(Rozgląda się wokół siebie.)

MARTA

Jak to! Przecież w salonie...

JAN

Jakby wracając z daleka.

Ach tak!... to prawda...

(Długa cisza.)

LEROY

Usiądź...

(prowadzi Jana do krzesła.)

Powinieneś się czegoś napić...

JAN

Nie...

(siada.)

PANI DESMARETS

Powiedz, co to było?

MARTA

Miałeś zawrót głowy?

JAN

Cicho, bez wyrazu.

Tak... zawrót głowy... to nic takiego... Nie bójcie się... już mi przeszło...

LEROY

Do kobiet.

To przez zmęczenie....

JAN

Tak... to nic poważnego!

MARTA

Twarz masz kompletnie zmienioną!...

(do pani Desmarets.)

Prawda, mamó?

PANI DESMARETS

Ależ tak...

JAN

Wstaje i przechadza się nerwowo.

Dajcie spokój, to śmieszne... Mówię wam, że nic mi nie jest...
jestem po prostu zmęczony...

PANI DESMARETS

Sam widzisz, moje dziecko!

JAN

Co? Co niby widzę?... Jestem zmęczony... co z tego?... położę
się... odpocznę.

MARTA

Żeby jutro zacząć od nowa...

JAN

Z goryczą.

Tak trzeba...

PANI DESMARETS

Dużo ci to da, jeśli zachorujesz!

LEROY

Nie postępujesz rozsądnie, mój chłopcze...

JAN

zdeenerwowany.

Ależ wuju, ja prowadzę projekty... interesy...

LEROY

Interesy, mój drogi, nie mogą przeszkadzać ci w spaniu, jedzeniu... życiu!

PANI DESMARETS

Wuj ma rację...

JAN

Rozzłoszczony.

Dajcie spokój!...

MARTA

Powinieneś się oszczędzać...

PANI DESMARETS

To jasne...

MARTA

Odpocząć trochę... wyjechać na wieś...

JAN

z gniewem.

Oczywiście, wyjechać na wieś... tak po prostu... rzucić wszystko... powiedzieć klientom: „Potrzebujecie mnie... nie szkodzi... w Paryżu jest za gorąco... pojadę sobie na wycieczkę...”

MARTA

Znalazłbyś przecież zastępstwo...

JAN

Nagle i gwałtownie.

Wygadujesz głupstwa!

PANI DESMARETS

Nie złość się.

LEROY

Mówi to dla twojego dobra.

JAN

Bardzo was proszę, nie denerwujcie mnie!

(patrzy na prawe drzwi z bolesną i skoncentrowaną wściekłością.)

To nie to, to nie to!

PANI DESMARETS

Z lękiem.

O co chodzi?

JAN

Uspokaja się nagle i patrzy na wuja, żonę i matkę.

To...

(przerywa.)

przecież... już wam mówiłem... to ze zmęczenia!...

PANI DESMARETS

Mam nadzieję, że teraz pójdziesz odpocząć... położyć się...

JAN

Tak... tak, zaraz!

MARTA

Tonem łagodnej wymówki.

Ach! Będziesz jeszcze dzisiaj pracował...

JAN

Nie... chcę tylko porozmawiać chwilę z wujem... nie potrwa to długo...

PANI DESMARETS

W takim razie zostawimy was...

MARTA

Dobranoc, wujaszku... Odwiedzaj nas często.

LEROY

odprowadza je do drzwi.

Ależ naturalnie. Dobranoc... śpijcie dobrze... Dobranoc...

PANI DESMARETS

(wychodzi na lewo, za nią Marta.)

Scena VI

LEROY, JAN

LEROY

Po długiej ciszy.

A więc, chłopcze, chcesz ze mną porozmawiać?

JAN

Z obojętną miną.

Tak; ale i ty, wuju... chciałeś mi coś powiedzieć?

LEROY

O, to nic ważnego. Kupiłem kawałek ziemi na wybrzeżu, w Étretat... Wiesz, ten fragment wzdłuż klifu, niedaleko Aiguille²¹... i chciałbym postawić tam...

.....
²¹ Jedna z najbardziej rozpoznawanych formacji skalnych na klifowym wybrzeżu Étretat, uwieczniona m.in. na płótnach Claude'a Moneta.

JAN

Dom?...

LEROY

O, nie... mały domek na lato... do którego byście przyjeżdżali. Starzeję się, nudzi mi się samemu! Tylko jak dasz radę się tym zająć? Podobno jesteś bardzo zajęty... bardzo...

JAN

To prawda, ale... Przecież to nie musi być na już?... nic mi nie szkodzi zastanowić się nad tym... Przygotuję ci wstępny projekt... omówimy go...

LEROY

Tak... ale nie przeszkadzaj tym sobie... Jesteś przemęczony... W związku z tym... muszę ci to powiedzieć, choć nie chciałem rozwijać tematu przy twojej matce i żonie... ale mają rację, powinieneś się oszczędzać... Zapewniam cię, że kilka tygodni spędzonych na świeżym powietrzu, bez zmartwień...

JAN

Jakby do samego siebie.

Bez zmartwień!

LEROY

Mówi dalej.

... przywróci ci dawną formę; a po powrocie będziesz mógł dalej burzyć i budować od nowa cały Paryż, jeśli tego pragniesz.

JAN

Z gorzkim uśmiechem.

Wątpię, żeby pobyt na wsi zdołał...

LEROY

niecierpliwie.

Posłuchaj mnie, jasny gwint... Zdrowie przede wszystkim!

JAN

Z uczuciem.

Tak, przede wszystkim!

LEROY

Twoje jest doskonałe; ale biorąc pod uwagę tryb życia, jaki prowadzisz, jest od czego zachorować. Gdybyś chciał się zachować całkiem racjonalnie, poszedłbyś do lekarza.

JAN

Do lekarza!

LEROY

Tak, mój drogi.

JAN

Po bardzo długiej ciszy.

No cóż! Moje dzisiejsze zdenerwowanie... lekkie emocje... w każdym razie mój dzisiejszy stan bierze się z tego, że właśnie byłem u lekarza.

LEROY

Umówiłeś się na wizytę?

JAN

kłamię.

Nie, wuju... spotkałem... lekarza... przypadkowo... u... znajomych, i właśnie dlatego prosiłem, żebyś został chwilę... Chciałbym z tobą porozmawiać...

LEROY

Co ci powiedział?

JAN

Rzeczy, które mnie... może nie zaniepokoiły... ale przynajmniej zaskoczyły, zdziwiły²²...

.....

²² Wypowiedzi bohaterów często noszą znamiona języka mówionego, nacechowanego realizmem.

LEROY

zaniepokojony.

W związku z czym?

JAN

Patrzy mu prosto w oczy.

W związku ze śmiercią mojego ojca!

LEROY

Ogromnie zaskoczony.

Jak to?

JAN

Nie spuszcza wzroku z wuja i dalej ciągnie kłamstwo.

Podobno znał kiedyś ojca... a nawet go leczył...

LEROY

Bardzo zmieszany uporczywym spojrzeniem Jana.

I co?

JAN

Obserwując zachowanie Leroya, zaczyna coś podejrzewać.

Powiedział mi... dał mi do zrozumienia...

LEROY

Co?

JAN

W jaki sposób zmarł mój ojciec...

LEROY

Ze wzruszeniem.

Przecież to wiedziałeś...

JAN

Nie... jak zmarł...

(z naciskiem na słowo)

naprawdę...

LEROY

Zmieszany, wpada w zastawioną pułapkę.
Jak to, powiedział ci?...

JAN

Tak...

LEROY

Wyprowadzony z równowagi.
Ale jakim prawem?... dlaczego?...

JAN

pobladły.
Nieważne. Teraz już wiem... Już wiem.
(*długa cisza.*)
Dlaczego nigdy nie powiedziano mi prawdy?

LEROY

Bo, mój drogi, było to niepotrzebne.

JAN

Z bólem.
Tak uważasz?

LEROY

Próbuje go pocieszyć.
Mój Boże, tak! Nie ma się czym zadrećzać. Ukryliśmy prawdę z uwagi na twoją matkę... Wiesz, że twoi rodzice się rozstali... Ojciec prowadził nieco zbyt swobodne życie... Nie był stworzony do małżeństwa... Kiedy opuścił dom, długo nie wiedzieliśmy, co się z nim dzieje... i to ja dowiedziałem się o jego śmierci... Twoja matka ma czułe nerwy, łatwo się wzrusza... Uznałem, że nie ma potrzeby wam mówić...
(*mówi dalej bez zastanowienia.*)
Że twój ojciec zmarł jako szaleniec...

JAN

Cicho, przytrzymując się stołu, żeby nie upaść²³, i ukrywając przed wujem rozpacz.

Szaleniec!

LEROY

Mówi dalej, nie widząc zmieszania Jana.

Dlatego wymyśliłem tę historię z płucami... Rozumiem, że odkrycie prawdy musiało tobą wstrząsnąć; ale przecież jesteś mężczyzną... nie powinienes aż tak się tym przejmować.

JAN

Powoli odzyskuje nad sobą kontrolę.

Masz rację, wuju... To było tak nagle odkrycie...

LEROY

Niestety! Mój chłopcze!

JAN

Siląc się na obojętność.

Ale to wyłącznie efekt zaskoczenia. Nie chodzi o nic innego... Dobrze rozumiem, dlaczego nie powiedziałeś prawdy... Na twoim miejscu postąpiłbym tak samo...

LEROY

Chwyta go za rękę, pełen wzruszenia.

Prawda?

JAN

Tak.

(chwila ciszy)

²³ Wymowa sceniczna tych gestów jest istotna zwłaszcza dla widza, bo inne postaci są nieczułe na tego rodzaju sygnały.

LEROY

Obiecujesz więc zrobić to, o co przed chwilą cię prosiłem?

JAN

Cóż takiego, wuju?

LEROY

Wyjechać na wieś.

JAN

Jakby budząc się ze snu.

Ach tak, wieś...

LEROY

I pójść do lekarza... Musisz wiedzieć, dokąd powinienes wyjechać na odpoczynek...

JAN

Tak, wuju...

LEROY

Chcesz, żebym poszedł z tobą?

JAN

Jeśli sobie życzysz!

LEROY

Zbiera się do odejścia.

Przyjadę więc po ciebie... – dziś mamy poniedziałek, wyjeżdżam na dwa dni... – przyjadę po ciebie w czwartek...

JAN

Zatrzymuje go.

Co! Wyjeżdżasz!...

(zmienionym głosem.)

Bardzo bym pragnął, żebyś jutro przyjechał do Paryża.

LEROY

Patrzy na niego zaskoczony.

Dlaczego jutro?

JAN

żywo.

Nieważne... Ale ponieważ chcesz, żebym poszedł do lekarza...

chciałem iść od razu... Później mam spotkania, różne sprawy...

Rozumiesz?...

LEROY

uspokojony.

Dobrze, wrócę jutro...

JAN

Tylko wcześniej rano, dobrze?

LEROY

W porządku. Przyjdę do was na śniadanie. Do widzenia, mój

drogi... Ucałuj ode mnie dzieci...

(wychodzi.)

Scena VII

JAN, PÓŹNIEJ MARTA

(Pozostawwszy sam, Jan traci siły, jego twarz przybiera szczególny wyraz²⁴, rzuca się całym ciężarem na kanapę.)

²⁴ Aktor musi pokazać publiczności symptomy szaleństwa postaci. Stąd konieczność ekspresyjnej gry.

JAN

Z głową w dłoniach.

Wariat! Zmarł jako wariat!

(powtarza słowa lekarza.)

„Dziedziczność, zwłaszcza w przypadku chorób psychicznych, jest prawem nieubłaganym... nieuchronnym...”

(z przerażeniem.)

Nieuchronnym! A więc jestem zgubiony... czeka mnie dom obłąkanych... prysznic²⁵... upokarzająca śmierć... Lepiej zaraz z tym skończyć... zabić się!

(z rozpaczą.)

Jestem zgubiony... bezpowrotnie zgubiony!...

(Pokazując drzwi po prawej stronie.)

Tam... przed chwilą... poczułem nawrót obsesji!... obsesji mordu...

(podnosi się.)

Ale przecież mam własną wolę... są we mnie jakby dwie walczące ze sobą istoty²⁶... *(z wściekłością.)*

Moja wola musi być silniejsza od mojego szaleństwa! Tak musi się stać...

(z rozczuleniem.)

Zresztą nie chodzi tylko o wolę... jest jeszcze cała moja miłość... moja czułość dla tej małej istotki...

(wstaje i długo patrzy na drzwi.)

On tam śpi... Wejdę tam...

(Jakby walcząc sam ze sobą.)

Muszę tam wejść... A jeśli ten okropny lęk znów mną zawładnie, zabiję się...

(Zmierza powoli, ale zdecydowanie w stronę prawych drzwi.)

.....
²⁵ Polewanie wodą, upuszczanie krwi i lewatywy stanowią podstawę kuracji chorób psychicznych od starożytności do początków XX wieku.

²⁶ W tym pojedynku rozumu z szaleństwem istotnym czynnikiem zdaje się przekonanie, wpojone przez doktora Merciera, że przed chorobą o podłożu dziedzicznym nie ma ucieczki.

MARTA

Wchodzi nagle z lampą w dłoni.

Co robisz?

JAN

Zatrzymuje się i mówi bełkotliwie.

Nic... Ja...

MARTA

Wuj poszedł?

JAN

Tak...

MARTA

Idziesz się położyć?

JAN

Tak... Ale wcześniej chciałem jeszcze ucałować dzieci... poczekaj na mnie.

(Wychodzi na prawo, zostawiając drzwi otwarte, podczas gdy Marta zostaje na scenie sama, postawiwszy lampę i spokojnie porządkując koszyk z robótkami pozostawiony na stole. Długa cisza, potem słyszeć:)

GŁOS MAGDALENY

W pokoju po prawej stronie.

O, tatuś!

GŁOS PIOTRA

Dobry wieczór, tatusiu!

(Potem kolejna cisza i nagle krzyk Jana, krzyk przerażający, jakby dzikiego zwierzęcia i zaraz potem charczenie zarzynanego dziecka. Marta biegnie z przerażeniem w stronę sypialni, gdzie

ukazuje się jej widok²⁷, który zmusza ją do krzyku, podczas gdy Jan, z szalonym wzrokiem, wybałuszonymi oczami, w straszhwym ataku szału, wybiega z sypialni i rzuca się na ziemię, miodając przekleństwa²⁸.)

JAN

W szale, wrzeszcząc.

Zabiłem go... Ach!... zabiłem go!²⁹...

KURTYNA

.....
²⁷ Publiczność musi wywnioskować z gry aktorów, że widok ten jest doprawdy przerażający.

²⁸ Por. „Niektóre z didaskaliów mają tak opisowy charakter, są tak precyzyjne, że muszą być skierowane do czytelnika” (M. Corvin, „Une dramaturgie de la parole?”, [w:] *Sade-Le Grand-Guignol*, „Europe. Revue littéraire mensuelle” 1998: 835–836, s. 153).

²⁹ „Prawda o szaleństwie wychodzi na światło dzienne dopiero w cieniu śmierci” (A. Klein, „«Nous sommes tous, plus ou moins, sur les frontières de la grande folie». La représentation de l’aliénation dans le théâtre d’épouvante d’André de Lorde et Alfred Binet”, [w:] *Tous malades. Représentations du corps souffrant*, red. F. Fix, Éditions Orizons, Paris 2018, s. 49).

Mala Roque

DRAMAT W TRZECH AKTACH*
NA PODSTAWIE NOWELI GUY DE MAUPASSANTA
WE WSPÓŁPRACY Z P. PIERRE CHAINE**

PRZEKŁAD I OPRACOWANIE TEKSTU***
SEBASTIAN ZACHAROW

.....
* Sztukę wystawiono po raz pierwszy w Théâtre de l'Ambigu, 2 października 1911 r. (reżyseria H. Hertz i B. C. Coquelin).

** Pierre Marie Jean-Baptiste Chaine (1882–1963), francuski dramaturg, autor słynnej powieści satyrycznej *Les mémoires d'un Rat* (1916), publikowanej w odcinkach.

*** Tłumaczenia dokonano z języka oryginału na podstawie wydania: A. de Lorde, *La Petite Roque*, drame en trois actes d'après la nouvelle de Guy de Maupassant en collaboration avec Pierre Chaine, [w:] *La Folie au théâtre, ou l'esthétique de l'épouvante selon André de Lorde*, red. T. Kaczmarek, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2018, s. 265–404.

Osoby

BERNARD

MÉDÉRIC

DOKTOR LATOUR

FOUCAUD

CLAUDE

PAN ROQUE

BRYGADIER ŽANDARMERII

PANI ROQUE

MARIE ROQUE

CÉSARINE MALIVOIRE

NANETTE

PANI MALIVOIRE

Akt I¹

Mała farma w Normandii². Po lewej stronie mieszkanie rolników, do którego wchodzi się po trzech schodkach. – W głębi duże otwarte drzwi wychodzące na drogę prowadzącą ku wsi; po prawej stronie inne drzwi wychodzące na wieś, ale od strony lasu; również po prawej stronie, na pierwszym planie, stodoła. Farmę otaczają duże drzewa; pośrodku farmy kasztanowiec. – Stół ogrodowy, po prawo ławki, krzesła itd. Świeci ostre słońce³.

Scena I

OJCIEC ROQUE, MATKA ROQUE, NASTĘPNIE
PANI MALIVOIRE I CÉSARINE

Po podniesieniu kurtyny słyszać, jak ojciec Roque śpiewa zza kulisy. Kilka chwil później pojawia się w głębi sceny, ubrany w strój roboczy, z motyką na ramieniu. Następnie odkłada motykę w rogu, ociera czoło i kieruje się ku bocznej stronie farmy.

.....
¹ Cały pierwszy akt jest dziełem André de Lorde'a. Nowela de Maupassanta rozpoczyna się w chwili, gdy Médéric znajduje ciało zamordowanej dziewczyny. Niektóre postaci dramatu nie występują w tekście autora *Bel-Ami*.

² Guy de Maupassant często umieszcza akcję swoich tekstów w Normandii.

³ Chodzi o scenerię upału budzącego złe instynkty.

OJCIEC ROQUE

wołając.

Ach! Matko! Podaj mi ręcznik i jakiś kawałek mydła...

MATKA ROQUE

po chwili staje w drzwiach.

Pospiesz się, nigdy stąd nie wyjdziemy...

(Podaje mu ręcznik i kawałek mydła.)

OJCIEC ROQUE

No już... spieszę się... Już, już... Umyję się w Brindille⁴.

(Znika po prawej stronie śpiewając. Przez chwilę słyszać ćwierkanie ptaków, później kościół w oddali wybija godzinę trzecią. W głębi, na drodze, dostrzegamy śpieszące się Panią Malivoire wraz z jej córką. W rękach trzymają wielkie, letnie parasolki.)

MATKA MALIVOIRE

piękna wieśniaczka o radosnej i złośliwej twarzy, wchodząc z Cézarine.

O Chryste, jaki upał!

(Ociera sobie twarz.)

CÉSARINE

wygląd i postawa idiotki, mowa głupkowata.

Och! tak, mamoo...

(Kiwa głową ocierając twarz.)

MATKA MALIVOIRE

Uważaj... Nie ruszaj tak głową, jak chodzisz... kapelusz ci się zsunie.

.....

⁴ Nazwa rzeki.

CÉSARINE

Tak, mammo...

MATKA MALIVOIRE

A jak siadasz, to uważaj, żeby nie pognieść spódnicy.

CÉSARINE

Tak, mammo...

MATKA MALIVOIRE

A poza tym, wiesz, nie możesz tańczyć z powodu brzucha.

CÉSARINE

dotykając brzucha.

To już widać, mammo?

MATKA MALIVOIRE

przyglądając się jej.

Obróć się z boku...

(Césarine się obraca.)

Nie, jeszcze tak bardzo nie widać... Ale spódnica jest już ciśniejsza!...

(Obciąga jej spódnice.)

Ręce będziesz trzymała o tak, a parasol tak.

(Przekłada jej parasol z przodu.)

CÉSARINE

głupio się śmiejąc, chodzi i wykonuje ten sam ruch.

Tak, mammo?

MATKA MALIVOIRE

Tak, dobrze. Już przestań chodzić. Usiądź.

(Każe jej usiąść na ławce.)

Zawołam matkę Roque... Co oni tak długo tam robią?...

(Zbliża się do domu i krzyczy:)

Ech! matko Roque!

MATKA ROQUE

pojawia się na progu.

Ach! już jesteście, matko Malivoire? Dzień dobry!

(Spostrzegłszy Césarine.)

Dzień dobry, Césarine!...

MATKA MALIVOIRE

Jesteś gotowa?

MATKA ROQUE

Jak to? Jesteście za wcześnie... jeszcze nie jestem gotowa, ojciec

Roque też nie...

MATKA MALIVOIRE

A Marie?

MATKA ROQUE

schodząc po schodkach.

Marie? Jest tam... w ogródku...

(Wskazuje kierunek, po prawej.)

Która to już godzina?

PANI MALIVOIRE

Czwarta. Już dzwonili, nie słyszeliście?

MATKA ROQUE

Już się śpieszę... trzeba nakarmić zwierzęta.

(Idzie na róg i przynosi wiadro wypełnione ziemniakami, które wyrzuca na stół, następnie stawia wiadro przed sobą.)

MATKA MALIVOIRE

podciąga sukienkę, aby się nie pobrudzić.

Poczekaj, matko Roque, pomogę ci... i mała też. Jak mamy dotrzeć na targ i zdążyć na cyrk, nie ma czasu na guzdranie; stąd do Criquetot będzie z godzina.

(Matka Roque i matka Malivoire siadają przy stole i wszystkie wymienione zaczynają obierać ziemniaki nożykami, które matka Roque wyjęła wcześniej z szuflady. Pani Malivoire podała jeden z nich Césarine, która siedziała nadal z boku, na ławce. Każdego obranego ziemniaka wrzucają do stojącego przed nimi wiadra.)

Scena II

TE SAME, OJCIEC ROQUE

MATKA ROQUE

pracując.

Podróż do miasta to za każdym razem prawdziwa wyprawa!

MATKA MALIVOIRE

Wszystkie niedziele!...

MATKA ROQUE

I dni targowe!

MATKA MALIVOIRE

Ach! to jasne, że niewygodnie jest mieszkać tak daleko... Nie wiem, czy masz tak samo, ale kiedy idę po zakupy, to nogi odmawiają mi już posłuszeństwa...

MATKA ROQUE

Mam tak samo, zwłaszcza w taki upał, jak dziś.

MATKA MALIVOIRE

Nie mówiąc już o tym, że to coraz mniej bezpieczne... Czytałaś dziś rano „Le Petit Havrais”⁵?

MATKA ROQUE

Nie... Co się stało?

MATKA MALIVOIRE

W okolicach Bolbec jakiś włóczęga udusił staruszkę dla paru solidów.

MATKA ROQUE

oburzona.

Dla paru solidów!... To przerażające!... Nie można już się czuć bezpiecznie!...

MATKA MALIVOIRE

Ktoś mógłby was tu podpalić i nikt nie zdążyłby wam pomóc!

OJCIEC ROQUE

od kilku chwil stoi na progu ocierając twarz ręcznikiem.

To prawda, Pani Malivoire!... Jak się Pani miewa?

(Do Céсарine.)

Ach! Jaka ty żwawa!...

(Céсарine uśmiecha się głupkowato.)

MATKA MALIVOIRE

do ojca Roque, podającego jej rękę.

Ach! ojciec Roque... Ech! nie jest najgorzej, a u Pana?

MATKA ROQUE

do męża.

Możesz się pospieszyć? Nigdy nie wyjdziemy...

.....
⁵ Poranna gazeta wydawana w Normandii sześć razy w tygodniu w latach 1887–1888.

MATKA MALIVOIRE

Spóźnimy się...

OJCIEC ROQUE

do żony, idąc w kierunku domu.

Jestem gotowy... już się umyłem... już zakładam koszulę.

MATKA ROQUE

Którą?

OJCIEC ROQUE

śmiejąc się

Głupie pytanie. Najlepszą, oczywiście!

(Śmiejąc się.)

W końcu wychodzę z najlepszymi kobietami!

(Kobiety się śmieją. Ojciec Roque wraca do domu.)

Scena III

PANI ROQUE, PANI MALIVOIRE, CÉSARINE

MATKA MALIVOIRE

Ach! jaki z niego uwodziciel!

MATKA ROQUE

Chce uchodzić za uwodziciela.

MATKA MALIVOIRE

Trzeba mieć na niego oko! Oglądają się za nim!

MATKA ROQUE

śmiejąc się.

Ach! no właśnie dlatego nie ma się czego bać!

MATKA MALIVOIRE

A już tam! powinna pani to wiedzieć najlepiej.

MATKA ROQUE

Nic takiego nie wiem... W moim wieku już się na takie rzeczy nie zwraca uwagi.

MATKA MALIVOIRE

Ha! Ha! Ha! nie docenia go pani.

MATKA ROQUE

No przecież mówię, że nie ma się o co bać.

MATKA MALIVOIRE

Do diabła! jak to mówią, pochwa ostrzy miecz... A swego czasu ojciec Roque ostrzył w kilku...

(Złośliwie.)

Z tego co pamiętam!

MATKA ROQUE

Ach! nie on jeden, daj spokój, matko Malivoire! Jak pamiętam, z twego nieboszczyka też był dziarski rycerz...

(Śmieją się.)

Musi ci go teraz brakować!

MATKA MALIVOIRE

Inne rzeczy mam teraz na głowie... Nie mogę z niczym zdążyć. Na szczęście Césarine mi pomaga... Prawda, Césarine?

CÉSARINE

obierając ziemniaki, cicho.

Tak, mam!

MATKA ROQUE

Cichutka jesteś, moje dziecko! To prawda, że pomagasz matce?

CÉSARINE

Codziennie rano chodzę na targ.

MATKA ROQUE

Dokąd? Do Quillebeuf?

CÉSARINE

Nie, do Criquetot.

MATKA ROQUE

Niemożliwe!...

CÉSARINE

z uśmiechem.

Nie chodzę piechotą...

MATKA ROQUE

Kupiliście wóz, matko Malivoire?

MATKA MALIVOIRE

Ależ skądże... Czeką na dyliżans przy drodze... Ładuje koszyki...

MATKA ROQUE

Musi was to kosztować!... osiem solidów w jedną stronę... osiem solidów w drugą... szesnaście solidów...

MATKA MALIVOIRE

Zarabiamy je łatwo!... Césarine potrafi jak nikt sprzedąć jajka i masło... W ten sposób kupiłam jej suknię i kapelusz.

MATKA ROQUE

patrząc na śmiesznie ubraną Césarine.

To prawda, pięknie jest ubrana! Wstań, żebym cię mogła obejrzeć...

(Césarine zanim wstanie, rzuca w kierunku matki zaniepokojone spojrzenie, matka gestem pokazuje jej, aby wstała.)

Wstań... podejdź tu...

(Césarine powoli podchodzi, starając się ukryć brzuch, przed którym trzyma parasolkę, aby ukryć swój stan.)

Idziesz, jakbyś się bała potłuc!...

(Dotykając sukni Césarine.)

Doskonały materiał... Musiał kosztować ze dwa franki za miarę, he?

MATKA MALIVOIRE

zakłopotana.

Dokładnie tak!

MATKA ROQUE

do Césarine, która w tym czasie odwróciła się do pani Roque plecami.

Obróć się...

(Césarine ostrożnie się obraca. Do matki Malivoire.)

Czy nie wydaje się Pani, że się ostatnio nieco zaokrągliła?

MATKA MALIVOIRE

coraz bardziej zakłopotana.

Och! wie Pani... jest coraz starsza!...

MATKA ROQUE

do Césarine.

Taka byłaś szczuplutka, a teraz jaka zaokrąglona! Ta suknia zwłaszcza z przodu tak się nadyma... Może jest źle skrojona...

Daj mi się temu przyjrzeć...

(Wstaje i podchodzi do Césarine.)

CÉSARINE

cofając się.

Ale...

MATKA MALIVOIRE

chcąc zatrzymać matkę Roque.

Nie, niech Pani nie robi sobie kłopotu...

MATKA ROQUE

To nie kłopot, pokaż się tutaj...

(Chce gestem pociągnąć sukienkę Céсарine, aby ją wyprostować i lepiej ułożyć, jednak nagle wydaje okrzyk zaskoczenia.)

Och!

(Patrzy na Céсарine, następnie na matkę Malivoire, która w tym czasie schyla głowę i nerwowo obiera ziemniaki. Kolejny okrzyk.)

Ach!

(Po chwili. Uszczypliwie.)

Ależ, matko Malivoire... czyżby?... Ależ tak!...

MATKA MALIVOIRE

przyjmując swobodny wyraz twarzy.

Czyżby co?

MATKA ROQUE

mrugnawszy okiem.

Jak to co! Wie Pani co... Niech Pani nie udaje...

CÉSARINE

zaczyna szlochać.

Widzisz mamó, nie da się już ukryć!...

(Płacząc podchodzi do matki.)

MATKA MALIVOIRE

policzkując ją dwa razy i sadzając na ławie.

Głupia!... Zamilcz!...

(Céсарine jeszcze bardziej szlocha.)

Zamilcz!...

(Céсарine milknie.)

(Po chwili. Wszystkie trzy wracają do obierania.)

MATKA ROQUE

starając się załagodzić napiętą sytuację.

Lepsze to, niż jakaś choroba!

MATKA MALIVOIRE

reagując.

Oczywiście!

CÉSARINE

ze łzami w oczach.

Oczywiście!

(Znów cisza.)

MATKA ROQUE

powodowana ciekawością.

A kto jej to zrobił?

MATKA MALIVOIRE

Ech! no cóż, już Pani powiem: zrobił to Mathieu, woźnica.

MATKA ROQUE

Nie może być!

CÉSARINE

wciąż ze łzami w oczach.

Z powodu szesnastu solidów.

MATKA ROQUE

Jak to z powodu szesnastu solidów?

CÉSARINE

Za każdym razem, jak miałam zapłacić szesnaście solidów za podróż tam i z powrotem, to żal mi się robiło!

MATKA ROQUE

No tak! Pieniędzy szkoda!...

CÉSARINE

przerywając łkaniem.

Mówiłam Mathieu, że to dla mnie drogo... Wtedy mrugał okiem i mówił mi, że możemy się jakoś inaczej policzyć... No i kiedy raz byliśmy tylko sami w powozie... Nie wiedziałam, jak... no, rozumie Pani... bałam się odmówić... A później powiedziałem sobie: przynajmniej oszczędziłam!...

(Wymawiając ostatnie zdanie, znów zaczyna szlochać.)

MATKA MALIVOIRE

No już... no już... nie becz tak!... Co się stało, to się nie odstanie!

MATKA ROQUE

do matki Malivoire.

A czy ten łajdak zachował się przynajmniej honorowo?

MATKA MALIVOIRE

Och! pod tym względem nie można mu niczego zarzucić. Od sześciu miesięcy wozi ją za darmo.

CÉSARINE

uśmiechając się przez łzy.

Będzie prawie trzydzieści franków oszczędności!...

MATKA ROQUE

z podziwem.

Trzydzieści franków!...

MATKA MALIVOIRE

z błyskiem chciwości w oczach.

Tak, trzydzieści franków!...

MATKA ROQUE

Sporo!

MATKA MALIVOIRE

W końcu nie będzie tak źle, wydamy ją za męż...

MATKA ROQUE

Z woźnicą! Nie możecie tego zrobić!... Chłopak, który nic nie ma...

MATKA MALIVOIRE

z pogardą.

Przecież nie z nim! Z Malandinem, piekarzem...

(Z dumą.)

Tak, matko Roque... Z tym to inna sprawa!...

MATKA ROQUE

wstaje i zanosí wiadro obranych ziemniaków do stodoły po prawej stronie; następnie wraca i układa noże w szufladzie stołu.

Malandin!... Dobrze dla niego, że poślubi dziewczynę, która już jest w ciąży... To mu oszczędzi trudu robienia dziecka... Teraz raczej nie byłby do tego zdolny!

(Śmieje się.)

MATKA MALIVOIRE

ze złością.

Być może... Ale to dobra partia dla Césarine...

MATKA ROQUE

Do diabła! w dzisiejszych czasach trzeba mieć sporo oszczędności, żeby wyprawić wesele!... A interesy nie idą zbyt dobrze!

MATKA MALIVOIRE

Pani jednak nie ma na co się użalać...

MATKA ROQUE

wracając ze stodoły, gdzie karmiła zwierzęta.

Byłoby jeszcze lepiej, gdybyśmy nie musieli karmić darmozjada.
(Spoglądając w stronę domu.)

Ale mamy wujka, który już nie może pracować, a je za czterech...

MATKA MALIVOIRE

Ach! to prawda! Jak się miewa staruszek?

MATKA ROQUE

Jakoś się trzyma!...

(Uszczypliwie.)

Wyszczerbione garnki bywają nie do zdarcia...

MATKA MALIVOIRE

Ale jego paraliz nie przeszkadza mu jeść i pić, prawda?...

MATKA ROQUE

skończyła karmić zwierzęta, zamyka drzwi od stodoły.

Prawda, a ja mu jeszcze znalazłam pracę...

MATKA MALIVOIRE

zaskoczona.

Pracę? przecież on nie wstaje z łóżka!...

MATKA ROQUE

I bardzo dobrze... Robi za kwokę... Włożyłam mu po dwa jajka pod każdą rękę...

CÉSARINE

śmieje się głupkowato.

Ha! Ha!... Musi je wysiadywać przez dziesięć dni i nie może stłuc...

MATKA ROQUE

chcąc jej zamknąć usta.

A ty, dziewczyno, musisz wysiadywać swoje przez dziewięć miesięcy!...

OJCIEC ROQUE

wołając zza kulis, z domu.

Ech! Caroline! Ech! matko!... Chodź szybko!...

MATKA ROQUE

idąc w stronę domu.

Co się dzieje?...

Scena IV

TE SAME, OJCIEC ROQUE

OJCIEC ROQUE

pojawiając się na schodach, w niedzielnej koszuli, na głowie melonik, w ręku laseczka.

No chodź szybko... mówię ci...

MATKA ROQUE

Pali się!

OJCIEC ROQUE

radośnie.

Nie o to chodzi... chodzi o jajka!

MATKA ROQUE

wściekła.

Założę się, że je stłukł, próżniak jeden...

OJCIEC ROQUE

skręcając się ze śmiechu.

Same się stłukły... Dwa kurczaki właśnie się wykluły... Pozostałe zaraz to zrobią...

MATKA ROQUE

Stary wreszcie się na coś przydał!

(Do matki Malivoire.)

Muszę to zobaczyć... Zaraz wracam... Poczekaście chwilę...

(Szybkim krokiem wchodzi do domu.)

Scena V

TE SAME, Z WYJĄTKIEM MATKI ROQUE

MATKA MALIVOIRE

wesoło.

Pana żona ma głowę na karku!

OJCIEC ROQUE

Ach! to prawda!

(zbliżając się do niej i ogarniając wzrokiem postać kobiety od stóp do głów.)

A Pani, matko Malivoire, pięknie dziś Pani wygląda.

MATKA MALIVOIRE

kokietując.

Jaki Pan szarmancki, panie Roque.

OJCIEC ROQUE

jeszcze bliżej.

Trzeba być szarmanckim. W każdym wieku...

MATKA MALIVOIRE

Ależ tak! Dzisiejsza młodzież nie potrafi już być tak szarmancka!

OJCIEC ROQUE

przebiegle.

To prawda... Dzisiaj młodzi ludzie nie potrafią już żartować...

MATKA MALIVOIRE

Tylko palą i piją, albo jadą do miasta... spotykają się tam w domach... I Bóg jeden wie, co tam robią!...

OJCIEC ROQUE

Za naszych czasów bawiliśmy się między sobą...

(Bardzo blisko niej i ściszonego głosem.)

Prawda, Léonie?

MATKA MALIVOIRE

gwałtownie.

Cicho bądź...

(Do Césarine, która cały czas siedzi na ławce i głupio się uśmiecha, patrząc pusto przed siebie.)

No, Césarine, idź zobacz, co robi Marie.

(Césarine wstaje.)

OJCIEC ROQUE

złośliwie.

Poszukaj w ogródku za domem... Myślę, że tam ją znajdziesz...

(Césarine wychodzi, popychana przez matkę Malivoire i ojca Roque.)

Scena VI

MATKA MALIVOIRE, OJCIEC ROQUE

MATKA MALIVOIRE

kiedy Césarine wyszła.

Nie możesz uważać na słowa, gdy nie jesteśmy sami?...

OJCIEC ROQUE

wyciągając do niej ręce.

Do licha! jesteś dziś taka apetyczna... pociągająca...

MATKA MALIVOIRE

spoglądając co chwila w kierunku domu.

Możesz przestać?!... gdyby cię zobaczyła matka Roque...

OJCIEC ROQUE

A pamiętasz, co robiliśmy wtedy za stogiem siana?

(zaczyna się śmiać.)

MATKA MALIVOIRE

spuszczając oczy.

Tak, pamiętam stóg siana...

OJCIEC ROQUE

daje jej klapsa w pośladek.

Ile to już czasu!

MATKA MALIVOIRE

głęboko wzdychając.

Do licha, dawno!...

OJCIEC ROQUE

A wtedy, gdy byliśmy w lucernie?

(Znów uśmiechy, kolejny klaps.)

MATKA MALIVOIRE

ta sama gra.

O tak!

OJCIEC ROQUE

zamierzając ją pocałować.

A ten wieczór w stodole?

MATKA MALIVOIRE

odpychając go.

Uspokój się, ktoś idzie...

(Matka Roque pojawia się w drzwiach.)

Scena VII

CI SAMI, MATKA ROQUE

MATKA ROQUE

do matki Malivoire, która szybko odsunęła się od ojca Roque.

Gaduła z niego, prawda, matko Malivoire?... Cóż on tam Pani opowiadał?

OJCIEC ROQUE

przebiegle.

Ja?... Gadałem o słomie, lucernie i naszej stodole... Takie tam, codzienne rzeczy!

MATKA MALIVOIRE

żywo.

Pisklaki się wykluły?

MATKA ROQUE

Są cudowne... Staruszek jest taki dumny, jakby to były jego dzieci.

OJCIEC ROQUE

Możemy już ruszać...

(Do matki Roque.)

Jesteś gotowa?...

MATKA ROQUE

Tak... Gdzie dziewczęta?...

MATKA MALIVOIRE

W ogrodzie...

MATKA ROQUE

wołając.

Marie!... Césarine!...

GŁOS

z oddali.

Tak?

OJCIEC ROQUE

oddalając się.

Chodźcie już... jedziemy na zabawę...

MATKA MALIVOIRE,

krzycząc.

Pośpieszcie się...

Scena VIIII

CI SAMI, CÉSARINE, MARIE

CÉSARINE

przychodząc z Marie.

Jesteśmy!...

MARIE

tonem niezadowolonym.

No już jesteśmy!...

MATKA ROQUE

do córki, przyglądając się jej.

Postradałaś zmysły albo po prostu chcesz dostać klapsa!... Dlaczego nie jesteś ubrana?

MATKA MALIVOIRE

Co robiłaś do tej pory, że nie jesteś gotowa?

MARIE

żałując się.

Nie mogę jechać... Jestem chora...

OJCIEC ROQUE

Podchodząc do niej.

Jesteś chora? Co ci jest?

MARIE

Boli mnie głowa... wszędzie mnie boli...

MATKA MALIVOIRE

Nie masz ochoty jechać na zabawę?

MARIE

Mam ochotę, ale nie mogę.

CÉSARINE

Och ! no chodź... zobaczymy cyrk...

MARIE

uparcie.

Nie mogę...

MATKA ROQUE

Ale co ci dokładnie jest?

MARIE

przesadzając.

Jakby ktoś mi strzelił w głowę...

MATKA MALIVOIRE

Jeśli nie pojedziesz na zabawę, to gdzie znajdziesz męża?

MARIE

z uśmiechem.

Nie tylko tam są kandydaci na męża!

OJCIEC ROQUE

A więc nie chcesz iść?

MARIE

No nie mogę...

(szukając powodu.)

Mam... mam skurcz w plecach...

MATKA ROQUE

patrząc na męża.

Skurcz w plecach?

OJCIEC ROQUE

patrząc na matkę Malivoire.

Skurcz w plecach?

MATKA MALIVOIRE

patrząc na córkę.

Skurcz w plecach?

CÉSARINE

zdumiona, patrząc na Marie.

Skurcz w plecach?

MATKA ROQUE

zaniepokojona, do ojca Roque.

Może to coś poważnego!... trzeba by sprawdzić...

OJCIEC ROQUE

Jedno jest pewne: nie będę ciągnąć jej na siłę. Nie zamierzam poić osłów, którym nie chce się pić.

MATKA ROQUE

Ech! dobrze, zostań... Pozmywaj i posiedź ze staruszką...

OJCIEC ROQUE

Nakarm go, nie powinien się ruszać...

(W tym momencie, w głębi, gdzieś blisko fermy, w lesie, słysząc wystrzał, a następnie kolejny, gdzieś bliżej.)

OJCIEC ROQUE

Kłusownicy z pewnością też się nie wybierają na zabawę...

MATKA MALIVOIRE

poszła dalej, aby sprawdzić.

To nie kłusownicy... to Pan Mer z Panem Doktorem.

MATKA ROQUE

Coś ustrzelili?

OJCIEC ROQUE

też poszedł sprawdzić.

Raczej nie.

MATKA MALIVOIRE

wracając na scenę.

Zaraz tu będą...

(Do pani Roque.)

Słuchajcie... nie chcę, żeby Cézarine spotkała doktora.

(Cicho.)

Z tym jej brzuchem.

MATKA ROQUE

złośliwie.

Tak będzie lepiej!... on ma dobre oko!

MATKA MALIVOIRE

Pójdę przodem z Césarine, spotkamy się na drodze... wyjdziemy przez ogródek...

(Daje znak Césarine, która wstaje i obie kierują się na prawo, w stronę ogródka.)

MATKA ROQUE

Dobrze, dobrze...

(Do Césarine.)

I nie biegnij... nie możesz się męczyć.

(Pani Malivoire i Césarine opuszczają scenę.)

OJCIEC ROQUE

dając znak żonie, która właśnie do niego wraca.

Jak myślisz, Caroline, skoro doktor jest tutaj, to może skorzystać z okazji, żeby ją obejrzeć.

MATKA ROQUE

Myślisz, że nie będziesz musiał zapłacić za poradę?

OJCIEC ROQUE

przebiegle.

Sama zobaczysz... To nie będzie nic kosztować... Nic...

(Znacząco mlaska.)

Przekonasz się...

(W tym momencie doktor i Bernard pojawiają się w głębi. Doktor niesie strzelbę zawieszoną na ramieniu. Wesoło rozmawiają.)

Scena IX

CI SAMI, DOKTOR LATOUR, BERNARD

DOKTOR

powitalny gest.

Dzień dobry, pani Roque i panie Roque...

OJCIEC ROQUE

Bardzo dobry, Panie Doktorze...

(kłaniając się nisko Bernardowi.)

Panie Merze...

BERNARD

Dzień dobry, panie Roque... Dzień dobry Pani... Może byśmy się czegoś napili?

MATKA ROQUE

pośpiesznie.

Oczywiście, Panie Merze...

(Idzie do Marie, która podczas trwania tej sceny siedzi rozmazana na ławce pod domem.)

Marie... no idź i przynieś coś do picia.

(Marie wstaje i wchodzi do domu.)

DOKTOR

ocierając czoło.

Co za upał!

BERNARD

ten sam gest.

Tak, nie do zniesienia...

OJCIEC ROQUE

idzie w kierunku domu i krzyczy.

Marie, przynieś cydr... ten stary... ten w zalakowanej butelce...

BERNARD

siadając przy stole.

Nie, nie trzeba...

(W tym czasie doktor stawia strzelbę przy drzewie.)

OJCIEC ROQUE

nalegając.

Trzeba, trzeba!... Skosztuje pan... To już końcówka... trochę uderza do głowy... no, ale...

BERNARD

śmiejąc się.

Mam mocną głowę, niech się pan nie boi.

OJCIEC ROQUE

do doktora, przygotowując stół.

Coś pan ustrzelił, Panie Doktorze?

DOKTOR

śmiejąc się.

Nie... nie mam szczęścia.... tylko zając mi się nawinął, tam, pod lasem... ale nie trafiłem!

MATKA ROQUE

idąc do Marie niosącej szklaneczki i butelkę, którą podaje ojcu Roque.

A pan, Panie Merze, Pan nie poluje?...

BERNARD

Och! nie... nie lubię takich rzeczy... jestem zbyt nerwowy, poza tym źle strzelam...

(Śmiejąc się.)

Nigdy niczego nie trafiłem...

OJCIEC ROQUE

do Marie, biorąc butelkę.

Czy to napewno ta, o której ci mówiłem?...

(Marie pomaga matce podać szklaneczki.)

OJCIEC ROQUE

starannie odkorkowując zalakowaną butelkę cydru.

A więc dziś Pan Doktor ma wolne... dzień na polowanie...

DOKTOR

Nie, mój miły... cały czas jeżdżę na wizyty, a strzelbę zawsze mam ze sobą, aby skorzystać w drodze...

MATKA ROQUE

wchodząc do domu, wraz z Marie.

Słusznie! Pełno tu zwierzyny...

DOKTOR

Niech mi pan powie, panie Roque, czy Roussotte mieszka daleko stąd?

OJCIEC ROQUE

napęlniając szklaneczki i podając każdemu.

Nie, Panie Doktorze, dość blisko, trzeba jechać drogą w kierunku Froberville... Dlaczego Pan pyta?...

DOKTOR

Muszę jechać ją obejrzeć.

OJCIEC ROQUE

Jest chora?

DOKTOR

Och! nic strasznego, nieżył okrzeli...

OJCIEC ROQUE

postanawiając skorzystać z okazji.

Co Pan powie?... Ach! nic dziwnego, te ciągle zmiany pogody!...

(Podnosząc szklaneczkę, aby wypić za zdrowie pozostałych.)

Panie Merze... Panie Doktorze...

(pije, po czym wraca do swej myśli.)

A wie Pan, Jean-Pierre, zna Pan tego grubego Jean-Pierre'a?... Ten syn dróżnika, mówi, że od rana nie może chodzić... że ma skurcz w plecach..

DOKTOR

z uśmiechem.

Skurcz w plecach...

OJCIEC ROQUE

pewnie.

Dokładnie tak...

(Przebiegle.)

I pytał mnie, co ma zrobić... A ja mu mówię: „Zastosuj okłady...

Jeśli to nie pomoże, to przynajmniej nie zaszkodzi”...

(Sprawia wrażenie, że nie oczekuje odpowiedzi.)

Prawda, Panie Doktorze?

DOKTOR

kończąc swoją szklaneczkę.

No tak... to mu z pewnością nie zaszkodzi...

(Cisza.)

OJCIEC ROQUE

nalewając mu kolejną szklaneczkę.

Czy to mu w czymś pomoże?

DOKTOR

Nie wiem. Musiałbym go zobaczyć.

OJCIEC ROQUE

coraz bardziej nalegając.

A co by mu Pan powiedział na moim miejscu?

DOKTOR

Na Pana miejscu, Panie Roque?

OJCIEC ROQUE

Tak, Panie Doktorze... skurcz pleców, nie może chodzić.

DOKTOR

rozumiejąc intencję ojca Roque.

Ech! no cóż, powiedziałbym mu: „Mój stary Jean-Pierre, kiedy jest się chorym, to trzeba zrobić jedną rzecz”.

(Krótka chwila. Ojciec Roque zamienia się w słuch.)

„Trzeba iść do lekarza”.

(Śmieje się i spogląda na Bernarda, który też się śmieje.)

(Ojciec udaje grymas. Kolejna krótka chwila. Piją.)

BERNARD

odstawiając szklaneczkę na stół.

Doskonały ten Pana cydr, Panie Roque!

OJCIEC ROQUE

zdeenerwowany, bez pośpiechu.

Jeszcze po szklaneczce?

BERNARD

Nie, dziękuję... nie chcemy was zatrzymywać... Szykowaliście się do wyjścia, gdy tu przyszliśmy...

(W tym momencie matka Roque wychodzi z domu elegancko ubrana, w kapeluszu, w rękawiczkach, z parasolką. Marie wychodzi za nią.)

DOKTOR

patrząc na matkę Roque.

Wybieracie się na zabawę?...

MATKA ROQUE

Tak, właśnie tak, Panie Doktorze.

BERNARD

To dlatego jesteście tacy wystrojeni?...

OJCIEC ROQUE

który nadal ma nadzieję na konsultację, nie odpuszcza.

Jedynie Marie się nie ubrała...

BERNARD

A to dlaczego?...

(Do Marie.)

Dlaczego, panienko?

(Marie schyla głowę.)

OJCIEC ROQUE

Uparla się!... Nie chce iść na zabawę... Chce, byśmy uwierzyli, że jest chora! W jej wieku!...

BERNARD

oglądając ją.

A w jakim ona jest wieku?

MATKA ROQUE

Niedługo kończy szesnaście lat!...

DOKTOR

Słowo daję, dałbym jej osiemnaście.

BERNARD

Ładnie zbudowana, pełna zapału!

MATKA ROQUE

z dumą.

To prawda, że ładna dziewczyna!

OJCIEC ROQUE

Daliśmy jej to, co najlepsze! prawda, matko?

(Głośno się śmieje.)

DOKTOR

Wygląda wspaniale...

OJCIEC ROQUE

idąc do Marie.

Ach! widzisz, co mówi Doktor... Dość tych kaprysów... Idź się ubrać, zaraz wychodzimy...

MARIE

zrozpaczona.

Ale ja jestem chora... Nie mogę chodzić...

OJCIEC ROQUE

podnosząc na nią rękę.

Powtórz mi to jeszcze raz, że jesteś chora... a zobaczysz, jak cię ulecę...

DOKTOR

powstrzymując gest ojca Roque.

Spokojnie, Panie Roque...

MARIE

chroniąc się przed ojcem podbiega do matki.

Jestem chora... Jestem chora...

OJCIEC ROQUE

odsuwając się w głąb i wyrażając złość.

Co za diablica!...

DOKTOR

No, może ona naprawdę jest chora...

OJCIEC ROQUE

udając obojętność.

Niech się Pan nią nie przejmuję, Panie Doktorze, ona udaje!...

DOKTOR

Niech Pan jej da spokój... Być może źle się czuje!...

OJCIEC ROQUE

Mówię Panu, że udaje!

DOKTOR

do Marie.

Podejdź tu, moje dziecko,

(Marie powoli do niego podchodzi.)

Daj mi rękę...

OJCIEC ROQUE

nadal odgrywa swoją rolę.

Jest zdrowa jak jej ojciec i matka... Ja nigdy nie byłem chory, Doktorze... Caroline też nie... Tylko wtedy, gdy rodziła dziecko.

(Śmieje się.)

Ha! ha! prawda, matko?

DOKTOR

badając Marie.

Nie ma gorączki... Jak się czujesz?

MARIE

Głowa mnie boli...

DOKTOR

I to wszystko?

MARIE

No i mam skurcz pleców...

DOKTOR

z uśmiechem, do Bernarda,

Tak... zupełnie jak Jean-Pierre...

(Do ojca Roque.)

To ma związek z dorastaniem... Zobaczmy... rozepnij się trochę, chcę cię osłuchać...

(Mała Roque zaczyna rozpinąć bluzkę, Bernard jest naprzeciwko. Uważnie obserwuje tę scenę, wzrok mu płonie.)

OJCIEC ROQUE

na stronie, do żony.

No i co? Dostałem konsultację?

MATKA ROQUE

tak samo jak ojciec Roque.

Jesteś przebiegły!

(Mała Roque naiwnie rozpięła całą bluzkę, pokazując klatkę piersiową.)

DOKTOR

uśmiechając się i zasłaniając piersi bluzką.

Wystarczy...

(przykłada głowę do piersi, osłuchuje, po chwili ciszy:)

Zupełnie nic... niech dziś odpoczywa, to wszystko.

OJCIEC ROQUE

zachwycony.

Bardzo dziękuję, Panie Doktorze!...

DOKTOR

Wie Pan, czego jej potrzeba, Panie Roque?

OJCIEC ROQUE

żywo.

Może okładu?

DOKTOR

Nie, istnieje inne lekarstwo...

(Do Marie.)

Możesz się ubrać...

(Marie oddała się nieco, aby poprawić ubranie. Mija Bernarda, który patrzy na nią wzrokiem pełnym pożądania. Dziewczyna odwraca wzrok.)

OJCIEC ROQUE

z grymasem.

Och! Nie chcę jej kupować jakichś proszków...

DOKTOR

Proszków jej nie potrzeba... jej potrzeba męża...

MATKA ROQUE

wracając do domu.

Och! nie ma pośpiechu... jest jeszcze młodziutka...

DOKTOR

Jest młoda, ale szybko dorasta...

BERNARD

śmiejąc się, pokazując na klatkę piersiową małej.

Jabłuszka już dojrzałe...

DOKTOR

Trzeba ich pilnować przed złodziejami...

OJCIEC ROQUE

Nie ma obawy... ona jeszcze nie wszystko rozumie...

(W tym momencie na drodze, w głębi sceny pojawia się listonosz Médéric. Energiczna twarz starego żołnierza. Na mundurze listonosza nosi krzyż Legii Honorowej. Na ramieniu ma torbę na listy, a pod pachą łaskę.)

Scena X

CI SAMI, MÉDÉRIC

MÉDÉRIC

zatrzymując się, w głębi.

Witam wszystkich... Jest list do pana, ojciec Roque...

(podaje list ojcu Roque. Spostrzegając Doktora.)

O! Pan Doktor...

DOKTOR

Nic dla mnie, Médéric?

MÉDÉRIC

Ależ tak... gazety...

DOKTOR

Niech Pan da, nie będzie Pan już musiał do mnie iść...

(Médéric podaje mu gazety.)

MÉDÉRIC

szykując się do odejścia.

Ma Pan mi do przekazania jakieś listy, ojciec Roque?

OJCIEC ROQUE

czytając swój list.

Nie, dziś nie mam, ojcie Méderic... Proszę nie odchodzić, zanim się Pan z nami nie napije...

MÉDÉRIC

wchodząc na scenę.

Nie sposób odmówić!

OJCIEC ROQUE

do Marie.

Przynieś nam picie.

(Marie szybko wchodzi do domu.)

MÉDÉRIC

zauważa Mera, którego do tej pory zasłaniało drzewo.

O! dzień dobry, Panie Merze...

(Mer podaje mu rękę.)

OJCIEC ROQUE

chowając do kieszeni list, który przed chwilą czytał.

To list od syna.

DOKTOR

Ech! jak mu tam jest w pułku?

(W tym momencie wraca Marie niosąc ze sobą dzbanek cydru i szklaneczkę, którą stawia na stole.)

OJCIEC ROQUE

nalewając Médericowi.

Nieźle... Skończony nicpoń! Pisze zawsze wtedy, kiedy potrzebuje pieniędzy...

MÉDÉRIC

trzymając w ręku szklaneczkę.

Słowo daję! to już nie są żołnierze, ale rentierzy! Za moich czasów mieliśmy tylko ekwipunek, a pieniędzy wcale...

(Podnosząc szklaneczkę.)

Wasze zdrowie, Panowie!...

OJCIEC ROQUE

Za czasów Cesarstwa⁶ mieliśmy przynajmniej armię...

MÉDÉRIC

napiwszy się.

Teraz mają zastawy stołowe, łóżka... Niedługo będą im przyprowadzać kobiety... I cały czas się skarżą!...

OJCIEC ROQUE

dolewając Médéricowi.

Zanika dyscyplina!

MÉDÉRIC

Nie uczy się już porządnego posługiwania bronią... jeszcze trochę, a nie będą wiedzieć, za który koniec złapać strzelbę...

(pije kolejny łyk.)

BERNARD

W którym pułku Pan służył, ojcze Médéric?

MÉDÉRIC

W 5 Pułku Kirasjerów, Panie Merze. Brałem udział w całej kampanii 70 roku⁷... Zostałem ranny pod Reischoffen⁸...

.....

⁶ Ojcu Roque chodzi zapewne o Drugie Cesarstwo Francuskie, ustanowione 2 grudnia 1852 r., kiedy prezydent Republiki Francuskiej Ludwik-Napoleon Bonaparte został proklamowany Napoleonem III, Cesarzem Francuzów, definitywnie zakończone we wrześniu 1870 proklamacją III Republiki Francuskiej.

⁷ Szereg bitew w ramach wojny francusko-pruskiej (lipiec 1870 – maj 1871), w trakcie której upadło Cesarstwo i proklamowano III Republikę (4 września 1870).

⁸ Bitwa stoczona 6 sierpnia 1870 między siłami pruskiej 3 Armii a francuskim I Korpusem w okolicach Karlsruhe (dzisiejsza Badenia-Wirtembergia).

DOKTOR

Tak, słyszałem o Pana odwadze.

MÉDÉRIC

z ogromną prostotą.

Robiłem tylko to, co do mnie należało... nie wiem skąd to odznaczenie... Wszyscy koledzy robili to samo...

(odstawia szklaneczkę.)

OJCIEC ROQUE

Ach! dzielny ojciec Médéric. Prawdziwy bohater!... Jeszcze łyceczek, Médéric?

MÉDÉRIC

odmawiając.

Och! nie... za szybko uderza do głowy!... A ja jeszcze nie skończyłem służby na dziś...

(przygotowując się do odejścia.)

Do widzenia, Panie Merze... Do widzenia, Panie Doktorze.

(Podają sobie ręce.)

OJCIEC ROQUE

Nalegając, trzyma w ręce dzbanek.

Och! no dalej, jednego...

MÉDÉRIC

Nie...

OJCIEC ROQUE

Nic nie zdoła go zdeprawować!...

MÉDÉRIC

zostając jeszcze chwilę.

Nie widzieliście może mojego syna nicponia?

MATKA ROQUE

która w tym momencie wychodzi z domu.

Claude'a?

MÉDÉRIC

witając ją.

Dzień dobry, Pani Roque.

MATKA ROQUE

Dzień dobry, Médéric... Nie... od wczoraj nie...

MÉDÉRIC

Matka go wszędzie szuka... Nie można nad nim zapanować...

OJCIEC ROQUE

śmiejąc się.

Pewnie biega już za dziewczętami.

MÉDÉRIC

marszcząc brwi.

Niech lepiej uważa!...

(wychodzi.)

MATKA ROQUE

Jak się zjawi, to go do was odeślemy.

MÉDÉRIC

idąc, z daleka.

Dziękuję. Jeśli wybieracie się na zabawę, to życzę udanego wieczoru!

(odchodzi.)

Scena XI

CI SAMI, OPRÓCZ MÉDÉRICA

OJCIEC ROQUE

Oczywiście, że się wybieramy!...

MATKA ROQUE

Już najwyższy czas!

DOKTOR,

szykując się do wyjścia i biorąc swoją strzelbę.

My także już pójdziemy.

OJCIEC ROQUE

Ależ nie ma pośpiechu, odpocznijcie sobie, ile tylko chcecie...

Przecież chyba dobrze wam tutaj?... przyjemny cień... Przynieśliśmy wam jeszcze jedną butelkę... Czujcie się jak u siebie.

DOKTOR

odkładając strzelbę.

Dziękuję... dziękuję...

OJCIEC ROQUE

idąc po swoją łaskę w róg zagrody.

Gotowa jesteś, matko?...

MATKA ROQUE

całując Marie.

Zostań w domu, zmęczyłabyś się idąc na brzeg Brindille...

OJCIEC ROQUE

do córki.

Jesteś chora, nie powinnaś się jeszcze bardziej przeziębicić...

Chodź, pocałuj mnie.

(Marie go całuje.)

I przynieś jeszcze panom butelkę.

(Do matki Roque kierującej się na lewo do tylnego wyjścia.)

Ależ nie... przejdziemy przez zagajnik...

(pokazuje prawą stronę.)

Będzie szybciej...

(Matka Roque idzie przodem.)

DOKTOR

idąc za ojcem Roque.

Będzie około mili.

OJCIEC ROQUE

W tę stronę, tak...

DOKTOR

zdziwiony.

A z powrotem nie?

OJCIEC ROQUE

oddalając się.

Z powrotem dwa razy tyle.

DOKTOR

Jak to?

OJCIEC ROQUE

śmiejąc się.

Do licha! Po kilku szklaneczkach calvadosa nie sposób iść prosto, nieprawdaż?... I robi się spore zygzaki... Ha! Ha!

(Wychodzi po prawej stronie.)

DOKTOR

wesoło do niego krzycząc.

Nie należy przesadzać z calvadosem!...

OJCIEC ROQUE

z oddali.

Niech Pan będzie spokojny, Panie Doktorze... nie więcej niż litr...

DOKTOR

odprowadzając wzrokiem ojca Roque i robiąc kilka kroków na drodze.

Nicpoń z Pana!...

Scena XII

BERNARD, MARIE

Kiedy ojciec Roque wypowiada ostatnie słowa, Marie wychodzi z domu, niosąc butelkę, którą stawia na stole.

BERNARD

zbliżwszy się do niej.

Co będziesz tu robić sama?

MARIE

Wracam do domu, Panie Merze, mam obowiązki...

BERNARD

To takie pilne?...

MARIE

Oj tak!... muszę zrobić dużo rzeczy i jeszcze pójść do staruszka, żeby sprawdzić, czy mnie nie potrzebuje.

BERNARD

Jak on się miewa?

MARIE

Cały czas leży...

(Wraca do domu.)

BERNARD

patrząc na Marie pożądlwym wzrokiem.

Piękna dziewczyna!...

Scena XIII

DOKTOR, BERNARD

DOKTOR

wracając.

Ech! no dalej, mój stary... chyba nie zamierzamy tu spać?

BERNARD

siedzi na ławce

Poczekaj chwilę... bez pośpiechu... taki upał!...

DOKTOR

również siada i wyjmuję papierosa.

Muszę jeszcze iść do pacjenta...

BERNARD

Posiedźmy jeszcze minutkę... Chcesz się napić?

DOKTOR

Och! nie, wystarczy...

(Widząc, jak sobie nalewa.)

Źle robisz...

BERNARD

A to dlaczego?

DOKTOR

Bo to ci szkodzi... W tym cydrze jest dużo alkoholu... Polecam ci dietę, której masz się trzymać, a ty nie słuchasz...

BERNARD

uśmiechając się.

Ależ słucham...

DOKTOR

Wcale nie... jesteś sangwinikiem... bardzo nerwowym...

BERNARD

Czy można być jednocześnie sangwinikiem i nerwowym?

DOKTOR

Oczywiście... Czy wiedziałeś, że to właśnie najwięksi myśliwi, sportowcy i w ogóle ludzie przebywający często na świeżym powietrzu zdradzają najczęściej skłonności neurasteniczne?...

BERNARD

skręcając sobie papierosa.

Nie strasz mnie!...

DOKTOR

Żartuję, daj spokój!... Ale już ci wystarczy!... Zamiast siedzieć tutaj, powinieneś pójść się przespacerować, aby pobudzić krążenie krwi.

BERNARD

Nie mam siły przez ten upał. I głowę mam ciężką.

DOKTOR

No właśnie...

(Chwila ciszy. Zapala papierosa.)

A powiedz mi, dawno byłeś w Hawrze⁹?

BERNARD

Tak... ponad miesiąc temu... Dlaczego?

DOKTOR

Ponad miesiąc, no tak!... można by powiedzieć, że tylko ty jesteś widywany.

BERNARD

Ja! Gdzie?

DOKTOR

Tak, no nie na mszy, ma się rozumieć... ale w pewnych domach...

BERNARD

No i co z tego!... jestem mężczyzną, jestem wolny. No i nie jestem drewnianą kłódą!

DOKTOR

wstaje, idzie po swoją strzelbę i zawiesza ją sobie na ramieniu.

Tak, ale nie jesteś też z żelaza, więc uważaj.

BERNARD

również wstaje.

Powiedz, przychodzisz jutro na obiad?...

DOKTOR

Będzie Foucaud?

BERNARD

kierując się w głąb sceny, ku drodze.

Raczej tak! chyba że coś go zatrzyma w Pałacu... Nanette zrobi zajęcia, to ci powinno wystarczyć, mój stary...

.....

⁹ Duże miasto portowe w Normandii.

(Do Doktora, który zabiera ze stołu swoją sakiewkę na tytoń i gilzy do papierosów.)

No chodź, teraz ty się guzdrzesz.

(Skręca w prawo.)

DOKTOR

Dokąd idziesz? Roussotte mieszka tam...

(wskazuje lewą stronę.)

BERNARD

Tak, mój stary, ale do mnie idzie się tamtędy...

(pokazuje na prawo.)

Jest za gorąco, wracam.

DOKTOR

ciągnąc go na lewo.

Chodź, mój stary, przejdiesz się ze mną kilka kroków.

BERNARD

pozwalając się ciągnąć.

No dobrze, ale tylko kilka kroków...

DOKTOR

Co za leń!...

(Ich głosy cichną na drodze.)

Scena XIV

MARIE, sama

(Chwila ciszy. Kiedy poszli, Marie, która na to czekała, ostrożnie wychodzi z domu. Przez chwilę zatrzymuje się na progu, rozgląda się na wszystkie strony.)

MARIE

Już poszli!... są dość daleko!...

(Bardzo szybko zbiega po schodach i kieruje się na prawo, krzycząc.)
Claude!... Jesteś?! Claude!...

Scena XV

CLAUDE, MARIE

CLAUDE

niewidoczny, odpowiada.

Jestem!..

MARIE

rozglądając się.

Gdzie?... Nie widzę cię...

CLAUDE

nadal niewidoczny.

A ja ciebie widzę...

(Widać, jak wychyla się spośród gałęzi na czubku drzewa. Śmieje się.)
Hej!... Mogę do ciebie zejść?...

MARIE

która podniosła głowę i zobaczywszy Claude'a zaczęła się śmiać.
Pewnie! Wszyscy poszli, nikt nam nie będzie przeszkadzał...

(Claude powoli schodzi z drzewa.)

CLAUDE

podchodząc do Marie.
Mogę cię pocałować?...

MARIE

nadstawiając policzek.

Pocałuj.

(Całują się.)

Słyszałeś, że ojciec wszędzie cię szuka?

CLAUDE

Słyszałem. Również to, że ojciec Roque dręczył cię, abyś poszła na zabawę... Ledwo się powstrzymałem, żeby nie napluć mu na głowę.

MARIE

Tak, a doktor powiedział, że szybko dorastam.

(Głośno się śmieją.)

CLAUDE

łagodnie.

Nie żałujesz, że nie pojechałaś na zabawę?

MARIE

Pewnie, że nie, a ty?

CLAUDE

Ja wolę zostać tutaj... z tobą... Za to ty lubisz tańczyć...

MARIE

No przecież na tańcach się poznaliśmy, tamtej niedzieli...

CLAUDE

Nie lubię, kiedy tańczysz...

MARIE

A to dlaczego?

CLAUDE

Bo inni chłopcy cię obejmują, patrzą na ciebie... jestem zazdro-sny...

MARIE

Lubię tańczyć tylko z tobą...

CLAUDE

Chcesz zatańczyć, a ja zagwizdzę?

MARIE

Tak, chcę...

(Obejmują się i tańczą do wygwizdywanej przez Claude'a polki.)

MARIE

puszcza Claude'a, idzie usiąść na schodach, ocierając czoło.
Jest za gorąco...

CLAUDE

To chodźmy na brzeg Brindille; wykąpiemy się...

MARIE

Nie mogę. Kazali mi tu zostać... Mam się nigdzie nie oddalać.

CLAUDE

To niedaleko. Nikt się nie dowie.

MARIE

Jak się zmoczę, to zauważą.

CLAUDE

siadając obok niej, czule.

Nie chciałbym tego. Już lepiej zostać tutaj, ale przyjdiesz jutro na pole?

MARIE

Tak, spróbuję... pójdziemy od strony lasu... Tam są gniazda kosów...

CLAUDE

I porozmawiamy o naszym ślubie... żeby tylko twój ojciec się na mnie zgodził!...

MARIE

Dlaczego miałbym się nie zgodzić?...

CLAUDE

Do licha! bo jest bogatym farmerem. A ja jestem tylko synem biednego listonosza... Być może ojciec Roque chce cię wydać za rolnika z Bolbec...

MARIE

Nie martw się...

(Z ogromną naiwnością.)

Jeśli ojciec się zgodzi, urodzę ci dziecko. Chcesz?

CLAUDE

z prostotą.

Chcę.

(Po krótkiej chwili).

Ale trzeba będzie się dowiedzieć...

MARIE

Zrobię jak Césarine... Ona jest w ciąży.

CLAUDE

Naprawdę?... Jak to zrobiła?

MARIE

Nie chciała powiedzieć. Pewnie ją bolało.

CLAUDE

z czułością.

Och! Nie chcę ci sprawić bólu!

MARIE

To dlaczego wszyscy to robią, jeśli to boli?...

CLAUDE

Nie wiem.

MARIE

Widzisz, czasami wieczorem, kiedy już leżę w łóżku, słyszę jak tato i mama hałasują... Mama głośno stęka...

CLAUDE

naiwnie.

Może on jej sprawia ból...

MARIE

również naiwnie.

A może przeciwnie!

(W oddali słysząc Anioł Pański.)

Słyszysz, dzwonią!...

(Szybko wstają na znak szacunku.)

CLAUDE

Anioł Pański!...

MARIE

Trzeba to odmawiać wspólnie.

CLAUDE

Jak chcesz!

(Marie schyla głowę do modlitwy. Claude zdejmuję czapkę. Przypominają postaci z obrazu Milleta¹⁰.)

MARIE

recytując.

„Anioł Pański zwiastował Pannie Maryi”...

CLAUDE

podejmując recytację.

„I poczęła z Ducha Świętego”...

MARIE

kontynuując.

„Oto ja służebnica Pańska”...

CLAUDE

„Niech mi się stanie według słowa Twego”...

MARIE

„I Słowo stało się ciałem”...

CLAUDE

„I mieszkało między nami”.

(gwałtownie przerywa i patrzy na nią.)

Czy rozumiesz, co to znaczy?

MARIE

Nie... chociaż ksiądz to tłumaczył...

.....
¹⁰ Obraz francuskiego malarza Jean-François Milleta zatytułowany *Anioł Pański* ukończony w 1859, przedstawiający modlącą się parę wieśniaków. Obecnie obraz znajduje się w Musée d'Orsay.

CLAUDE

Może gdybyśmy byli małżeństwem, lepiej byśmy rozumieli...

MARIE

rozmarzona.

Może tak być.

(Po chwili. Słysząc dzwony na Anioł Pański w innej miejscowości. Robią znak krzyża.)

MARIE

patrząc na Claude'a, który ma nadal pochyloną głowę i jest zamyślony.

O czym myślisz?...

CLAUDE

Słucham dzwonów. I wyobrażam sobie, jak pewnego dnia usłyszymy je na naszym ślubie...

MARIE

zatrzymując go.

To prawda... A później na chrzcinach...

CLAUDE

ze smutkiem.

A później¹¹...

MARIE

Nie wymawiaj tego... to zbyt smutne...

CLAUDE

Kiedy o tobie myślę, smutno mi.

MARIE

A często myślisz?

.....

¹¹ Claude myśli o pogrzebie, jak gdyby przeczuwał nadchodzące nieszczęście.

CLAUDE

Najczęściej wieczorami, kiedy prowadzę krowy nad staw i słońce robi się czerwone. I wtedy o tobie myślę. I wyobrażam sobie, że gdybyś była obok mnie, to wziąłbym cię w ramiona i mocno przytulał. A później, jak już jestem z tobą, to nie mam odwagi...

(Nagle w oddali słychać krzyczącą kobietę: Claude! Claude!)

MARIE

Słyszysz, to matka cię woła.

CLAUDE

zdeenerwowany.

Ach! Czego ona ode mnie chce?

MARIE

Żeby jej tylko nie przyszło do głowy szukać cię tutaj...

CLAUDE

Poczekaj... pójde do domu powiedzieć, że jestem cały i zdrowy, a później wrócę tu do ciebie.

(Głos nadal woła: Claude! Claude!)

MARIE

całując go.

Wrócisz?

CLAUDE

też ją całuje.

Wrócę zaraz.

MARIE

Pośpiesz się.

CLAUDE

krzycząc.

Ide, mamó... idę...

(wychodzi i biegnie w prawo .)

Scena XVI

MARIE, BERNARD

Pod koniec poprzedniej sceny Bernard wrócił na farmę i zobaczywszy Marie i Claude'a, ukrył się za drzewem, aby podsłuchać, o czym mówią. – Kiedy Claude wychodzi, Marie odprowadza go kawałek, po czym wraca do stołu i zbiera szklanki, które zamierza zanieść do domu. Bernard podchodzi do niej powoli od tyłu i dotyka jej ramienia.

MARIE

odwracając się, przestraszona.

Ech?...

(Rozpoznając Bernarda.)

Ach! to Pan, Panie Merze... Ach! ale mnie Pan przestraszył...

Ach! bardzo.

(Kładzie rękę na sercu.)

BERNARD

śmiejąc się.

Przestraszyłem? Nie jestem przecież taki straszny! Powiedz, jak to jest udawać chorą, aby móc zostać z ukochanym?...

MARIE

protestując.

To nieprawda, Panie Merze.

BERNARD

chwytając ją za ucho.

Ach! mała lisica... jak to nieprawda?... Byłem tutaj... widziałem was...

MARIE

schylając głowę i uśmiechając się.

A więc to prawda, Panie Merze.

BERNARD

wskazując dom.

Dwa kroki od staruszka! A jakby was usłyszał?

MARIE

uśmiechając się.

Nie ma obawy... niczego nie usłyszy... jest głuchy.

BERNARD

Nieładnie postępujesz!

MARIE

idąc do domu.

Ale Claude to mój narzeczony...

BERNARD

Ach! Obiecał się z tobą ożenić?

MARIE

odzyskując spokój.

Tak, Panie Merze. Tylko niech pan nic nie mówi tacie, bo nie wiem, czy się na to zgadza.

BERNARD

A dlaczego nie?

MARIE

No cóż! Claude mówi, że jestem dla niego za bogata...

BERNARD

Boi się, że twój ojciec będzie robił problemy... Do licha! Może tak być...

(zbliża się do niej.)

Kiedy ma się taką piękną córkę jak ty...

MARIE

cofa się zaczerwieniona.

Och! Panie Merze... są piękniejsze... ja nie jestem piękna...

BERNARD

idąc za nią.

Jesteś... jesteś już piękną, młodą kobietą...

(Marie jeszcze bardziej się cofa i spuszcza wzrok.)

BERNARD

bardzo blisko, po chwili milczenia.

Ech! chyba mógłbym ci pomóc w tym małżeństwie!

MARIE

Pan?

BERNARD

Tak, ja!...

MARIE

z radością, zbliżając się do niego.

Ach! Panie Merze! Zrobi pan to dla nas?!

BERNARD

bardzo blisko niej, patrząc jej w oczy.

Tak, ale musisz być dla mnie miła... bardzo miła...

MARIE

naiwnie.

Co mam zrobić, aby być miłą?...

BERNARD

siadając.

Chodź, powiem ci...

(Kiedy dziewczyna przed nim stoi, bierze jej rękę i długo głaszcze.)

A wiesz, że będziesz śliczną, prześliczną panną młodą?!

MARIE

Och! Panie Merze!

BERNARD

Czerwienisz się?

MARIE

Bo mówi mi pan takie rzeczy...

BERNARD

głaszcząc ją po ręce, później po ramieniu.

Mówię to, co myślę... A żeby to udowodnić, dam ci pierścionek na tę śliczną rękę...

MARIE

Jest zbyt ciemna...

BERNARD

całując ją w rękę.

Nie jest ciemna, słońce nadało jej głębokiej, złotej barwy... Co byś chciała? Rubin czy diament?

MARIE

Nie wiem, nigdy nie widziałam...

BERNARD

wstając.

Ech! będziesz mogła sobie wybrać... a na szyję...

(głaszcze ją po szyi.)

... idealny będzie łańcuszek ze złotym krzyżykiem, czyż nie?

(Rozpalone spojrzenie.)

Masz piękną szyję.

(nagle gwałtownie całuje ją w szyję.)

MARIE

wyrywając się.

Och! Proszę Pana, to, co pan robi nie jest dobre...

BERNARD

Głupia!...

MARIE

Gdyby ojciec się dowiedział!...

BERNARD

opanowując się.

To takie żarty!

MARIE

No nie wiem...

(Po chwili.)

BERNARD

Dzikuska z ciebie! Taka sama będziesz w noc poślubną?

MARIE

Och! to nie to samo...

BERNARD

Ależ to właśnie to samo...

MARIE

Nie, to będzie z Claudem.

BRRNARD

Jestem pewien, że jemu już pozwalasz się pocałować?

MARIE

Do licha! to mój narzeczony!...

BERNARD

A czy ja mogę cię ucałować?

MARIE

naiwnie.

Tak, Panie Merze.

(Nadstawia mu policzek, ale on chyta jej głowę i siłą całuje w usta).

MARIE

odpychając go.

Ach! tak nie chcę...

BERNARD

trzymając ją w ramionach.

Głupia... Chodź tutaj!...

MARIE

cofając się w stronę domu, krzycząc.

Nie... niech pan mnie zostawi...

BERNARD

ogarnięty pożądaniem, zbliżając usta do jej ust.

To nie chcesz dostać pięknego pierścionka?...

MARIE

wyrywając się i krzycząc jeszcze głośniej.

Nie, nie chcę! Boję się pana!

BERNARD

przerażony, gwałtownie ją puszcza.

Idiotka!...

(Po chwili. Marie nie rusza się z miejsca, trzęsie się.)

Dobrze! Jak chcesz! I po co krzyczysz... i krzyczysz!... Nie zamierzam cię do niczego zmuszać!

(podnosi rękę do gardła, po czym ociera czoło.)

Duszo mi! Koszmarny upał¹²!...

(Spojrzawszy na dzbanek stojący na stole.)

Proszę, przynieś mi trochę wody. Możesz mi przynieść zimnej wody?

MARIE

nadal poruszona.

Tak, Panie Merze... oczywiście... Zaraz przyniosę...

(Bierze szklanę ze stołu i kieruje się w prawo.)

BERNARD

No co robisz? Dokąd idziesz?

MARIE

Do strumyka... Zaraz wracam... będzie zimna.

Marie biegnie w prawą stronę. Bernard patrzy na nią, gdy się oddala, następnie spogląda uważnie w stronę domu i w stronę drogi, aby się upewnić, że nikt nie nadchodzi i pewnym krokiem udaje się za Marie. Po czym nagle się zatrzymuje, przesuwając rękę po czole i mruczy:

Nie chcę... nie... nie chcę...

(Następnie ogarnięty dzikim pożądaniem, któremu nie potrafi się przeciwstawić.)

.....

¹² Pod wpływem upału mer staje się ofiarą własnych instynktów.

To silniejsze ode mnie... Muszę tam iść... Muszę¹³...

(Powziąwszy decyzję, biegnie w prawo, w kierunku lasu. Jego wzrok jest obłąkany, a twarz wykrzywiona. Chwila ciszy. W oddali słychać głośny krzyk. Kurtyna powoli opada, podczas gdy w oddali słychać, jak zegar na kościelnej wieży wybija szóstą.)

.....
¹³ W noweli Maupassanta zbrodnia pojawia się w drugiej części tekstu, w halucynacyjnej wizji bohatera. De Lorde, sugerując wprowadzenie tragicznego losu ofiary poprzez jej krzyk, nie zamierzał przedstawiać uduszenia czy gwałtu na scenie. Zamiast tego wołał, aby postać dramatyczna popełniła zbrodnię za kulisami:

„Nagle dziewczynka wyszła z kąpieli i nie widząc go zbliżyła się do niego, żeby odszukać odzież i ubrać się. W miarę jak podchodziła niepewnym krokiem, omijając ostre kamienie, czuł, że popycha go ku niej jakaś nieodparta siła, zwierzęcy zryw, który wzbudzał zamęt w jego ciele, oszałamiał duszę i przejmował drżeniem od stóp do głów.

Stała chwilę za wierzbą, która go osłaniała. Stracił wówczas przytomność, rozchylił gałęzie, rzucił się na nią i pochwycił w ramiona. Upadła, zbyt przerażona, żeby stawiać opór, zbyt przestraszona, żeby krzyczeć, a on posiadał ją nie zdając sobie sprawy, co robi.

Oprzytomniał po dokonaniu zbrodni, jak przytomnieje się po przeżyciu koszmaru. Mała zaczęła płakać.

– Cicho, cicho, dam ci pieniędzy! – powiedział.

Ale dziewczynka nie przestawała szlochać.

Powtórzył:

– Cicho, bądź wreszcie cicho! Bądź cicho.

Zapłakała jeszcze głośniej i próbowała się wymknąć.

Nagle zrozumiał, że jest zgubiony; schwycił ją za szyję, żeby powstrzymać w jej ustach te rozdzierające, straszne krzyki. Ponieważ zaś wciąż wyrывała się ze straceńczą siłą istoty, która chce uniknąć śmierci, zamknął dłonie kołosa na jej małej szyi nabrzmiałej od krzyku i ścisnął z taką wściekłością, że udusił ją w ciągu kilku minut, nie myśląc o morderstwie, chcąc tylko, żeby zamilkła.

Potem wstał oszalały ze zgrozy" (G. de Maupassant, *Mała Roque*, przeł. I. Wieczorkiewicz, [w:] idem, *Horla i inne opowiadania*, Czytelnik, Warszawa 1961, s. 136–137).

Akt II

Rodzaj przeszklonej werandy, która służy jako salon-palarnia i wychodzi na ogród. W głębi widać drzwi, do których prowadzi kilka stopni. Po prawej stronie, w głębi, drzwi do kuchni. Na prawo, na pierwszym planie schodki prowadzące do jadalni. Po lewej stronie, na pierwszym planie, drzwi z kluczem w zamku. Stół, krzesła, fotele. Gdy kurtyna się podnosi, Nanette wychodzi z kuchni niosąc kawę, którą stawia na stole.

Scena I

NANETTE, DOKTOR, FOUCAUD, NASTĘPNIE BERNARD

NANETTE

podając do stołu.

No... gotowe...

(Idzie otworzyć drzwi do jadalni.)

Jeśli panowie zechcą przyjść... kawa panów już podana...

GŁOSY

w jadalni.

Ach! dobrze... – Słyszałeś?... kawa podana. – Dobrze nam zrobi.

– Po takim obiedzie!... – Cóż za obiad, moje dzieci! – Przejdźmy do salonu... – Tylko skończę mój kieliszek...

(Wchodzi Doktor i Foucaud, kilka sekund później Bernard.)

DOKTOR

O tak, filiżanka dobrej kawy...

FOUCAUD

I dobre cygaro...

BERNARD

Mam doskonałe cygara... po pięć franków za sztukę...

FOUCAUD

Szelma!

DOKTOR

siadając przy stole.

Ach! moja droga Nanette, nie możemy się nachwalić.

NANETTE

Niech mnie pan nie zawstydz, Panie Doktorze...

DOKTOR

Przeszłaś samą siebie...

FOUCAUD

Ach! i ten łoś!...

DOKTOR

A zając!...

(mlaska.)

FOUCAUD

Palce lizać...

NANETTE

To jest moja własna receptura, Panie Sędzio... nie tam żadne normandzkie obrzydlistwo...

DOKTOR

Ach! w żadnym razie!...

FOUCAUD

Doskonale przyrządzony!... Kuchnia z klasą!

NANETTE

Nigdzie indziej pan takiego nie zje... Zrobiony z dokładnością... bez pośpiechu...

DOKTOR

W jakiej książce kucharskiej znalazła pani przepis?

NANETTE

śmiejąc się.

W książce kucharskiej!... Ach! oczywiście! Przecież ja nie umiem czytać, Panie Doktorze; wszystko jest moim wymysłem... I to dość skomplikowanym! Najpierw zalewam zającą połowę butelki maderskiego wina, później dolewam kieliszek koniaku i do-rzucam szczyptę...

FOUCAUD

śmiejąc się.

Wyborne...

NANETTE,

kontynuując,

...dużą szczyptę pieprzu, gałkę muszkatołową, goździki... tymianek... kilka szalotek, dwie, trzy dobrze posiekane cebule... i wszystko to łagodzę odrobiną śmietany...

BERNARD

poszedł do szafki po pudełko cygar, zdenerwowany.

Już dobrze... już dobrze... Wszyscy już znamy ten przepis... dzie-sięć razy już to opowiadałaś...

NANETTE

I dziesięć razy pan to jadł i nigdy to pana nie męczyło!...

FOUCAUD

śmiejąc się.

Dobrze powiedziane, Nanette!

BERNARD

opryskliwie.

Zamiast tyle gadać przynieś nam nalewki.

NANETTE

Pan jest zły?

BERNARD

szorstko.

Nie... przynieś nalewki.

NANETTE

Już przynoszę.

(Wychodzi.)

DOKTOR

Dlaczego jesteś taki szorstki? Co ona ci zrobiła?

BERNARD

Och! nic przecież...

FOUCAUD

To dobra dziewczyna!

DOKTOR

Bardzo oddana!...

BERNARD

To prawda... ale drażni mnie tymi swoimi przepisami.

DOKTOR

Niewdzięcznik!

FOUCAUD

To prawda. Przy obiedzie byłeś cały czas ponury.

DOKTOR

Dobrze się dziś czujesz?

BERNARD

Migrena mnie trochę męczy...

(wstaje i niespokojnie podchodzi do przeszklonych drzwi.)

Ale to nic takiego...

DOKTOR

Obiad był wyborny...

FOUCAUD

siadając okrakiem na krześle.

To prawda... Przepyszny... co to za kuchnia!...

(Do Bernarda.)

Na twoim miejscu poślubiłbym Nanette, aby mieć pewność, że całe życie będzie tak wyglądało.

DOKTOR

żartując.

To prawda, mój drogi, dbałaby o ciebie jak nikt inny... i jadłbyś jak król.

BERNARD

drwiąc.

Tak, pyszne jedzenie... opierunek... no, i cała reszta!...

DOKTOR

Cała najlepsza reszta!...

(Śmieją się. Bernard zmusza się do śmiechu.)

(Wchodzi Nanette z karafkami.)

NANETTE

stawiając karafki na stole.

Proszę!... Mogą panowie wybierać...

BERNARD

proponuje.

Koniak?... wiśniówka?... calvados?...

NANETTE

do Bernarda.

Czy mogę jeszcze coś podać?

BERNARD

Nie, to wszystko... dziękuję ci...

(Nanette zamierza wyjść.)

BERNARD

zatrzymuje ją delikatnie.

Wiesz, że nie chciałem ci sprawić przykrości... To tylko żarty...

NANETTE

Och! nie jest mi przykro... Znam pana jak nikt inny... Złośliwiec, ale o dobrym sercu.

(Wychodzi śmiejąc się)

Scena II

DOKTOR, FOUCAUD, BERNARD

DOKTOR

wesoło.

No i!... milutka jest!...

FOUCAUD

Prawdziwy skarb!...

(Podstawiając kieliszek Bernardowi.)

Napiję się koniaku!...

BERNARD

z zaciekawieniem, nalewając.

Co nowego w Pałacu?

FOUCAUD

Och! wiesz, mój stary, jako sędzia w Bolbec nie mam wiele pracy...

BERNARD

Wierzę!...

(Do doktora.)

Czego ci nalać?

DOKTOR,

Podstawiając kieliszek.

calvadosa!...

BERNARD

Masz rację. Nic nie robi tak dobrze, jak kieliszek calvadosa...
zwłaszcza tego...

DOKTOR

Ojciec Roque wczoraj chyba przesadził z tymi szklaneczkami...

(Na dźwięk słowa Roque Bernardem wstrząsa dreszcz.)

Uważaj, na Boga! Trzęsiesz się jak w febrze, wylałeś połowę obok...

BERNARD

Przerywa mu gwałtownie i nerwowo, przybierając pozór wesołości.

Posmakuj tego uważnie... powiedz mi, co myślisz... Sam go rozlewałem do butelek... piętnaście lat temu... dasz wiarę? Piętnaście lat!... Hę!... jest doskonały!... Powiedz, czy piłeś kiedykolwiek coś lepszego!...

DOKTOR

próbując.

Wyśmienity!...

FOUCAUD

Remont w merostwie postępuje?

BERNARD

Tak, już prawie koniec...

FOUCAUD

Myślę, że szykuje się piękne otwarcie, he?... Prefekt... strażacy... orkiestra...

DOKTOR

I hostessa w różanym wianku...

FOUCAUD

Jest jeszcze ten zwyczaj?

DOKTOR

śmiejąc się.

Można by wziąć Césarine Malivoire.

FOUCAUD

Podobno jest w ciąży!

DOKTOR

prześmiewczo.

To dlatego chcieli dokonać otwarcia za dwa tygodnie... Jeśli będą czekać miesiąc, stanie się to zbyt widoczne.

FOUCAUD

kokieteryjnie.

A pamiętasz żonę poborcy z Criquetot¹⁴?

DOKTOR

Tak, blondynka o zielonych oczach!

.....

¹⁴ Criquetot-l'Esneval, gmina w departamencie Seine-Maritime, w Normandii.

FOUCAUD

Rozwodzi się.

DOKTOR

A to dlaczego?

FOUCAUD

Ach! dziwna historia... chodzi o alkowę... oczywiście sprawa za zamkniętymi drzwiami... ale w Pałacu nie mówi się o niczym innym...

DOKTOR

Opowiadaj... to zawsze sprawia przyjemność... czyż nie, stary lubieżniku?...

FOUCAUD

zbliżając się do doktora.

Nie starszy od ciebie! No cóż, wyobraź sobie, że jej mąż od pewnego czasu upodobał sobie...

(Foucaud zniża głos i mówi doktorowi do ucha.)

DOKTOR

śmiejąc się głośno.

Och! Och! to obrzydliwe!...

(W tym momencie słychać pukanie do drzwi.)

BERNARD

podskakując.

Proszę!...

(Nanette wchodzi, bardzo poruszona.)

Ach! to ty... nie musisz tak głośno pukać!... Wejdz... co się stało?

DOKTOR

dostrzegając jej poruszenie.

Wyglądasz na zdenerwowaną, Nanette.

BERNARD

niecierpliwie.

No mów wreszcie! Co się dzieje?

NANETTE

głucho.

Przyszedł... przyszedł Médéric, listonosz, bardzo chce się z panami widzieć... coś bardzo poważnego...

DOKTOR

wstając.

Bardzo poważnego!...

BERNARD

blednąc.

Ach!... No cóż! dobrze, niech wejdzie.

(Nanette wychodzi, zostawiając otwarte drzwi z prawej strony.)

FOUCAUD

również wstał.

O co może chodzić?

BERNARD

bełkocze, bardzo poruszony.

Nie wiem... Nie wiem. Skąd mam wiedzieć...

(Médéric wchodzi.)

Scena III

MÉDÉRIC, BERNARD, FOUCAUD, NANETTE, DOKTOR

MÉDÉRIC

wstrząśnięty.

Ach! dzień dobry, Panie Merze... Dzień dobry, panowie... Przepraszam, że panom przeszkadzam, ale muszę coś panom powiedzieć...

BERNARD

Co?... co?

MÉDÉRIC

Chodzi o małą Roque, którą właśnie znalazłem martwą w lesie...

FOUCAUD

Że co?

DOKTOR

Co pan mówi?

MÉDÉRIC

Tak, panowie, sto metrów od domu ojca Roque, na brzegu Brindille...

BERNARD

bardzo zdenerwowany.

Nie żyje?

MÉDÉRIC

Och!... cała zimna... już po niej!

FOUCAUD

Miała wypadek?

MÉDÉRIC

Wypadek!... Ach! Panie Sędzio, to coś gorszego: zbrodnia... została uduszona...

FOUCAUD

Uduszona!

MÉDÉRIC

kontynuując,
... I zgwałcona!

DOKTOR

Zgwałcona!

NANETTE

Ach! mój Boże!...

FOUCAUD

Jesteś pewien?

MÉDÉRIC

Pewien jak to, że was widzę...

DOKTOR

Chodźmy, szybko... Nanette, kapelusze... szybko, szybko...

FOUCAUD

Gdybym przychodząc tutaj mógł się spodziewać...

DOKTOR

To nie do wiary!... Biedna mała! Widzieliśmy ją dopiero co.
(*Do Bernarda.*)

Hę! Co ty o tym wszystkim myślisz?

BERNARD

jąkając się,
Tak... Ach!... to jest...

NANETTE

wracając z kapeluszami.

Co za nieszczęście!... Jej biedna matka wszędzie jej szuka... kiedy się dowie!

MÉDÉRIC

Potworność!

FOUCAUD

zakładając kapelusz.

Ech! nie do wiary! co za szok...

MÉDÉRIC

grożąc.

Ach! jakbym tylko dostał tego łajdaka w swoje ręce!...

FOUCAUD

Kiedy ją pan znalazł?

MÉDÉRIC

Przed chwilą, wracałem z objazdu... Szedłem przez tamten las... z daleka zobaczyłem coś białego leżącego na ziemi... podszedłem bliżej... zobaczyłem kobietę z podwiniętą do góry suknią, twarz zakrywała chustka... Znieruchomiałem, ale powiedziałem sobie: Trzeba zobaczyć, kim ona jest... Podniosłem chustkę i zobaczyłem... Ach! nigdy nie zapomnę, co zobaczyłem! Twarzyczka prawie czarna... język wyszedł na zewnątrz... oczy całe białe, zupełnie wywrócone¹⁵... To było straszne!

FOUCAUD

z zawodowym spokojem.

Mam nadzieję, że nie ruszał pan ciała?

.....

¹⁵ Oczywiście prawdziwą obsesją Teatru Grand-Guignol.

MÉDÉRIC

Och! nie, Panie Sędzio, niczego nie dotykałem!... Nie chciałem niczego utrudnić... posłuchałem tylko, czy serce bije... I od razu przybiegłem tutaj... To wszystko!...

FOUCAUD

Dobrze pan zrobił. Mówi pan, że twarz przykrywała chustka?

MÉDÉRIC

Tak. Ale to na nic, Panie Sędzio, nie ma na niej żadnego śladu...

FOUCAUD

Szybko, idźmy tam... nie ma czasu do stracenia...

MÉDÉRIC

Poprowadzę panów...

FOUCAUD

do Bernarda.

Idziesz z nami?

BERNARD

niepewnie.

Cóż... jeśli mam iść...

DOKTOR

gwałtownie.

Nie, nie jesteś tam potrzebny... nie musisz tego oglądać... jesteś zbyt wrażliwy i nerwowy... Zostań... jesteś już zbyt wstrząśnięty¹⁶...

(Doktor i Foucaud wychodzą, prowadzeni przez Médérica.)

.....

¹⁶ W noweli Maupassanta mer udaje się z przyjaciółmi na miejsce zbrodni.

Scena IV

NANETTE, BERNARD

(Nanette idzie zamknąć drzwi, po czym bezsilnie osuwa się na krzesło.)

NANETTE

Ach! to dla mnie zbyt wstrząsające, nie mogę się ruszyć... Czy chce się pan czegoś napić, aby ochłonać?...

BERNARD

Nie, zostaw mnie... niczego nie chcę...

NANETTE

Jest pan biały jak ściana.

BERNARD

głucho.

Tak... nieważne...

NANETTE

nalegając.

Niech się pan uspokoi... trzeba się czegoś napić...

BERNARD

zdenewrowany.

Daj mi spokój...

NANETTE

zrzędząc.

To nierozsądne!...

(Słychać dzwonek przy bramie, później głosy w ogrodzie.)

BERNARD

Kto to dzwoni? Kto tu idzie?

NANETTE

Nie wiem... nic nie słyszę.

BERNARD

Idź zobacz! ktoś jest w ogrodzie... Nie oszalałem. Słyszę kogoś.

NANETTE

idąc na werandę i wyglądając.

Proszę pana, to matka Roque... Biedaczka!...

BERNARD

nagle podskakując.

Matka Roque... Nie chcę jej widzieć... nie chcę jej widzieć...

NANETTE

Może ona wie...

BERNARD

odchodzi na prawo, aby wyjść.

Nie chcę jej widzieć...

NANETTE

A może przyszła, aby zapytać, czy już coś wiadomo. Co mam jej powiedzieć?

BERNARD

Co chcesz... co chcesz... ale ja nie chcę jej widzieć...

(jak szalenciec wbiega po schodkach.)

Nie chcę jej widzieć...

(Następnie znika.)

(W tym momencie wchodzi matka Roque.)

Scena V

MATKA ROQUE, NANETTE

MATKA ROQUE

zdyszana z powodu biegu.

Czy jest Pan Mer?

NANETTE

starając się ukryć emocje.

Nie, pani Roque... nie ma go... wyszedł... Pani w jakiej sprawie?...

MATKA ROQUE

Przyszłam zapytać, czy już coś wiadomo...

NANETTE

Ach! pani nadal nic nie wie?...

(Wahając się.)

My też nie... nic jeszcze nie wiemy...

MATKA ROQUE

Ach! panienko Nanette, na Boga, to niemożliwe, boję się, że stało się coś złego... Wczoraj o ósmej wieczorem nie było jej na farmie!... Proszę sobie wyobrazić! Wszędzie jej szukałam, byłam nawet rano w mieście, na wypadek, gdyby jej coś strzeliło do głowy... uprzedziłam żandarmów... Niemożliwe, żeby tak zniknęła!...

NANETTE

Proszę się uspokoić... szukają jej...

MATKA ROQUE

nieufnie.

Czy na pewno pani nic nie wie?

NANETTE
z naciskiem.
Na pewno...

MATKA ROQUE
Jeśli pani coś wie, proszę niczego nie ukrywać... proszę mi powiedzieć wszystko...

NANETTE
Ależ nic nie wiem...

MATKA ROQUE
Ach! to moja wina! nie powinnam jej zostawiać samej... powinnam z nią zostać... Musiało się stać coś złego!...

NANETTE
pocieszając ją.
No już... no już, pani Roque!... A gdzie jest pani mąż?

MATKA ROQUE
On też jej szuka... Prawie postradał zmysły!... On ją bardzo kocha.

NANETTE
Wszyscy ją kochają... Była...
(poprawiając się.)
Jest taka milutka!... No już, pani Roque,... trzeba mieć odwagę... nie poddawać się... To nic nie da... Może ona jest...

MATKA ROQUE
Gdzie ona może być?...

NANETTE
Nie wiem...

(W tym momencie słysząc dzwonek w ogrodzie, później nieokreślony hałas.)

Ach! już są!...

(Nanette robi niespokojny gest próbuje odesłać matkę Roque przekrzykując głosy z zewnątrz.)

Proszę posłuchać!... proszę przyjść później... Z pewnością będzie coś wiadomo...

MATKA ROQUE

kierując się ku drzwiom od strony ogrodu.

Tak pani myśli?...

NANETTE

kierując ją ku drzwiom kuchennym.

Proszę wyjść przez kuchnię... łatwiej będzie spotkać Mera... często wraca od strony rozdroża... Wraca z zebrania... może będzie mógł coś pani powiedzieć... a ja nic nie wiem... rozumie pani, nie wiem... nie mogę nic powiedzieć... nie mogę...

(Matka Roque wychodzi na prawo płacząc. Nanette po zamknięciu drzwi.)

Ach! nie, nie mogłam...

(Ciężko opada na fotel.)

(Wchodzi Médéric.)

Scena VI

NANETTE, MÉDÉRIC

NANETTE

Ach! to pan!

MÉDÉRIC

Przenoszą ciało.

NANETTE

Gdyby przyszedł pan wcześniej, spotkałby pan matkę Roque.

MÉDÉRIC

Biedaczka!

NANETTE

Przyszła zapytać, czy coś wiadomo... Nie miałam odwagi... Na szczęście zobaczyłam, że pan idzie... kazałam jej iść od strony rozdroża.

MÉDÉRIC

Spotkaliśmy jej męża...

NANETTE

Czy już wie?

MÉDÉRIC

Wie...

(Wybuchając złością.)

Ale, na Boga... kto mógł popełnić taką zbrodnię...

NANETTE

Któryś z tych nikczemnych włóczęgów zwabionych zabawą.

MÉDÉRIC

To bardzo możliwe!

NANETTE

Czy musimy się zgadzać, żeby chodzili, gdzie im się podoba... Samo zło z ich strony.

MÉDÉRIC

No, ale od dwudziestu lat w naszej okolicy nie stało się nic złego. Cicho!... czy pani słyszy? już wrócili.

(Słuchać kroki i głosy.)

NANETTE

wychodząc na werandę z Médérikiem.

Tak, to oni... Ech! cały tłum z nimi idzie... Chyba nie zamierzają wszyscy wejść do ogrodu!

MÉDÉRIC

Spokojnie. Niech pani spojrzy, żandarmi ich zatrzymują.

NANETTE

żegnając się.

Mają nosze.

(W tym momencie słychać głos Foucauda, który mówi: „Czekajcie!”... następnie wchodzi wraz z Doktorem i jednym z żandarmów.)

Scena VII

CI SAMI, FOUCAUD, DOKTOR, BRYGADIER ŻANDARMERII

FOUCAUD

Ach! tu pani jest, Nanette... Proszę powiedzieć... gdzie chwilowo położyć ciało? W merostwie nie ma żadnego odpowiedniego miejsca.

NANETTE

zastanawia się przez chwilę.

Cóż, panie Sędzio, tam, w tamtym pokoju... jeśli pan chce...

(Pokazuje na lewo.)

Nikt z niego nie korzysta... Jest nawet łóżko, można ją położyć...

FOUCAUD

To jedyne wejście?

NANETTE

Nie... jest jeszcze wejście od strony ogrodu...

FOUCAUD

Ach! dobrze...

(Do żandarma.)

Panie brygadierze, proszę postawić żandarma na warcie przed domem, aby żaden ciekawski nie wszedł do ogrodu... A później proszę kazać położyć ciało w tym pokoju¹⁷... proszę pójść tam-tędy... i wrócić... czekam tutaj na pana...

(Do Nanette.)

Nanette, proszę mi przynieść coś do pisania...

NANETTE

Dobrze, panie Sędzio.

(Przynosi z głębi pokoju kałamarz i kładzie przed Sędzią podkładkę do pisania.)

FOUCAUD

Muszę powiadomić Prokuratora. Natychmiast wyślę depeszę do Prokuratury w Rouen...

MÉDÉRIC

proponując.

Jeśli pan Sędzia zechce, mogę...

FOUCAUD

Tak, proszę zostać, Médéric, będę pana potrzebował...

.....
¹⁷ W noweli Maupassanta mer gwałtownie się sprzeciwia przyniesieniu do jego domu ciała zmarłej. Badanie sądowo-lekarskie wykonane więc zostanie w innym miejscu. Celem de Lorde'a było bez wątpienia stworzenie nieznośnej dla bohatera atmosfery.

BRYGADIER

wracając.

Panie Sędzio...

FOUCAUD

Gotowe?

BRYGADIER

Gotowe, panie Sędzio.

FOUCAUD

skończywszy pisać depeszę.

Proszę...

(podaje ją żandarmowi.)

Proszę wysłać tę depeszę... tylko szybko, dobrze?

(Brygadier wychodzi.)

FOUCAUD

Pan, Médéric, pójdzie pan poszukać ojca Roque i przyprowadzi go pan tutaj jak najszybciej...

MÉDÉRIC

Jest tutaj, przed merostwem...

FOUCAUD

Muszę go przesłuchać...

MÉDÉRIC

Już po niego biegnę, panie Sędzio...

(wychodzi.)

Scena VIIII

FOUCAUD, DOKTOR, PÓŹNIEJ BERNARD

DOKTOR

wchodząc drzwiami po lewej stronie.

Biedna mała!

(W tym momencie pojawia się Bernard.)

BERNARD

dostrzegając Foucauda i Doktora.

Już jesteście?...

(Schodząc po schodach.)

I udało się coś ustalić?...

FOUCAUD

Mamy do czynienia ze zbrodnią... Doszło do gwałtu i uduszenia.

BERNARD

Ach!...

DOKTOR

Dokładnie... najpierw gwałt, następnie uduszenie!...

BERNARD

zachowując dużo zimnej krwi.

Masz jakieś podejrzenia, wskazówki?

FOUCAUD

Żadnych...

(do wracającego Médérica.)

O co chodzi?

MÉDÉRIC

Przyszedł ojciec Roque.

FOUCAUD

Dobrze, niech wejdzie...

(Médéric wychodzi.)

Przystąpimy do wstępnego przesłuchania!... może natrafimy na jakąś wskazówkę... Kto wie!...

(Wchodzi ojciec Roque i Médéric.)

Scena IX

OJCIEC ROQUE, FOUCAUD, BERNARD, MÉDÉRIC,
DOKTOR

Wchodzi ojciec Roque, jest zgarbiony, Médéric go podtrzymuje. Złamany bólem, jak gdyby nieobecny. Ciężko siada na krześle, rozgląda się wokół i zanosi się płaczem.

FOUCAUD

po ojcowsku.

Musimy mieć odwagę, mój dobry Roque... Poprosiłem, aby pan przyszedł, ponieważ być może posiada pan informacje pomocne w ustaleniu prawdy...

(Ojciec Roque milczy ze zwieszoną głową.)

Wiem, jak bolesna jest pana sytuacja... Proszę spróbować zachować na chwilę jasność umysłu i zimną krew... proszę sobie przypomnieć... Później nie będziemy już panu zakłócać przeżywania żałoby...

OJCIEC ROQUE

jakby do samego siebie.

Czy to możliwe!... To, co się stało!... A więc nie ma dobrego Boga, bo nigdy by na to nie pozwolił!

FOUCAUD

wyjmuje z kieszeni chustkę.

No już, ojcze Roque, odwagi!... Czy poznaje pan tę chustkę?

OJCIEC ROQUE

Tę chustkę?

(bierze ją i ogląda.)

Należała do małej...

FOUCAUD

Ach!... jest pan pewien?

OJCIEC ROQUE

Poznaję ją po tym...

(Wskazuje na niebieską lamówkę.)

W zeszłym roku matka kupiła jej dwa tuziny w Étretat¹⁸...

„To będzie początek twojej wyprawy”, mówiła jej...

(Dławiąc ból.)

Jej wyprawy!...

FOUCAUD

odkładając chustkę, do Bernarda.

Miałem nadzieję, że naprowadzi nas na jakiś ślad... No, trudno...

OJCIEC ROQUE

kontynuując.

Jak ona kochała swoją małą... była z niej dumna... a teraz, co jej się stało!... Panie Sędzio, kiedy nam ją oddacie?

.....

¹⁸ Miejscowość w Normandii, w departamencie Sekwana Nadmorska.

FOUCAUD

Gdy tylko biegły lekarz zakończy autopsję.

OJCIEC ROQUE

A więc zabieracie ją do Rouen?

FOUCAUD

Należy tak zrobić.

OJCIEC ROQUE

Nie chcę, żeby tak przewożono moją małą!... Nie chcę, aby jej było niewygodnie, nawet po śmierci... Ona jest moja, prawda?... Chcę ją z powrotem.

FOUCAUD

Nie chce pan, abyśmy kontynuowali śledztwo? Czy zabójca ma nam uciec?

OJCIEC ROQUE

z dziką gwałtownością.

Ach! nie, panie Sędzio... trzeba go znaleźć... ma skończyć na gilotynie... Chcę to zobaczyć... pójdę zobaczyć, jak spada jego głowa!... Ach! żadnej litości, żadnej łaski... bo inaczej rozszarpie go własnymi rękami... ale nie będzie dla niego litości, Panie Merze?... To by nie było sprawiedliwe!...

(potrząsa Bernardem, który błednie.)

FOUCAUD

Proszę się uspokoić, ojczyźnie Roque...

(pomaga mu usiąść. Cicho do Doktora:)

Biedak!... A jednak muszę go przesłuchać...

(Do ojca Roque.)

Proszę odpowiedzieć na pytania, które panu zadam. – O której godzinie zostawiliście córkę w domu?

(Ojciec Roque przez chwilę się zastanawia, milcząc.)

DOKTOR

wtrącając.

Ja mogę to powiedzieć dość dokładnie... Wraz z Bernardem przyszliśmy do ojca Roque, aby trochę odpocząć: było około wpół do piątej... Wyszliśmy za pięć piąta: spojrzałem na zegarek. A ojciec Roque opuścił nas kwadrans wcześniej, aby udać się na zabawę; prawda, Bernardzie?

BERNARD

bardzo się starając zachować spokój.

Tak, tak było...

OJCIEC ROQUE

Ostatnim, który widział moją małą, był pan, Doktorze... i pan, Panie Merze...

FOUCAUD

do Bernarda i do Doktora.

Czy zauważyliście coś podejrzanego w zachowaniu małej?

BERNARD

bardzo spokojnie.

Prawie jej nie widzieliśmy... Gdy rodzice wyszli, ona weszła do domu... A my zostaliśmy na zewnątrz.

DOKTOR

Piętnaście minut później wyszliśmy... rozstaliśmy się w lasku... poszedłem na wizytę do pacjenta...

BERNARD

A ja spokojnie wróciłem tutaj.

FOUCAUD

do ojca Roque.

Skoro szliście na zabawę, dlaczego jej nie zabraliście?...

OJCIEC ROQUE

Gdy mieliśmy wychodzić, powiedziała, że nie czuje się dobrze...
nawet pan Doktor ją zbadał...

DOKTOR

Niczego nie znalazłem. Nic jej nie było...

OJCIEC ROQUE

Ach! była silna... i na dodatek odważna... a jaka gospodarna...

FOUCAUD

Miała chłopca?

OJCIEC ROQUE

z naciskiem.

Panie Sędzio, jestem pewien, że moja córka była uczciwa, mogę
przysiąc... I dlatego, kiedy wróciliśmy na farmę i jej tam nie było,
nie pomyślałem od razu, że stało się coś złego, tak po prostu...
Sądziłem, że się gdzieś schowała... dla żartu...

(W tym momencie w oddali słychać bicie dzwonu.)

A teraz ten dzwon bije dla niej!... Czy to możliwe!...

(Wpada w rozpacz i woła ją głosem pełnym bólu.)

Marie!... moja mała Marie!...

DOKTOR

zbliżając się do niego.

No już, niech się pan uspokoi, ojcze Roque...

OJCIEC ROQUE

wściekle.

Zostaw mnie pan!...

FOUCAUD

po chwili ciszy.

Ale proszę nam powiedzieć, panie Roque...

(Ojciec Roque uparcie milczy, głowa zwieszona.)

DOKTOR

cicho do Foucauda.

Teraz nie ma sensu nalegać, wierz mi...

FOUCAUD

Dobrze...

DOKTOR

bardzo czule do ojca Roque.

Dobrze, mój przyjacielu... proszę wrócić do siebie... Na tym etapie nie jest pan już potrzebny. Médéric, proszę go odprowadzić do domu...

OJCIEC ROQUE

wstając.

Do domu!...

(Bolesny śmiech.)

Ach! do domu!...

FOUCAUD

prowadzi go.

No dalej, odwagi, ojciec Roque... dosięgło pana okrutne cierpienie, to prawda, ale ma pan jeszcze syna...

OJCIEC ROQUE

Tak, wiem... ale, widzi pan, panie Sędzio, nic jej nie zastąpi...

(Wychodząc, w rozpacz.)

Nie, nic jej nie zastąpi...

(Znika w głębi, Médéric go prowadzi.)

Scena X

FOUCAUD, BERNARD, DOKTOR

FOUCAUD

po chwili ciszy.

Biedak!...

DOKTOR

To jak teraz będziesz szukać zabójcy?...

FOUCAUD

otrząsając się z zamyślenia.

Moim zdaniem nie należy szukać daleko; jestem przekonany, że zabójca znał swoją ofiarę... Wiedział, kiedy będzie sama. Śledztwo musi być prowadzone w kierunku najbliższego otoczenia małej Roque.

(do Bernarda.)

Co o tym sądzisz?...

BERNARD

powoli, ale bez widocznego niepokoju.

Ja?... Sądzę, że się mylisz... Jestem pewien, że się mylisz... Widzę w... tej zbrodni... dzieło włóczęgi... tułacza... Zwłaszcza teraz, gdy w Bolbec odbywa się targ... Są wszędzie...

FOUCAUD

Tułacz?...

(Gest niedowierzania.)

BERNARD

Czemu nie?

FOUCAUD

Wiem, że wieśniacy mają o nich najgorszą opinię i posądzają ich o wszelkie zło.

BERNARD

potwierdzając.

Mają rację.

FOUCAUD

W większości są to biedne, niewinne typy.

BERNARD,

z rosnącą energią.

No co ty! Nie znasz ich! Przecież dwa lata temu dostali się tutaj w środku nocy. Gdyby nie obudził mnie hałas i nie strzeliłbym dwa razy ze strzelby, kto wie, co by zrobili?... A w zeszłym roku... w Ifs¹⁹, farmer ledwie uszedł z życiem!

FOUCAUD

Nie wiemy, kto to był!

BERNARD

bardzo podniecony.

To zupełnie bez sensu, że nie chcesz mi wierzyć... Na Boga, mam dziesięć lat doświadczenia!... Mówię ci, że ci ludzie są zdolni do wszystkiego... Przesłuchiwałem wielu w merostwie... To nie głód i pragnienie im zawsze doskwierają... Często jest to zwierzęca chuć.

FOUCAUD

Zgoda, zwierzęca chuć! ale nie żądza krwi.

BERNARD

Nie zamierzał zabić!

.....

¹⁹ Gmina w departamencie Calvados, w Normandii.

FOUCAUD

A co się stało?

BERNARD

który mówiąc coraz bardziej się gorączkuje i staje się coraz mniej ostrożny.

Mam ci powiedzieć, co moim zdaniem mogło się stać? Po naszym wyjściu, skądinąd mogliśmy być obserwowani, kto wie?... ten człowiek wszedł na farmę, aby poprosić o coś do picia albo do jedzenia. Zobaczył, że mała jest sama; a więc zaczął ją głaskać, pieścić... Rozumiesz, co chcę powiedzieć?... Wiem... była dziewicą... ale to nic nie szkodzi... wszystkie te dziewczyny są teraz pełne zepsucia... Wszystko wiedzą, wszystko robiły... oprócz tego!... Zaciągnął ją do lasu. A tam próbował ją wziąć. Mała się wystraszyła, zaczęła krzyczeć... A on wpadł w panikę, niewiele myśląc zabił ją, – och! nie chciał jej zabić, jestem tego pewien, jaki miałby powód, aby ją zabijać?... Nie, on chciał ją jedynie pojąć – próbował zagłuszyć krzyki małej... złapał ją za gardło... nie wiedząc, co robi... zacisnął... zacisnął...

(przestaje mówić, jest przerażony tym, co powiedział, bądź przytłoczony wizją.)

DOKTOR

Mój Boże, to bardzo możliwe...

BERNARD

Prawda?...

FOUCAUD

Wiesz, że byłbyś doskonałym adwokatem!...

BERNARD,

odzyskawszy pewność siebie po wypowiedzi Foucauda.

W każdym razie, jak sądzę, śledztwo będzie niezwykle trudne.

FOUCAUD

Takie rzeczy nigdy nie są łatwe, mój drogi... No, ale w naszym zawodzie nigdy nie należy dawać za wygraną...

(Zapalając papierosa.)

Widziałem już rzeczy niezwykle skomplikowane, które wyjaśniały się same, nagle, po kilku miesiącach, na skutek nieprzewidzianych okoliczności...

BERNARD

Jak to?...

FOUCAUD

Istnieje wiele sposobów, aby sprawca dał się nakryć... Ktoś coś powie... ktoś popełni nieostrożność...

BERNARD

zuchwale.

No i wyrzuty sumienia!

DOKTOR

Och! wyrzuty sumienia!... Łajdacy nie wierzą w Boga ani w diabła!...

(do Foucauda.)

Czy w twojej karierze spotkałeś się z wyrzutami sumienia?

FOUCAUD

No cóż, rzadko.

DOKTOR

Bywają charaktery słabe i charaktery silne... Te pierwsze ulegają wstrząsom...

FOUCAUD

I to są właśnie wyrzuty sumienia²⁰!

.....

²⁰ I to właśnie wyrzuty sumienia zgubią Bernarda.

BERNARD

zamyślony.

Istotnie trzeba być silnym, aby nosić w sobie swój sekret – całym sam – przez całe życie... całe swoje życie...

(Dzwony znów zaczynają bić.)

Te dzwony... nie sądzicie, że jest w nich coś niepokojącego?...

(Wchodzi żandarm.)

ŻANDARM

Panie Sędzio, przyszła matka Roque. Już wie... chce za wszelką cenę zobaczyć ciało córki...

FOUCAUD

No dobrze, proszę ją zaprowadzić... ale tylko przez chwilę, rozumie pan? Potem musi wyjść.

(Żandarm wychodzi.)

BERNARD

zaniepokojony.

A gdzie kazałeś położyć ciało?

FOUCAUD

W merostwie jest pełno robotników, kazałem chwilowo położyć je u ciebie. Nanette powiedziała...

BERNARD

bardzo zły,

Nanette źle powiedziała... To nie do pomyślenia! Jeśli byś mnie uprzedził, udostępniłbym lokal w szkole... albo gdzieś indziej... ale nie u mnie!... I gdzie ona jest?...

FOUCAUD

pokazując drzwi po lewej stronie.

Tam, w tamtym pokoju...

(Ruch przerażenia Bernarda.)

Myślałem, że to dobry pomysł... Tylko na tę noc... Wysłałem telegram do Rouen, jutro rano przyjadą ją zabrać.

(W pokoju po lewej stronie słyszać głośne szlochanie.)

BERNARD

zrywając się.

Ale kto tak tam płacze?

FOUCAUD

To pewnie matka Roque... Biedaczka!...

(Szlochanie się nasila.)

BERNARD

To i te dzwony, to naprawdę zbyt wiele.

(Zdenerwowany.)

Powinna już wyjść... Czemu ma to służyć?...

FOUCAUD

Płacz przynosi ulgę.

(Szlochy stają się coraz słabsze, oddalają się.)

BERNARD

Ach! nareszcie... już wychodzi...

(Po chwili.)

Czy ja także mogę ją zobaczyć?...

DOKTOR

Ty!... Po co?

BERNARD

Po nic... żeby ją zobaczyć... tylko na chwilę²¹...

.....

²¹ Tę scenę wymyślił de Lorde.

DOKTOR

Nie ma takiej potrzeby.

FOUCAUD

Nie uczestniczyłeś w oględzinach, nie zachodzi konieczność...

BERNARD

rozgorączkowany.

Myliłem się... Chcę ją teraz zobaczyć...

DOKTOR

Nie no... bez sensu... Nie ma potrzeby...

BERNARD

z uporem.

Mówię ci, że chcę ją zobaczyć...

FOUCAUD

To jakaś niezdrowa ciekawość.

BERNARD

Do diabła, nie jestem dzieckiem! Już widziałem zmarłych...

Wiem, jak to wygląda...

FOUCAUD

Wierzę ci...

BERNARD

śmieło.

Wolę ją zobaczyć... Jeśli jej nie zobaczę... mam wrażenie, że będzie mnie to dręczyć do końca życia... Wiesz, jak działa wyobraźnia?...

(Idzie w kierunku drzwi po lewej stronie, przez moment się waha, po czym gwałtownie otwiera. Przez dłuższą chwilę patrzy, robi kilka kroków, po czym wychodzi chwiejąc się jak pijany.)

DOKTOR

podbiegając do niego.

No już, wystarczy tego!

FOUCAUD

robi to samo.

Co ci powiedzieliśmy!...

BERNARD

trzęsąc się.

Tak... mieliście rację... nie powinienem...

DOKTOR

Będziesz miał koszmary przez całą noc.

BERNARD

dysząc.

Och! ale ja nie zostanę tutaj na noc... nie mógłbym... To śmieszne!... ale nie mógłbym... miałbym wrażenie, że...

(Po chwili.)

Jesteście pewni, że ona nie żyje?...

FOUCAUD

Zwariowałeś!... Co ty bredzisz?...

BERNARD

nie spuszcza drzwi z oka. Do Doktora, wskazując na drzwi.

Proszę, powiedz, czy możesz...

(waha się.)

Czy możesz zamknąć te drzwi... ogarnia mnie... To idiotyczne...

(Doktor zamyka drzwi.)

Zamknij na klucz... tak... tak dobrze... Przepraszam was... to głupie!... Coś takiego, w moim wieku... ktoś taki, jak ja... przemawiać się do tego stopnia!

(jest bliski omdlenia, przytrzymuje się stołu i ciężko opada na krzesło, nerwowo się śmiejąc.)

DOKTOR

potrząsając nim.

No dalej, weź się w garść!... zachowujesz się jak kobieta²²!...

FOUCAUD

siadając przy stole.

No już, skończyłeś?... czy możemy porozmawiać?... czy możesz nam udzielić kilku wskazówek?...

BERNARD

otrząsając się.

Tak...

FOUCAUD

Ilu mężczyzn mieszka w miasteczku?

BERNARD

Około pięćdziesięciu... Dlaczego?...

FOUCAUD

Ponieważ mam pewien pomysł... sporządzimy dla naszych potrzeb ich listę... Po czym dyskretnie rozpytamy, co każdy z nich robił w chwili zbrodni...

.....
²² W sztuce mer jest przedstawiony jako osoba słaba, bojaźliwa i bez energii, podas gdy w noweli Guy de Maupassanta bohater jest pełen zapału, gotowy odważnie znosić wszelkiego rodzaju przeciwności. Świadczy o tym następujący fragment: „Nie dlatego, że nękały go wyrzuty sumienia. Do jego brutalnej natury nie miał dostępu żaden odcień sentymentu ani obawy moralnej. Wyznając kult siły, a nawet przemocy, urodzony, żeby wojować, pustoszyć podbity kraj i wyrzynać w pień zwyciężonych, pełen dzikich instynktów myśliwego i wojownika, nie liczył się bynajmniej z ludzkim życiem. Chociaż szanował Kościół ze względów taktycznych, nie wierzył w Boga, ani w diabła, nie oczekując wskutek tego ani kary, ani nagrody w życiu przyszłym za czyny popełnione na ziemi. Wierzenia jego ograniczały się do mętnej filozofii, na którą składały się poglądy encyklopedystów z ubiegłego wieku. Uważał religię za sankcję moralną prawa, w przekonaniu, że zarówno religia, jak i prawo zostały wymyślone przez ludzi dla regulowania stosunków społecznych” (G. de Maupassant, *Mała Roque*, s. 138).

BERNARD

bojaźliwie.

Czyli nadal uważasz, że zabójca znajduje się w miasteczku?

FOUCAUD

biorąc się do pisania.

Być może...

BERNARD

wzruszając ramionami.

To niemożliwe!

FOUCAUD

Tak czy inaczej, sprawdźmy to... To nic nie kosztuje... Będę zapisywał... no, dalej... słucham...

BERNARD

No poczekaj... muszę się chwilę przejść, aby odzyskać zmysły... nie mogę myśleć...

(nerwowo chodzi po scenie, unikając podchodzenia do pokoju po lewej stronie, jednak zerkając cały czas w tamtą stronę.)

FOUCAUD

Już ci lepiej?... Zaczynaj...

BERNARD

zatrzymując się przy stole i podejmując decyzję.

Główny mieszkaniec miasteczka... to mer, czyli ja...

FOUCAUD

uśmiechając się.

Tak... dalej... dalej... przejdźmy do następnego...

BERNARD

oddychając.

Dalej, kolejny to Léon Gamu, mój zastępca, zamieszkały na farmie Taut... ulica Criquebeuf... Następny to...

(Podczas gdy dyktuje, Foucaud zapisuje, kurtyna powoli opada.)

Akt III

Wieczór. Pokój na poddaszu, w którym schronił się Bernard. Po lewej stronie, w głębi, duże okno zasłonięte ciężkimi zasłonami. Po prawej stronie drzwi. Między oknem a drzwiami kominek. Połowe łóżko, obok fotel. Po lewej stronie kolejne okno, także zasłonięte zasłonami. Na kominku ustawione świeczniki. Z lewej strony stolik, na nim lampa. Po podniesieniu kurtyny Nanette śpi na fotelu obok łóżka plecami do publiczności. Doktor i Bernard siedzą przy stole, na którym stoi lampa, grają w karty. Bernard jest w podkoszulku.

Scena I

DOKTOR, BERNARD, NANETTE

DOKTOR

licząc i grając.

Piętnaście... szesnaście... siedemnaście... osiemnaście...

BERNARD

także licząc.

Jeden... dwa... trzy...

DOKTOR

kontynuując.

Dziewiętnaście... dwadzieścia... dwadzieścia jeden... dwadzieścia dwa i dziesięć... trzydzieści dwa... trzydzieści dwa i sto dwadzieścia, sto pięćdziesiąt dwa... Wygrałem...

BERNARD

Znowu!

DOKTOR

Dwanaście partii z rzędu... Nieźle, co?

BERNARD

tasując karty.

Powinienem być ci zostawić karty...

DOKTOR

Dlaczego do diabła nie rzuciłeś trefla? przebiłbyś mojego asa.

BERNARD

Powinienem... powinienem... Skąd miałem wiedzieć, że to ten silny?

DOKTOR

Mogłeś spróbować...

BERNARD

No dalej, tasuj karty... rozdajesz...

DOKTOR

Mój drogi, nie...

(wstaje i podchodzi do łóżka, aby wziąć swój płaszcz.)

Jest już późno.

BERNARD

Och! no cóż...

DOKTOR

Muszę wracać...

(Spoglądając na zegarek.)

Czy wiesz, która jest godzina?

BERNARD

błagalnie.

Ostatnia...

DOKTOR

Z tobą to zawsze ostatnia... gramy tu od czterech godzin...

(Wstaje, podchodzi do okna, lekko odsłania zasłony.)

Już niedługo świt.

BERNARD

wstając.

Zostań jeszcze trochę, no... sprawi mi to przyjemność... potrzebuję tego... No i zanim pójdziesz, musimy się czegoś napić...

(Wołając.)

Nanette!...

DOKTOR

Zostaw w spokoju tę biedną dziewczynę... przecież śpi...

BERNARD

podchodząc do niej.

Nanette!...

(potrzęsa nią.)

Nie śpi!...

NANETTE

budząc się.

He!... Co się dzieje?... Ach! to pan...

(Przeciera oczy.)

Miałam taki piękny sen... śniło mi się...

BERNARD

To dobrze!... Dalej, wstawaj, przynieś nam coś do picia...

NANETTE

Zostawiłam cydr w kuchni.

BERNARD

To dobrze, przynieś nam...

DOKTOR

Nie, nie trzeba... nie o tej porze.

BERNARD

nalagając.

Trzeba... trzeba...

DOKTOR

do Nanette.

Nie chcę, żebyś schodziła specjalnie na dół.

NANETTE

Och! Panie Doktorze, jeszcze nie brak mi sił... proszę się nie obawiać...

(Wychodzi.)

Scena II

DOKTOR, BERNARD

DOKTOR

siadając.

Właściwie, cóż to za pomysł przenosić się na drugie piętro?...
Przecież na dole było ci wygodnie.

BERNARD

Za dużo wilgoci... Drzewa zasłaniały okna... Tutaj jest więcej powietrza.

DOKTOR

Z pewnością.

(ziewa.)

A jednak chce mi się już spać.

BERNARD

Ach! chce ci się spać? szczęściarz z ciebie!...

DOKTOR

Nadal cierpisz na bezsenność?

BERNARD

Nadal.

DOKTOR

Zażywasz moje krople?

BERNARD

Tak... bez efektu... Kiedy nadchodzi czas spania, zaczyna się tortura.

DOKTOR

Ach! kiedy się nie śpi!...

BERNARD

I wiesz, ten dom... te jego smutne, puste pokoje... nienawidzę go... Czuję się samotny... zwłaszcza w nocy... Ogarnia mnie lęk...

DOKTOR

Niech Nanette śpi z tobą... obok ciebie...

BERNARD

Obok mnie... żeby widziała, co się dzieje...

DOKTOR

A co się dzieje?

BERNARD

otrząsając się ze złych myśli.

Kiedy nie śpię... chodzę... mówię... czuję ucisk... tutaj...

(Pokazuje serce.)

I to boli... i krzyczę...

DOKTOR

Byłem pewien, że moje krople ci pomogą... że się uspokoisz...

BERNARD

gorączkowo.

Jakbym pił wodę!... Chyba tylko morfina może mi pomóc... duża dawka morfiny.

DOKTOR

stanowczo.

Nie! To nie morfiny ci potrzeba, ale silnej woli... Poddajesz się złym emocjom...

BERNARD

Ależ skąd, jestem chory... Dobrze wiem, co mi jest... co czuję...
Mówię ci, że jestem chory.

Scena IIII

DOKTOR, BERNARD, NANETTE

NANETTE

Wchodząc z dzbankiem i kieliszkami.
Zimny cydr.

BERNARD

Dobrze... postaw go tam... A moje krople?

NANETTE

Zaraz panu przyniosę...

BERNARD

A później idź już spać.

NANETTE

Spać?... Mam inne rzeczy do zrobienia. Muszę pościelić pana
łóżko... A później iść napalić w piecu.

DOKTOR

Napalić w piecu? Dlaczego?

NANETTE

A co będą jeść robotnicy, jeśli im nie ugotuję?...

BERNARD

Robotnicy!... to prawda!

DOKTOR
Ilu ich jest?

NANETTE
przygotowując łóżko Bernarda.
Pięćdziesięciu dwóch...

DOKTOR
Do licha!... To ile kilo jabłek schodzi...

NANETTE
Jabłka obrodziły w tym roku...

DOKTOR
To chyba dobrze? Cydr się dobrze zapowiada?

NANETTE
Nie z każdego jabłka można zrobić dobry cydr...

DOKTOR
Jak to?

NANETTE
Ach! wie pan, Doktorze, musieliśmy zatrudnić tylu łajdaków...
Nie wszyscy są porządni.

DOKTOR
Czy sprawiają kłopoty?

NANETTE
Nie mnie... Ale na przykład ostatniej nocy, u naszej sąsiadki,
matki Parisse, udusili kury i króliki...

DOKTOR
No cóż, dopóki duszą króliki, to jeszcze nie jest najgorzej... Niestety! Mamy takich, którzy duszą młode dziewczęta.

(Bernardem wstrząsa dreszcz.)

NANETTE

z przejęciem.

Ach!... tak!...

DOKTOR

Biedna mała Roque... Myślę o niej za każdym razem, gdy mijam włóczęgę... Widzę ją, jej wielkie oczy!

BERNARD

jak gdyby do siebie.

Ja także ją widzę²³!...

.....
²³ Mała Roque staje się rodzajem zjawy, co w rzeczywistości uzewnętrznia wyrzuty sumienia przerażonego bohatera. Bez wątpienia nie jest możliwe oddanie uczuć i emocji targających Bernardem, dlatego w wersji scenicznej autor dramatu nie opisuje tak dokładnie wewnętrznego przerażenia Bernarda, które Maupassant oddaje ze szczegółami:

„Zaczął bać się wówczas wieczorów, bać się zapadającego mroku. Nie wiedział jeszcze, czemu ciemności wydają mu się przerażające; ale lękał się ich instynktownie; czuł, że są zaludnione strachami. Przerażenie nie ma dostępu w jasny dzień. Ludzie i rzeczy są widoczne; dlatego to spotykamy wówczas tylko rzeczy i istoty normalne, które mogą się pokazać w świetle dnia. Ale noc, nieprzejrzysta noc, bardziej nieprzenikniona niż ściana, nieskończona, czarna, rozległa noc, wśród której przemykają obok nas rzeczy przerażające, noc, gdzie czai się, skrada tajemniczy przestrach, skrywała przed nim nieznane, bliskie, groźne niebezpieczeństwo! Jakie niebezpieczeństwo? Poznał je wkrótce, kiedy nie śpiąc, dość późną porą, siedział pewnego wieczoru w swoim fotelu; wydawało mu się, że poruszyła się zasłona w oknie. Czekał niespokojny, z bijącym sercem; draperia wisiała bez ruchu; nagle zafalowała znowu; w każdym razie on myślał, że faluje. Nie miał odwagi wstać; nie śmiał oddychać; był jednak człowiekiem odważnym, często bił się i chętnie by rozprawił się u siebie ze złodziejem.

Czy naprawdę zasłona ruszała się? Zadawał sobie to pytanie, w obawie, że wzrok go myli. Było to zresztą prawie nic, leciutkie drgnięcie materiału, jakieś drżenie fałd, falowanie, jakie wywołuje wiatr. Renardet siedział bez ruchu, z wytrzeszczonymi oczyma, z wyciągniętą szyją; wstał, nagle wstydząc się swojego strachu, postąpił cztery kroki, chwycił tkaninę obydwoma rękami i rozsunął ją na całą szerokość okna. Z początku zobaczył tylko czarne szyby, czarne jak lśniące plamy atramentu. Noc, czarna, nieprzenikniona noc rozciągała się za nimi aż do niewidocznego horyzontu. Stał naprzeciw tego niezmierzonego cienia; nagle zobaczył światło, ruchome światło, które

NANETTE

do Doktora.

Coś wiadomo w tej sprawie?... coś nowego?...

DOKTOR

Zatrzymano włóczęgę, na którym ciąży poważne podejrzenia...

BERNARD

opanowując emocje.

Myślałem, że ma alibi²⁴?

DOKTOR

Nie... Twierdził, że tamtego dnia był pijany, że niczego nie pamięta... Uduje głupiego... poza tym jest pewny siebie...

BERNARD

Widziałeś go?

DOKTOR

Tak... miesiąc temu... w dniu aresztowania...

BERNARD

z niepokojem.

Co mówi Foucaud?

.....
wydawało się oddalone. Przybliżył wówczas twarz do szyby, myśląc, że jakiś człowiek łapie bezprawnie raki w Brindille, gdyż północ minęła, a to światło czołgało się nad brzegiem wody, pod drzewami. Ponieważ wciąż nie mógł nic zobaczyć, osłonił oczy rękoma; nagle światło przeszło w blask i na mchu zobaczył nagą i okrwawioną małą Roque.

Cofnął się zdrtwiałym ze zgrozy, potracił fotel i padł na wznak. Leżał tak kilka minut nękany rozpaczą, potem usiadł i pogrążył się w myślach. Miał halucynację, to wszystko; halucynację, którą spowodował jakiś nocny włóczęga idący z latarnią nad brzegiem wody. Cóż zresztą dziwnego, że wspomnienie zbrodni wywoływało w nim czasami widok umarłej?" (G. de Maupassant, *Mała Roque*, s. 138–139).

²⁴ W noweli sprawa jest odłożona, nikt nie zostaje skazany.

DOKTOR

Foucaud jest przekonany, że to on... Prokurator także... i wszyscy... Ten brutal był już kilka razy skazany za napaść na tle seksualnym... A skoro go już mamy pod kluczem, to nigdzie nie ucieknie... stanie przed sądem...

NANETTE

która poszła po krople, znajdujące się w szafie.

I zostanie skazany... Jego głowa spadnie...

(Stawiając flakonik na stole.)

Pana krople... Przygotuję panu...

BERNARD

stanowczo.

Nie, ty nie... podaj mi szklankę. Krople mi podaj, sam sobie przygotowuję... ja sam...

(Wlewa krople do szklanki.)

NANETTE

wyciągając rękę.

Zaniosę na pana stolik nocny...

BERNARD

zdeenerwowany.

Nie... nie ruszaj tego... Niczego nie dotykaj... zostaw tutaj...

(Do Doktora.)

Czuję, że przede mną kolejna straszna noc. Nie chcesz mi dać morfiny? No, tylko na tę noc.

DOKTOR

z głębi, stojąc przy kominku.

Ależ nie... Zobaczysz, że uśniesz...

NANETTE

Niech się pan położy; ta nocna aktywność źle wpływa na pana zdrowie... Łóżko jest gotowe; ja schodzę przygotowywać zupę.

(Wychodzi.)

Scena IV

DOKTOR, BERNARD

DOKTOR

wracając do Bernarda.

Ma rację... musisz odpocząć... Od dawna zmagasz się z tym kryzysem zdrowotnym... Wiesz, od kiedy dokładnie? Od sprawy małej Roque...

BERNARD

zaniepokojony.

Co ty opowiadasz?... Zupełna bzdura!

DOKTOR

bardzo przyjaźnie.

Nie, zauważyłem, że ta cała historia wywarła na tobie ogromne wrażenie. A kiedy pomimo mojego zakazu poszedłeś ją zobaczyć – przypomnij sobie – byłeś w takim szoku, że do dziś masz nadszarpnięte nerwy.

BERNARD

To prawda, to był duży szok.

DOKTOR

Nigdy bym nie pomyślał, mój stary, że masz taką słabą osobowość... Ach! widzisz, już ci to mówiłem, za dużo korzystałeś z życia...

BERNARD

Tak... w przeszłości...

DOKTOR

sceptycznie.

W przeszłości!... Kobiety doprowadzą cię do upadku.

BERNARD

Nie... Przysięgam... Od...

(waha się.)

Od tygodni nie dotknąłem kobiety... I przyznam ci się do czegoś... Nie mogę mieć żadnej w łóżku... wydaje mi się, że obejmuję trupa... Boję się na nią spojrzeć... boję się, że znajdę na niej plamy krwi.

DOKTOR

Sam widzisz! Prześladowuje cię obraz tej biednej małej...

BERNARD

gwałtownie wstając, z przerażeniem, oczy pełne strachu i utkwione w dolną część zasłony przesłaniającej okno po lewej stronie.

Spójrz na zasłonę przy oknie.

DOKTOR

Zasłonę?

BERNARD

Tak.

DOKTOR

No i?

BERNARD

Nic nie widzisz?

DOKTOR

Nie, nic nie widzę.

BERNARD

wskazując na dół zasłony.

To niemożliwe!... Zobacz, jak się porusza... Jeden ruch w jedną stronę... i w drugą... prawie niezauważalny... przyjrzyj się... Jakby ktoś tam stał ...

DOKTOR

z niedowierzaniem.

Ktoś za zasłoną... Daj spokój!...

BERNARD

z rosnącym niepokojem.

Jestem pewien, że widziałem, jak się porusza...

DOKTOR

To wiatr!

BERNARD

Albo ktoś schowany za zasłoną...

DOKTOR

Kto, do licha, miałby być schowany za zasłoną?

(idzie w kierunku okna.)

To niemożliwe.

BERNARD

zatrzymując go siłą.

Nie, nie idź tam!... nie idź tam!...

DOKTOR

śmiejąc się.

Jesteś gorszy, niż kobieta²⁵, słowo daję!

(odsuwa zasłonę, pokazując, że nikogo za nią nie ma.)

Spójrz, nikogo nie ma!...

BERNARD

Tak... Jednak jestem pewien, że się ruszała.

DOKTOR

Mówię ci, że to wiatr.

.....

²⁵ Kolejna poniżająca uwaga pod adresem kobiet.

BERNARD

powoli, nadal z przerażeniem.

Wiatr!...(Po chwili.) Czy ty wierzysz w duchy?

DOKTOR

Nie... dlaczego?

BERNARD

z wielką powagą.

Trzeba w nie wierzyć. Są rzeczy, których nie sposób wytłumaczyć... Na przykład zawsze przed snem, co wieczór, przygotowuję sobie roztwór tych kropli w szklance... a od kilku już dni, za każdym razem, gdy chcę go wypić, szklanka jest pusta.

DOKTOR

Pusta? A może nie przygotowujesz żadnego roztworu?

BERNARD

Jestem pewien, że przygotowuję... Tak jak dziś wieczór.

DOKTOR

A więc wypijasz i nie pamiętasz...

BERNARD

Nie... Nie wypijam...

DOKTOR

poruszony, próbuje żartować.

Może jesteś lunatykiem!

BERNARD

niemal obłąkany.

Nie śmiej się. Przez całą noc chodzę po pokoju... zapalam wszystkie świece... nie spuszczam szklanki z oka... Nie, widzisz, ktoś inny to wypija... Rozumiesz: ktoś inny.

DOKTOR

przerażony postawą i spojrzeniem Bernarda.

Tak... możliwe... Nie możesz tak dalej funkcjonować... w tym stanie nadmiernej ekscytacji... Trzeba temu zaradzić... Przyjdę cię obejrzyć, jak tylko wrócę od pacjentów...

(Biorąc płaszcz i kapelusz.)

Wiesz, przyprowadzę Doktora Raymonda...

(Głosem, przez który przebija kłamstewko.)

Je ze mną obiad... Dzielny chłopak... z pewnością będzie miał dla nas radę... Tak, musi cię obejrzyć... Chcesz?... No, dalej... spróbuj się przespać... Do licha!... Nie bój się... odważny z ciebie człowiek... prawdziwy chwyt...

(zmusza się do śmiechu.)

No, dobrej nocy...

(podaje mu rękę, z przejęciem w głosie.)

Dobranoc, mój stary!

(wychodzi drzwiami po prawej stronie, rzuciwszy na Bernarda pełne niepokoju spojrzenie.)

Scena V

BERNARD, sam

BERNARD

wzruszając ramionami z goryczą.

Doktor Raymond!... Weźmie mnie za szaleńca... powie, że trzeba mnie zamknąć...

(Po chwili.) Jak on tu przyjdzie, to będzie koniec!... Tak, trzeba z tym skończyć... Nie mogę dłużej tak żyć...

(Wyjmuje z kieszeni list i czyta w świetle lampy.)

„Prokurator Republiki”. Nie chcę, żeby skazano niewinnego zamiast mnie... Nie... nie chcę...

(gwałtownie otwiera drzwi i woła.)

Nanette!... Nanette!...

Scena VI

BERNARD, NANETTE

NANETTE

Jestem, proszę pana!... Jeszcze pan się nie położył?

BERNARD

w stanie lunatykowania.

Nie!

NANETTE

Jeśli pan się nie czuł dobrze... mogłam z panem posiedzieć.

BERNARD

Nie! – O której odbierają listy?

NANETTE

O piątej... Médéric zanosí je na pociąg do Bolbec o szóstej!

BERNARD

Ach!...

(*Chwila milczenia.*)

Masz, zanieś ten list i szybko wrzuć do skrzynki.

NANETTE

Och! jest jeszcze trochę czasu przed odbiorem...

BERNARD

głosem nieobecnym i tragicznym.

Nie... natychmiast... rozumiesz... trzeba go wysłać natychmiast.

NANETTE

Dobrze... już idę... Zrobię, jak pan każe.

(Wychodzi pośpiesznie.)

Scena VII

BERNARD, sam

BERNARD

słucha, jak Nanette się oddala, następnie ociera spocone czoło.

Albo się teraz zabiję, albo zostanę aresztowany...

(idzie do skrzynki stojącej na kominku, aby wyjąć rewolwer.

Ustawia spust w świetle lampy, w której błyszczy stal, następnie podejmuje decyzję.)

Nie... jeszcze nie... za chwilę... za dnia...

(Nagle wykonuje gwałtowny gest, odwracając się, jak gdyby ktoś stał za nim. Przez dłuższą chwilę patrzy na zasłonę, za którą miał ktoś być.)

He!...

(Rozgląda się wokół.)

Nikogo!... a jednak poczułem czyjąś obecność...

(Po chwili.)

Ale ciemno!... Zapalę... Nie mogę się bać...

(Zapala świecę na kominku i w miarę jak pokój staje się jasny, jego strach traci moc. Podchodzi do stołu, aby sprawdzić, czy szklanka jest pusta.)

Szklanka jest nadal pełna... być może nie przyjdzie tej nocy... Jeśli nie przyjdzie, jeśli nie przyjdzie, to jestem ocalony!... Postaram się zasnąć... Latour ma, być może, rację... to jest kwestia mojej woli... Może duchy istnieją tylko w mojej wyobraźni...

(powoli podchodzi do łóżka, rozglądając się wokół, zdejmując kamizelkę i kładzie się.)

Jeśli tylko mógłbym zasnąć... Jeśli tylko mógłbym zasnąć...

(W oddali słyszać śpiew żniwiarzy. Bernard trochę zasypia. Dłuższa chwila; następnie majaczy.)

Głupia!... głupia!... nie krzycz... nie krzycz... nie zamierzam brać cię siłą... Wody!... zimnej wody!... Dokąd idziesz?... Nie chcesz... Ja chcę... Ach!...

(Wydaje przeraźliwy krzyk, rozlegający się w ciemności nocy. Później nastaje cisza.)

Scena VIII

BERNARD, NANETTE

NANETTE

Słysząc jej kroki na schodach.

He! proszę pana! proszę pana!...

BERNARD

zrywając się, oszołomiony.

He? co?...

NANETTE

zza drzwi.

Co się stało?... Co się dzieje?...

BERNARD

otrząsając się.

Ach!... to ty, Nanette?

NANETTE

szarpiąc za klamkę.

Co się dzieje?

BERNARD

Nie, nic.

NANETTE

Proszę, niech pan otworzy!

BERNARD

podchodząc do drzwi, zdmuchnąwszy świecę.

Nie bój się.

(otwiera.)

NANETTE

wchodząc, przerażona.

Ach! proszę pana, co się stało?

BERNARD

Ależ nic...

NANETTE

Ktoś krzyczał!...

BERNARD

To nic takiego... To tylko ja... spałem... miałem zły sen... wydawało mi się, że się duszę... i krzyknąłem...

(Powoli bierze kilka głębokich wdechów.)

Otwórz okno, duszno tutaj...

(Nanette odsłania zasłony dużego okna, pokój napętnia się blaskiem dnia i radością. Bernard wydaje okrzyk ulgi i podbiega do okna, jakby chcąc oddychać światłem.)

Nareszcie dzień!... Jak dobrze...

NANETTE

gasząc lampę, ustawiając meble.

A jaki piękny poranek!...

BERNARD

Ach! oddycham.

NANETTE

Słońce wschodzi!

BERNARD

przy oknie, na czole pierwsze odbłaski dnia.

Słońce! z nim przychodzi życie!... A przecież, Nanette, są ludzie, którzy tej nocy odeszli i nigdy już nie zobaczą słońca.

NANETTE

Oby dobry Bóg nad nimi czuwał, nie ma nic piękniejszego, niż życie!

BERNARD

Tak sądzisz?

NANETTE

Oczywiście!... Niech pan nie będzie taki smutny, dalej, niech się pan otrząśnie...

BERNARD

zatrzymując ją.

Słyszysz... co to?...

(Śpiew żniwiarzy staje się coraz wyraźniejszy.)

NANETTE

Robotnicy się zbierają.

BERNARD

Śpiewają!... Będą pracować śpiewając.

(Śpiew staje się coraz głośniejszy, wyraźny, radosny, dźwięczny.)

NANETTE

Radośni ludzie!... A przecież mają mniej powodów do szczęścia niż pan!...

BERNARD

Tak myślisz?...

NANETTE

Ciężko pracują, żeby zarobić na chleb...

BERNARD

Nie mają zmartwień, problemów.

NANETTE

Im bardziej się starzejemy, tym mniej zwracamy uwagę na życiowe problemy...

BERNARD

Nie wiesz, co mówisz, Nanette... Są rzeczy, których nie da się naprawić...

NANETTE

Jedyną rzeczą, której nie da się na tym świecie naprawić, jest bycie martwym!... Nie można zmęczyć się życiem, nawet gdy się jest starym... chorym i smutnym... Na przykład kiedy straciłam syna, wylewałam łzy jak Maria Magdalena... Myślałam, że już nie chcę żyć... Ech, no cóż, minęło kilka lat; ból nie minął – z pewnością nie – ale jakby się zatarł... zużył... I są dni, kiedy przypomina

mi się buzia mojego małego! jest jakby w oddali... jakby we mgle...
A przecież tak bardzo go kochałam! No cóż... zapominamy... Dobry Bóg tak chciał!... w przeciwnym razie nie można by żyć!...

BERNARD

śluchając z rosnącym zainteresowaniem.

Zapominamy, tak, masz rację, Nanette... To prawda!... nie warto wyrzekać się życia... Za nic na świecie...

(wstaje.)

Posłuchaj, Nanette, zdecydowałem się... opuścić kraj... podróżować... to mi dobrze zrobi, podreperuję zdrowie... postaram się nabrać dystansu... odpocząć.

NANETTE

Z pewnością...

BERNARD

z egzaltacją.

I nie za tydzień... nie jutro... dziś, jeszcze dziś... słyszysz?... Nie chcę dłużej żyć w tej samotni, w tym ośpieniu; potrzebuję czynu, ruchu... jestem młody, silny i pełen zapału...

NANETTE

zachwycona.

Wszystkich nas pan jeszcze przeżyje.

BERNARD

Och! no cóż...

NANETTE

śmiejąc się.

Z pewnością! tak jest! Chłop jak dąb!...

BERNARD

Przygotujesz mi walizkę?... spakuj wszystko, co trzeba... Zapakuj na powóz... Pojadę pociągiem do Hawru... Która godzina?...

NANETTE

wyglądając przez okno.

Och! około piątej... Médéric zbiera listy...

BERNARD

gwałtownie, podskakując.

Médéric!... Gdzie?

NANETTE

Tam... tam jest... przy merostwie...

BERNARD

emocja ściska mu gardło.

A mój list? Wrzuciłaś mój list?...

NANETTE

Oczywiście... proszę się nie martwić!...

BERNARD

robiąc ku niej szybki krok.

Wrzuciłaś mój list...

NANETTE

Kazał pan...

BERNARD

łapiąc ją.

Wrzuciłaś go!... nieszczęsna!...

(Krzycząc przez okno.)

Médéric!...

(do Nanette)

Ależ biegnij za nim... niech tu wróci... zawołaj go... muszę mieć z powrotem ten list... koniecznie...

(potrząsując nią.)

No biegnij, nieszczęsna!... biegnij za nim...

(Podczas gdy Nanette znika, Bernard biegnie do okna i krzyczy:)
Médéric! Médéric!...

NANETTE

zbiegając po schodach.

Panie Médéric!... panie Médéric!...

BERNARD

do samego siebie, coraz bardziej zdenerwowany.

Mój list! chcę go z powrotem!...

(Wychyla się przez okno.)

NANETTE

zza kulisy, woła:

Médéric!...

GŁOS MÉDÉRICA

z daleka.

Co się stało, panno Nanette?

NANETTE

Pan Mer chce pana widzieć...

GŁOS MÉDÉRICA

Ach! to pan, Panie Merze?

BERNARD

wychyla się.

Możesz wejść na chwilę... Chciałbym z tobą pomówić...

GŁOS MÉDÉRICA

Do usług!...

BERNARD

podchodzi do drzwi, nie przestając mówić, Médéric w tym czasie wchodzi po schodach.

Tylko na słówko... To zajmie chwilę... skoro już przechodziłeś...
(*Przechyla się przez poręcz schodów.*)
Tutaj... jeszcze jedno piętro... na samej górze²⁶?...

MÉDÉRIC

zza kulis.

Dam radę...

(*wchodzi, torba listonosza na ramieniu, laska w ręku.*)

Scena IX

MÉDÉRIC, BERNARD

MÉDÉRIC

Dzień dobry, Panie Merze!

(*zdejmuje czapkę.*)

BERNARD

podając mu rękę.

Dzień dobry, Médéric!...

MÉDÉRIC

ściskają sobie ręce.

Jak się pan miewa, Panie Merze!...

(*radośnie.*)

Ranny z pana ptaszek!

BERNARD

Tak... jest tak ciepło... nie mogłem spać... wolałem się przejść...

.....

²⁶ We wszystkich sztukach tragiczne wydarzenia mają miejsce na wysokich piętrach.

MÉDÉRIC

I zapalić fajkę doglądając robotników, czyż nie?
(*śmieje się.*)

BERNARD

starając się śmiać.

Tak...

MÉDÉRIC

Czy mogę coś dla pana zrobić?...

BERNARD

Ach!... cóż, no właśnie!... Chodzi o drobnostkę... chodzi o...
(*patrzy na torbę listonosza, którą niesie Médéric, chwilę się waha.*)

No więc...

(*Starając się zyskać na czasie*)

już załatwiłem sprawę twojego syna i jego egzaminu telegrafisty... wysłałem rekomendację...

MÉDÉRIC

Jestem panu bardzo wdzięczny, Panie Merze...

BERNARD

bardzo serdecznie.

Będzie wezwany, trzeba tylko poczekać...

MÉDÉRLC

Długo?...

BERNARD

Nie... niedługo... może tydzień... może dwa... nie więcej...

MÉDÉRIC

Ach! miło mi to słyszeć... Gdyby pan widział, jak ten dzieciak się przygotowuje do tego egzaminu, dzień i noc... To dobry chłopak... Jeszcze raz dziękuję, Panie Merze.
(*zakłada czapkę.*)

BERNARD

Nie ma za co...

(Médéric zamierza odejść.)

Ach! powiedz... zapomniałbym... wyjąłeś już korespondencję?...

MÉDÉRIC

Tak, wszystko jest tutaj!...

(klepie torbę.)

BERNARD

mówiąc z powstrzymywaną emocją.

Dobrze... Wczoraj wieczorem przez pomyłkę wrzuciłem pewien list... chciałbym cię poprosić o zwrot...

MÉDÉRIC

po chwili.

Tylko że...

BERNARD

Tylko że co?...

MÉDÉRIC

zakłopotany.

Tylko że, Panie Merze, regulamin jest precyzyjny... Po wrzuceniu listu!... i już ostemplowałem...

BERNARD

ze sztuczną swobodą.

Tak... wiem... ale dla mnie... przecież dobrze mnie znasz, prawda?... wrzuciłem go przez pomyłkę... nie chcę go wysłać... zrezygnowałem... Sam rozumiesz...

MÉDÉRIC

wstrząśnięty.

Oczywiście, rozumiem...

BERNARD

No więc możesz mi go oddać?

MÉDÉRIC

po chwili wahania.

Tak...

(Po chwili.)

Do kogo ten list jest zaadresowany?

(podchodzi do stolika, aby odłożyć laskę, następnie zaczyna otwierać torbę.)

BERNARD

pełnym emocji głosem,

Do...

(przestaje i zaczyna żartować:)

No, przecież znasz moje pismo...

MÉDÉRIC

Znam, Panie Merze!...

(szuka.)

To nie to... To też nie... Ach! jest!...

(Wreszcie znajduje i czyta:)

„Prokurator Republiki!”...

BERNARD

instynktownie robi gest, chcąc wziąć go do ręki.

Tak... to jeden z moich przyjaciół... daj...

MÉDÉRIC

nie dając.

Tak naprawdę... Panie Merze, nie jestem pewien, czy mi wolno...

BERNARD

No daj, co się z tobą dzieje?

MÉDÉRIC

uparcie.

Do licha! jeśli to by się wydało, to będę mieć kłopoty...

BERNARD

z rosnącym niepokojem.

Głupi jesteś!... Nikt się nie dowie!... No dalej... daj...

MÉDÉRIC

Skoro może mnie pan zapewnić, że nikt się nie dowie...

BERNARD

Nikt... zapewniam cię... wszystko biorę na siebie... na siebie...
nie martw się...

(wyciąga drżącą rękę.)

MÉDÉRIC

podając list.

No cóż...

(Nagle spogląda na Bernarda i szybko wycofuje list.)

Och! co się z panem dzieje, Panie Merze? jest pan błady jak trup,
ręce się panu trzęsą... To nie jest normalne!... Co panu jest?

BERNARD

na próżno próbując się opanować.

Nic mi nie jest... nic mi nie jest... no dalej!... Daj mi ten list...

MÉDÉRIC

nabierając podejrzeń, do samego siebie.

Och! przecież...

(chowa list z powrotem do torby, patrząc na Bernarda.)

Zdecydowanie nie, pomyślałem, że... Panie Merze, nie mogę!...

BERNARD

Nie możesz?

MÉDÉRIC

bardzo wyraźnie.

Nie.

BERNARD

Jak to?

MÉDÉRIC

zamykając torbę.

Dobrze pan wie, że nie mogę.

(żegna się i zamierza odejść.)

BERNARD

szaleństwo w głosie.

A więc nie chcesz?... nie chcesz?

MÉDÉRIC

Nie mogę, Panie Merze!... I przepraszam, ale robi się późno, muszę iść do...

BERNARD

Posłuchaj... porozmawiajmy, Médéric...

MÉDÉRIC

stanowczo.

Już wszystko powiedzieliśmy, proszę nie nalegać, albo sobie coś pomyślę...

BERNARD

najpierw panując nad sobą, później tracąc kontrolę.

Co sobie pomyślisz?... No przecież, Médéric, jesteś dzielnym człowiekiem... nigdy nic złego cię z mojej strony nie spotkało, nie możesz mi odmówić... to głupie!... to śmieszne! Co ci chodzi po głowie?... Posłuchaj... daj mi ten list, wyświadcysz mi przysługę... a w zamian za to... no więc... dam ci... co tylko chcesz... rozumiesz... co tylko chcesz... Chcesz pieniędzy?

MÉDÉRIC

buntując się.

Czy pan oszalał?...

BERNARD

kontynuując.

Sto franków!... tysiąc franków!... dziesięć tysięcy franków... muszę mieć ten list... dziesięć tysięcy... dwadzieścia tysięcy... jeśli chcesz, to więcej... ile chcesz...

(Później z wściekłością, widząc postawę listonosza.)

Ach! Na Boga!... jestem merem... rozkazuję ci oddać list!

MÉDÉRIC

jak gdyby rzucając wyzwanie.

Ach! to inna sprawa.

BERNARD

nie panując nad sobą.

Jeśli mi go natychmiast nie oddasz... rozwalę... rozwalę ci głowę...

(bierze ze stołu rewolwer.)

MÉDÉRIC

No dalej! próbuj pan!

BERNARD

Ostrzegam!

MÉDÉRIC

Nie boję się... strzelaj pan, jeśli masz odwagę...

(Bernard oszalały, podnosi rewolwer, mierzy do Médérica.)

MÉDÉRIC

Nieszczęsny!... odłóż to...

(Jednym uderzeniem laski w nadgarstek rozbraja Bernarda. Rewolwer upada, Médéric podbiega, podnosi go i mierzy do Bernarda.)

Opowiem odpowiednim władzom, co się tu wydarzyło... i przekażę pana list... słyszy pan!... Z pewnością jest tam coś... *(cofa się w kierunku drzwi, twarzą do Bernarda, cały czas mierząc do niego z rewolweru.)*

Jeśli się tylko ruszysz, zbliżysz do mnie, zabiję jak psa...

(Wychodząc.)

Jak psa...

(Słysząc jak Médéric szybko zbiega po schodach i oddala się, Bernard zostaje sam w zupełnym odrętwieniu, później podbiega do okna, otwiera je i krzyczy niczym dzikie zwierzę.)

BERNARD

Mój list!... Médéric!... mój list, Médéric!... Médéric!... Médéric!...

(Nagle wydaje chrapliwy krzyk²⁷, macha w powietrzu rękami, po czym skacze i upada twarzą do ziemi, bez życia²⁸. W tym momencie śpiew żniwiarzy staje się coraz wyraźniejszy, bardziej radosny; do pokoju wpadają promienie słońca; cała natura budzi się radośnie, podczas gdy kurtyna powoli opada²⁹.)

.....
²⁷ Chodzi o przestraszenie widza.

²⁸ Dużym wyzwaniem jest przestrzeganie wszystkich wskazówek scenicznych autora.

²⁹ W noweli Maupassanta historia kończy się następująco:

„Renardet zatrzymał się. Skończyło się. Nie miał już nadziei. Odwrócił się i pobiegł do domu, gnając jak ścigane zwierzę.

Wówczas Mederyk zatrzymał się i przyglądał się tej ucieczce ze zdumieniem. Zobaczył, jak mer wszedł do domu, i czekał jeszcze, jak gdyby musiał się stać coś niezwykłego!

Wkrótce istotnie rosla postać Renardeta ukazała się na szczycie wieży Lisiej. Przebiegł wokół platformę jak oszalały: potem chwycił drzewce chorągwi i potrząsnął nim z furją, ale nie udało mu się go złamać, więc nagle, niczym pływak skaczący do wody, głową naprzód, z wyciągniętymi rękami rzucił się w próżnię. Mederyk pobiegł z pomocą. Przechodząc przez park spostrzegł drwali idących do pracy. Przywołał ich, krzycząc, co zaszło; u stóp muru znaleźli zakrwawione ciało z głową zmiażdżoną o skałę. Rzeczka Brindille opływała tę skałę, a w jej spokojnych i jasnych wodach, które w tym miejscu płynęły szerszym korytem, widać było długą, różową smugę krwi pomieszaną z mózgiem” (G. de Maupassant, *Mała Roque*, s. 146–147).

Ostatnia tortura

DRAMAT W JEDNYM AKCIE^{*}
NAPISANY WE WSPÓŁPRACY Z EUGÈNEM MORELEM^{**}

PRZEKŁAD I OPRACOWANIE TEKSTU^{***}
JOANNA CIESIELKA

-
- ^{*} Po raz pierwszy sztuka została wystawiona na deskach Teatru Grand-Guignol 2 grudnia 1904 r.
 - ^{**} Eugène Alphonse Morel (1869–1934) – francuski pisarz, krytyk literacki i bibliotekarz.
 - ^{***} Tłumaczenia dokonano z języka oryginału na podstawie wydania: A. de Lorde, *La Dernière torture*, drame en un acte en collaboration avec Eugène Morel, [w:] *André de Lorde et son théâtre de la peur*, red. T. Kaczmarek, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2019, s. 267–307.

Osoby

D'HÉMELIN, konsul

GEORGES GRAVIER, sekretarz wojskowy przy konsulacie

BERNARD, tłumacz

MORIN, kapral piechoty morskiej, oddelegowany
do obrony konsulatu

LOREAU, szeregowy piechoty morskiej

KERDREC, podoficer marynarki wojennej

BORNIN, szeregowy piechoty morskiej

CLÉMENT, ochotnik

DENISE D'HÉMELIN, córka konsula

KOBIETA

Chiny, lipiec 1900, podczas powstania bokserów¹.

Scena przedstawia konsulat Francji, w którym zabarykowali się oblężeni Francuzi.

Po lewej stronie znajduje się budynek konsulatu – chiński ceglany dom, do którego prowadzą sześciostopniowe schody strzeżone przez dwa potwory wykonane z porcelany. Dom jest parterowy, zbudowany z pomalowanych na czerwono drewnianych słupów, dach pokryto ceramiczną dachówką.

W głębi i po prawej stronie scenę przecinają barykady utworzone z worków z piaskiem, przewróconych samochodów oraz wszelkiego rodzaju złomu.

Za barykadami znajduje się kanał, niewidoczny, ale którego brzegi łączy, skierowany do środka barykady, ozdobiony maszkarami, krzywy most w stylu chińskim. Prowadzą do niego schody.

W oddali, jak okiem sięgnąć, rozciąga się chińska wieś, ogromna równina pokryta polami sorgo. Daleko w głębi, Miasto² – ogromny kwadrat otoczony czerwonymi blankowanymi murami, z wysoką, piętrową, ufortyfikowaną bramą.

Kurtyna się podnosi. Jest noc. W oddali widać łunę pożaru nad miastem.

Dwaj mężczyźni, Gravier i Bernard, trzymają straż blisko mostu. Inni – Morin, Loreau, Kerdrec, Clément, śpią na ziemi. Obok nich leżą karabiny z bagnetami na lufach.

Głucha cisza. W oddali cały czas słyszać strzały armatnie.

.....
¹ Powstanie bokserów, które wstrząsnęło Chinami w latach 1898–1901, zostało wszczęte przez tajne stowarzyszenie Pięć w Imię Sprawiedliwości i Pokoju. Ów ruch opozycyjny występował przeciwko obcym mocarstwom i chińskiemu dworowi cesarskiemu.

² W tekście oryginału duża litera.

GRAVIER

cicho, do Bernarda.

Spójrz! Łuna!

BERNARD

Całe miasto płonie.

(Cisza.)

GRAVIER

nasłuchuje.

Strzały armatnie... jak ubiegłej nocy!

BERNARD

Zapewne tam walczą...!

GRAVIER

Niedaleko pagód...

(Cisza. Nagle Bernard wskazuje horyzont, gdzie pożar strzela kolejnymi płomieniami.)

BERNARD

Na Boga!

GRAVIER

Co się dzieje?

BERNARD

Podpalili budynek urzędu celnego!

GRAVIER

posepny.

Tak... Powstanie się zbliża..

(Cisza.)

BERNARD

zamyślony.

Nie mamy szans.

GRAVIER

To nie jest jeszcze przesądzone! Jeśli żołnierze wyprą bokserów z Purpurowego Miasta³, możemy mieć nadzieję! Zyskujemy na czasie... wojsko z Europy może przybyć.

BERNARD

Już trzydzieści dwa dni na nie czekamy!

GRAVIER

Może już tam jest! Może to ono bombarduje w tej chwili miasto żółtków! Nie wiemy, co się dzieje.

BERNARD

Co się dzieje? Są... depesze wymieniane przez mocarstwa... noty dyplomatyczne... Zdążymy umrzeć, zanim ktoś się ruszy!

GRAVIER

Ale jeśli żołnierze...

BERNARD

Jacy żołnierze?

GRAVIER

Cesarska armia!... – Ci bokserzy to buntownicy!

BERNARD

Ale żołnierze z armii i bokserzy świetnie się dogadują⁴!

.....

³ Zakazane Purpurowe Miasto (zwane również Zakazanym Miastem) to ogromny kompleks architektoniczny w Pekinie, na który składają się pałace cesarskie chińskiej dynastii Ming i Quing.

⁴ W początkowej fazie konfliktu bokserzy walczyli przede wszystkim z na-jeźdźcami. Kolejnym etapem było wystąpienie powstańców również przeciwko lokalnej władzy.

GRAVIER

Jednak musimy wytrzymać...

BERNARD

Wytrzymać!... Trzeba było uciekać...

(*Ironiczny gest Graviera.*)

Tak... uciekać! Przejść przez kanał razem z innymi... a nie zamykać się w konsulacie „zasłaniając się francuską flagą”. Tak... to świetna ochrona! – Może można jeszcze uciec...

GRAVIER

Uciec? Teraz?... Sądzisz, że możemy stąd wyjść?

BERNARD

A Bornin? A Carel? Ci wszyscy, którzy wyszli?

GRAVIER

To gdzie są w tej chwili?

BERNARD

Zapewne bezpieczni... Jeśli znaleźli jakąś dżonkę⁵ na Wielkiej Rzece⁶, dotarli do Tiencin... A tam, w koncesji francuskiej naszych jest wielu, mają broń, żywność.

GRAVIER

Wróciliby, żeby nas uwolnić...

BERNARD

Może wróć! Tylko na nich liczę... Ach, wszystko bym oddał, żeby usłyszeć ten sygnał... dźwięk francuskiej trąbki.

(*Nuci sygnał trąbki, uderzając o ziemię kolbą karabinu.*)

.....
⁵ Trójmasztowy statek dalekowschodni, służący do przewozu towarów lub do rybołówstwa.

⁶ Prawdopodobnie chodzi o Wielki Kanał.

GRAVIER

Tss!

(Wskazując na śpiących.)

Obudzisz ich, a zasłużyli na sen...

(Drzwi konsulatu otwierają się; przez chwilę widać oświetlone pomieszczenie. D'Hémelin staje na progu z latarnią w dłoni. Zamyka drzwi, powoli schodzi po schodach, przechodzi pomiędzy śpiącymi.)

D'HÉMELIN

Strażnik!

GRAVIER

Melduję się, panie konsulu.

D'HÉMELIN

A, to pan, Georges... – Coś nowego?

GRAVIER

Nic...

(Wskazując miasto.)

Tylko pożar...

D'HÉMELIN

Tak, widziałem... Kto idzie? To pan, Bernardzie?

BERNARD

podchodzi bliżej.

Tak, panie konsulu.

D'HÉMELIN

U pana też nic nowego?

BERNARD

Okolo północy wydawało mi się, że coś słyszę, tam na dole, w trawie... Pobieglem do kanału!...

D'HÉMELIN

I...?

BERNARD

Niczego nie widziałem... Trawa jest za wysoka. A może to wyobrażnia? Gdy nasłuchujemy, wydaje się nam, że słyszymy...

GRAVIER

Nie zaatakują nas nocą: bokserzy boją się duchów!

D'HÉMELIN

Wiem. Jednak ta cisza mnie niepokoi. Co przygotowują?

(W tym momencie od strony budynku konsulatu zaczyna dobiegać płacz.)

BERNARD

Ach, ten płacz!... Kobiety tam zamknięte...

GRAVIER

Przez całą noc słyszeliśmy ich szlochy.

D'HÉMELIN

Wpadają w szaleństwo, które i nam się udziela!... Cóż zrobić?

(Płacz się wzmacza.)

GRAVIER

A gdybyśmy tam poszli?...

D'HÉMELIN

No tak, tylko po co?

(Płacz ustaje. Cisza.)

Uspokoily się... – Wszystko milknie.

(Bernard oddala się.)

GRAVIER

po chwili ciszy.

A panienka Denise?

D'HÉMELIN

przerażony.

Moja córka! Moja córka!...

GRAVIER

Chyba nie czuje się gorzej?

D'HÉMELIN

Czuwałem przy niej całą noc. Miała gorączkę i majaczyła. Zwracała się do mnie: „Tatuniu”. Obejmowała moją szyję ramionami i mówiła: „Chcę mnie zabrać... Ratuj mnie... ratuj mnie!” Dopiero co zasnęła. Nigdy nie widziałem jej tak słabej!

GRAVIER

Ale ostatnio miewała się lepiej.

D'HÉMELIN

Tak było.

GRAVIER

Jednakże teraz... te wyrzeczenia... głód... Jest głodna!

D'HÉMELIN

Trzeba oszczędzać żywność.

GRAVIER

Ale my... Można odjąć coś z naszych racji. My jesteśmy zdrowi...

D'HÉMELIN

Macie walczyć. Najpierw ci, którzy walczą! – Tak, przyjacielu... powinniśmy wkrótce wrócić do Francji... Chciałbym wrócić! Poprosiłem o przejście na emeryturę... Od kiedy zmarła jej matka, niknie

w oczach. Powtarzałem sobie: jeśli natychmiast nie wrócę, będzie zgubiona... Ten klimat mi ją zabierze, tak jak zabrał mi żonę! Czuła się już lepiej, kiedy ustaliliśmy datę wyjazdu... Tam niebo jest jaśniejsze, klimat jej nie szkodzi. Wyleczyłbym ją! Wyleczyłbym ją! – A tu czyha na nią inna śmierć, której nie przewidziałem...

GRAVIER

Panie konsulu!

D'HÉMELIN

zbierając się w sobie.

To prawda... nie mogę... To ja jestem dowódcą... muszę dowodzić... i dodawać wszystkim otuchy... Ach! Przyjacielu...

GRAVIER

Proszę nie tracić nadziei... To pański obowiązek jako dowódcy...

D'HÉMELIN

To akurat nic trudnego. Gdybym miał tylko to do zrobienia!

GRAVIER

Co ma pan na myśli?...

D'HÉMELIN

Jest jeszcze coś innego... przerażającego... Tak, boję się o tym myśleć... A tymczasem zbliża się godzina... Godzina, kiedy trzeba będzie... Ach, Georges, przyjacielu... Gdyby nie było już żadnej nadziei...

(Po chwili.)

GRAVIER

Czyli?

D'HÉMELIN

nie mając odwagi mówić dalej.

Później! Później...

GŁOS BERNARDA

który pośpiesznie wraca przez most.

Panie konsulu!

D'HÉMELIN

Jak tam?

BERNARD

wskazując na coraz intensywniejszą barwę czerwieni horyzontu.

Proszę spojrzeć na wschód! Ambasada Austrii płonie! Płomienie sięgają do Czerwonej Bramy!

D'HÉMELIN

A więc to przygotowywali!

GRAVIER

zdesperowany.

Ambasady w ogniu!

D'HÉMELIN

Wkrótce przyjdzie i nasza kolej!

(Cisza. W oddali słychać wystrzały armatnie.)

BERNARD

żywo.

Nareszcie! Na co tu czekamy, panie konsulu? Przynajmniej spróbujmy uciec!

D'HÉMELIN

Ta myśl ich łączy... ucieczka! Gdyby była możliwa, czy trwałbym tu, ja... wraz z moją córką?... Ale to prawdziwe piekło... Ucieczka? Bokserzy są wszędzie. Cały kraj jest z nimi... Żadnego miasteczka, żadnego domu, który nie byłby wrogi...

(Mówiąc, potrąca jednego ze śpiących.)

MORIN

zrywa się.

No co?... Co?... Co jest?

D'HÉMELIN

Nic, przyjacielu. Przepraszam! To ja...

MORIN

Oj! Pan, panie konsulu... Pan... Przestraszyłem się... Myślałem...

D'HÉMELIN

Spokojnie... wszystko w porządku. Niech pan śpi.

MORIN

Ach! Tak... spać... tak dobrze jest spać... Właśnie miałem cudowny sen. Czy jeszcze powróci? Tam... tak... w kraju... śniło mi się, że były żniwa, tak, zbieraliśmy plony!... Ach! Tak... cudowny sen...

(Ponownie zasypia.)

BERNARD

po jakimś czasie.

Ojczyzna... Czy kiedyś ją jeszcze zobaczymy?

D'HÉMELIN

czyniąc niejasny gest i wskazując na śpiących mężczyzn.

Pozostawmy im nadzieję... aż do ostatniej chwili!

GRAVIER

Ostatnia chwila nie jest daleko!

(Otwierają się drzwi konsulatu. Pojawia się Denise. Jest przerażona, schodzi po schodach.)

DENISE

Ojcie! Ojcie! Chodź szybko!

D'HÉMELIN

Dokąd?

(W domu ponownie rozlega się płacz.)

DENISE

Szybko! To straszne! Biedna matka!

D'HÉMELIN

Co się stało?

DENISE

Och, ojcie!... Bretonka oszalała! Jej synek właśnie umarł. Słyszysz?
(Krzyki są coraz bardziej przenikliwe.)

Jest już całkiem zimny, a ona chce jeszcze dać mu pierś... Trzeba jej odebrać to dziecko. A my nie możemy.

D'HÉMELIN

O nieszczęsna!

(Krzyki przechodzą w nerwowy śmiech. Następnie Bretonka zaczyna śpiewać.)

DENISE

Posłuchaj... Teraz śpiewa... Oszalała!

(Na progu pojawia się Kobieta.)

KOBIETA

Panienko! Nie możemy jej utrzymać! Chce wyjść i to natychmiast!

D'HÉMELIN

Powstrzymajcie ją! Powstrzymajcie!

– *(do córki.)*

Wróć do niej, kochanie!

(Kobieta wchodzi do domu.)

DENISE

Tak, ojcie. Ale...

(Nagle odwraca się i, widząc horyzont, wydaje okrzyk.)

O! Horyzont jest cały czerwony. To ogień...

D'HÉMELIN

popychając ją delikatnie w stronę domu.

Ależ nie, córeczko! Wróć...

DENISE

Co się pali? Och! To pożar...

D'HÉMELIN

To słońce wstaje...

DENISE

Słońce? O nie... Spójrz tam!

GRAVIER

zbliża się.

Tak, to dzień... dzień wyzwolenia... Trwają walki niedaleko miasta. Stąd te błyski. Nadchodzi ratunek!

DENISE

Tak! To prawda? Ojcie, czy to prawda?

D'HÉMELIN

dobitnie.

Tak... tak... to wyzwolenie! Być może to tylko kwestia godzin...

Idź już, idź, pociesz je, córeczko!

(Denise wychodzi. D'Hémelin zmienia wyraz twarzy i odwraca się do Bernarda.)

Bernardzie! Trzeba będzie zabrać matce małego, a potem... pogrzebać go tam blisko... wszystko jedno... w rowie!

BERNARD

Czy jest jakieś prześcieradło, żeby go owinąć?

D'HÉMELIN

Prześcieradła są dla rannych, nie dla martwych. Dziecko obejdzie się bez całunu!

BERNARD

wahając się, czy wejść.

Byleby tylko ta Bretonka pozwoliła! Jeśli trzeba będzie odbierać jej dziecko siłą, to nie będzie nam łatwo.

D'HÉMELIN

Niech pan zaczeka, przyjacielu, idę z panem! Spróbujemy delikatnie, bardzo delikatnie...

(do Graviera.)

A pan niech trzyma wartę... głównie z tej strony.

(Konsul i Bernard wchodzą do domu. Słyszą płacz, który się wzmaga, a potem ustaje. Gravier nasłuchuje przez chwilę, a następnie oddala się, uważnie obserwując horyzont po prawej stronie. – W oddali słychać wystrzały armatnie. Zaczyna świtać. – Loreau, który spał na ziemi, zaczyna się poruszać, a potem unosi się na łokciu i przykłada ucho do podłoża.)

LOREAU

Co tam na dole tak skrobie? Co tam skrobie?

(Wskazuje miejsce, gdzie, według niego, Chińczycy drążą podziemny korytarz.)

Tam... tutaj... To nie sen! Przecież nie śpię... Nie! Już nie słyszę... A jednak... To kopie, to skrobie... Pod ziemią, jak kret...

(Przerażony.)

Korytarz, który drążą... Wszystkich nas wysadzą...

(Potrząsa Clémenta, który śpi obok.)

Clément! Clément! Obudź się! Nie słyszysz mnie? Śpisz?

CLÉMENT

Co, co? To ty, Loreau?

LOREAU

Obudź się!

(Wskazując ziemię.)

Słuchaj!

CLÉMENT

Co ci jest?

LOREAU

Nie mogę spać. Mam wrażenie, że słyszę... Nawet nie wiesz, boję się.

CLÉMENT

No tak! Masz gorączkę!

LOREAU

zmuszając go do słuchania.

Słuchaj!

CLÉMENT

nasłuchując.

Słyszę armatę, o tam.

LOREAU

Tutaj, pod ziemią!

CLÉMENT

nachylając się do ziemi.

Nic nie słyszę!

LOREAU

w gorączce.

Ale ja słyszę! Ja słyszę! Drają tunel. Trzeba podnieść alarm...

(Cisza.)

Nic nie słyszę... Odchodzę od zmysłów. Odchodzę od zmysłów... dlaczego się boję?... Przecież już z nimi walczyłem... Już atakowali!... Musiałem się bronić... Ale w nocy... i w tej okropnej ciszy...

CLÉMENT

Jesteś głodny. To wszystko.

LOREAU

Tak, być może... to mnie rozstraja. Halucynacje...

CLÉMENT

wyjmując schowaną butelkę.

Trzymaj! Weź to... strzel sobie jednego. To cię uspokoi... Tylko to mi zostało! Wypijmy...

LOREAU

pijąc.

Och, dziękuję... – Trzymaj!

(podaje mu butelkę.)

Twoja kolej!

CLEMENT

pije, opróżniając butelkę.

Ostatnia! – Jeszcze jedna, której nie dorwą Chińczycy! Ani mojej skóry! Ani butelki!

(Rzuca daleko butelkę, która się roztrzaskuje. – Na ten dźwięk śpiący obok nich Kerdrec budzi się, zrywa się na równe nogi, po czym wydając okrzyk, chwyta bagnet i rzuca nim na oślep.)

KERDREC

krzyczy przerażony.

Do broni!

(Rani Clémenta w ramię.)

CLÉMENT

raniony.

Aj!

(Morin budzi się i rzuca się w stronę Kerdreca. – Nadbiega Gravier.)

LOREAU

chwytając Kerdreca wpół.

O nieszczęsny!

MORIN

Zwariowałeś? Co cię naszło?

GRAVIER

Co się tu dzieje?

KERDREC

dochodzi do siebie i rozpoznaje Clémenta.

Ty...! Ty... Co ja zrobiłem?

LOREAU

do Clémenta.

Jesteś ranny?

CLÉMENT

Nie, to nic. Więcej strachu niż bólu.

D'HÉMELIN

wychodząc z konsulatu.

Co się tu dzieje?

KERDREC

wciąż oszołomiony.

Nie wiem. Zawroty głowy... Myślałem, że to oni... mnie otaczają... słyszałem ich krzyki...

(Tonie we łzach.)

Ty... To byłeś ty! Zraniłem cię...

CLÉMENT

No już, cicho bądź! To nic!

D'HÉMELIN

Jest pan ranny?

CLÉMENT

To tylko draśnięcie w ramię, naprawdę nic takiego! Gdybym nie narobił takiego hałasu butelką...

KERDREC

bardzo poruszony.

Och, przecież mogłem cię zabić... Jestem bandytą, bandytą!

GRAVIER

Niech się pan uspokoi, Kerdrec!

LOREAU

To nie twoja wina!

D'HÉMELIN

To szaleństwo! Trzydzieści dwa dni oblężenia! No już, to nic. Morin! Proszę trzymać straż z tamtej strony!

(Morin wychodzi prawą stroną.)

KERDREC

Oh! Wszyscy... wokół mnie... ich żółte, krzywiące się twarze... Ich krzyki! – Jakiś koszmar!

D'HÉMELIN

Wszyscy mamy koszmary.

KERDREC

przybity.

Jeśli się teraz wzajemnie pozabijamy...

CLÉMENT

Wcześniej czy później może do tego dojść! I być może to ja rozwalę ci łeb. Nie chcesz chyba żywy wpaść w ich ręce?

KERDREC

Zostać zmasakrowanym!... O nie!

CLÉMENT

Uspokójmy się więc. Być może pozabijamy się dziś wieczorem, bo jesteśmy przyjaciółmi!

(D'Hémelin, który od kilku chwil się im przysłuchuje, przerywa im gwałtownie jednym gestem.)

D'HÉMELIN

Cicho! Kobiety mogą usłyszeć!

CLÉMENT

zrzędliwie.

No tak... kobiety!

LOREAU

Przez kobiety stajemy się tchórzami...

KERDREC

Tak... bez nich...

CLÉMENT

Moglibyśmy czmychnąć...

KERDREC

Dotrzeć do Tiencin.

LOREAU

... Zrobić jak Bornin, Carel...

CLÉMENT

Jak Robert, jak inni.

KERDREC

Oni się uratowali!

LOREAU

wściekły.

Mam tego dość! Już trzydzieści dwa dni tego szaleństwa, głodu...
(*Wskazując równinę.*)

Słuchania tych strasznych wrzasków... Wolę się bić.

WSZYSCY

razem.

I ja! – Tak, do kroćset... – Skończmy z tym! – Walczmy!...

D'HÉMELIN

Wszyscy czujemy to samo! Ja też wolałbym się bić! Walczyłem niegdyś pod Gravelotte⁷, – to dopiero była bitwa! – Dziś jest trudniej! Potrzeba innej odwagi! Nie chodzi tylko o to, jak to na wojnie, żeby dzięki nam poważali tu francuską flagę...

LOREAU

Francja! Jak ona się o nas troszczy!

D'HÉMELIN

... Są tu kobiety i dzieci, których musimy bronić! To święty obowiązek...

CLÉMENT

Ja też. Mam żonę, dzieci... A oni mnie potrzebują i chciałbym do nich wrócić!

KERDREC

A więc wyjdźmy stąd!

.....

⁷ Bitwa pod Gravelotte-Saint Privat – jedna z bitew w czasie wojny francusko-pruskiej. Rozegrała się 18 sierpnia 1870 r.

D'HÉMELIN

Wyjść stąd! Nieszczęśnicy! Po dwóch krokach zostalibyście zamordowani. A nawet gdybyście uciekli bokserom, którzy na nas czyhają... cały kraj zniszczony, całe społeczeństwo wrogo nastawione... Żadnego domu, żadnego zakątka wolnego od wrogów... Zatrute studnie, rzeki płynące trupami... Gdzie będziecie jeść, pić?

KERDREC

Nie wiem... pójdę przed siebie! Tutaj zamieniam się w tchórza...

CLÉMENT

Pójdę przed siebie i będę zabijał!

KERDREC

Nie wierzę już w wyzwolenie!

LOREAU

Nikt już nie wierzy!

CLÉMENT

Nawet pan, panie konsulu!

D'HÉMELIN

Wierzę... wierzę, że nas siedmiu powstrzymuje ich tu od ponad miesiąca... A są ich setki, rzucają się wprost na nasze kule, z nagą pierśią, uważając się za niezniszczalnych. To fanatycy... – Cała ich wściekłość uderza w nas... nas siedmiu... ponieważ jesteśmy tu, zjednoczeni, zdyscyplinowani, bo nie wiedzą, ilu nas jest – i ponieważ nasza siła jest większa niż odwaga! – Po wyjściu stąd będziecie tylko kilkoma mężczyznami, siedmioma mężczyznami przeciwko tysiącom, przeciwko rozwścieczonemu tłumowi!

CLÉMENT

Ale Carel, Bornin...

D'HÉMELIN

Ci, którzy próbowali uciec...

LOREAU

Oni są daleko!

CLÉMENT

Uratowani!

D'HÉMELIN

Oni są martwi, przyjaciele... Czyż nie widzieliście ich wczoraj nieopodal kanału? Przechodząc tamtędy, bokserzy skierowali w naszą stronę drąg z zawieszonym na jego końcu koszem z sitowia. Była w nim odcięta głowa...

(Przerażająca cisza.)

CLÉMENT

A więc jeśli nie możemy stąd wyjść, co mamy robić?

KERDREC

Jeśli nie ma już sposobu, by kogokolwiek powiadomić, że jesteśmy tu żywi – ani swoich, ani sojuszników – ale że potrzebujemy pomocy, to co mamy robić?

LOREAU

Kiedy zabraknie już kul i ryżu, i wody... co wtedy zrobimy? Niech pan powie!

D'HÉMELIN

Wtedy, moi drodzy, będziemy walczyć – i nie opuszczę mojego miejsca, przysięgam!

(W tym momencie otwierają się drzwi konsulatu. Wraca przynębiony Bernard.)

BERNARD

Panie konsulu! Ona zachowuje się jak wściekłe zwierzę! Trzeba było ją zamknąć!

D'HÉMELIN

A zwłoki?

BERNARD

Wszystko załatwione.

D'HÉMELIN

Wyrzucił pan je?

BERNARD

Tak.

(*Cisza.*)

KERDREC

Nie miała więcej mleka. Mały umarł z głodu.

LOREAU

Też miałem synka w podobnym wieku!

CLÉMENT

unosząc pięść w kierunku Miasta.

Zapłacą nam za to!

KERDREC

Oj tak! A przed śmiercią iluś zabijemy! Zabijemy!

LOREAU

Zabijemy iluś, ale z daleka! A ja bardzo chciałbym patrzeć na ich paskudne żółte mordy.

(*W oddali słysząc zduszony krzyk.*)

D'HÉMELIN

Cicho! – Posłuchajcie... Ktoś krzyczał.

LOREAU

Tak... tam! Bardzo blisko!

(Ten sam krzyk, bliżej.)

GRAVIER

Krzyk rannego... Morin stoi na warcie!

CLÉMENT

Zaatakowali go.

D'HÉMELIN

Strzeliłby, żeby wszcząć alarm.

GŁOS MORINA

w oddali.

Alarm!

D'HÉMELIN

biorąc karabin Bernarda.

Pański karabin... Chodźmy zobaczyć...

(Daje znak Kerdrecowi.)

GŁOS MORINA

bliżej.

Alarm!

GRAVIER

Uwaga!... Na kolana, wszyscy!

(Wszyscy ładują karabiny i kryją się za barykadą.)

MORIN

nadbiega i daje znaki.

Nie strzelać! Nie strzelać!

D'HÉMELIN

Co się stało?

MORIN

Jakiś człowiek pełzł... tam... w trawie... Widziałem...

GRAVIER

Jakiś bokser...

D'HÉMELIN

Szpieg!

BERNARD

Podpalacz...

CLÉMENT

Trzeba było go rozwalić!

MORIN

Nie! Jakiś Europejczyk... ranny, cały we krwi! Pełzł... Myślę... myślę, że to on...

D'HÉMELIN

Kto?

MORIN

Bornin! Wydaje mi się, że to on.

WSZYSCY

On... On! Bornin... To niemożliwe!

MORIN

Pełzł... charczał! Był jak widmo...

KERDREC

Bornin!...

(Jęki są coraz bliżej.)

CLÉMENT

Słuchajcie...

D'HÉMELIN

Chodźmy mu pomóc...

(Wszyscy nadbiegają.)

Nie... Tylko pan, Kerdrec. Pozostali niech zostaną na straży...

GŁOS BORNINA

Tutaj, tutaj... panie konsulu...

(W momencie, gdy konsul i Kerdrec wychodzą mu naprzeciw, Bornin podnosi się z największym wysiłkiem; wchodzi i upada w przedniej części sceny, wszyscy cofają się przerażeni.)

WSZYSCY

To on! Bornin! Bornin... – To ty? – Skąd przychodzisz?

BORNIN

Boli! Boli...

(Wszyscy stają wokół niego. Upadł na łokcie, pokryty krwią i kurzem. Gdy próbuje się podnieść, ukazują się dwa krwawiące kikuty.)

BORNIN

Odcięli mi dłonie... Oj, jak boli! Dobijcie mnie!

WSZYSCY

cofają się przerażeni.

O nieszczęsny! Nieszczęsny!

(Długa cisza.)

CLÉMENT

zbliżając się.

A pozostali? Gdzie oni są?

BORNIN

Aaaa!... Aaaa!

CLÉMENT

Robert?

BORNIN

Nie żyje!

KERDREC

Carel?

BORNIN

Nie żyje!

LOREAU

Jean-Louis?

BORNIN

Nie żyje! Wszyscy nie żyją... wymordowani... w torturach...

A ja... Ach!

(Podtrzymywany, mówi resztkami sił w rozgorączkowaniu.)

Widziałem, jak Carel umiera... Wyrwali mu paznokcie, wyłupili oczy. Słyszę jego krzyki, jego wołanie. – Potem przyszła kolej na mnie... Przytrzymali mnie na tym samym pniu... zakrwawionym pniu... Moje dłonie... odcięli mi całą dłoń... A potem...

WSZYSCY

A potem...

BORNIN

bardzo słaby.

Sam już nie wiem... Usłyszałem hałas podobny do wystrzałów armatnich... Doszedłem do siebie. Byłem sam... Wokół odłamki pocisków, kałuże krwi... Zawołałem: „Carel!” I szukałem jego ciała... Jego ciało... Nic... prócz szczątków... Były tu i tam... Są na mnie!

WSZYSCY

odsuwają się przerażeni.

Och!

D'HÉMELIN

Bornin! Bornin! Wytrzymaj...

MORIN

Wytrzymaj, przyjacielu! Uratujemy cię!

BORNIN

krzyczy.

Moje ręce...

D'HÉMELIN

Wytrzymaj!

BORNIN

Moje ręce! Moje ręce!

CLÉMENT

Zaopiekujemy się tobą! No już dobrze! Wyleczymy cię...

BORNIN

Nie wyleczycie moich oczu z tego, co widziały. Gdybyście wiedzieli... Widziałem kobietę, z klasztoru św. Łazarza... złapali ją, związali, unieruchomili... wyrwali jej paznokcie... u rąk, u nóg... Te krzyki... Obcęgi rozgrzane do czerwoności... Wyrwali jej język... Wyrwali jej piersi...

(Jęcząc.)

Aaa! aaa!

(Jego głowa opada.)

D'HÉMELIN

Bornin!

BORNIN

ostatnim wysiłkiem.

Panie konsulu! Dowłokłem się aż tutaj, żeby panu powiedzieć...

Są tam...

D'HÉMELIN

Gdzie?

BORNIN

Bardzo blisko, wzdłuż kanału... tysiące, tysiące... Ukryci w trawach... na całej równinie... Nie ma nadziei. Nie można już uciec... Jesteście zgubieni... więc...

D'HÉMELIN

Więc?

BORNIN

Więc... niech pan pomyśli o Carelu, o mnie... o wszystkich! Nie pozwólcie się wziąć żywi... Nie... tylko nie żywcem, tylko nie żywcem!

(Ponownie upada. Wszyscy podbiegają, próbują go podnieść.)

MORIN

patrząc na niego, przerażony.

Och! Te oczy!

LOREAU

Całkiem szklane!

D'HÉMELIN

Bornin! Bornin!

CLÉMENT

Nie odpowiada...

GRAVIER

dotykając go.

Serce przestało bić.

D'HÉMELIN

Umarł!

GRAVIER

Umarł.

(Wszyscy wstają i zdejmują czapki.)

D'HÉMELIN

Niech ci, którzy wierzą w Boga, pomodlą się za niego!

(Długa cisza. Po jakimś czasie jedynie Kerdrec uczynił znak krzyża. – Wówczas konsul wskazuje na zwłoki.)

Clément! Kerdrec!

(Kerdrec i Clément podnoszą zwłoki i powoli je wynoszą. – Wszyscy podążają za nimi w głębokiej ciszy. Gravier i d'Hémelin zatrzymują się, przepuszczają pozostałych i, sami, twarzą w twarz, patrzą na siebie, nie mając odwagi mówić. Później d'Hémelin odzywa się cicho.)

Słyszał pan, przyjacielu! – Nie ma nadziei.

GRAVIER

posepny.

Tym razem to koniec!

D'HÉMELIN

ledwie wymawiając słowa.

I to jaki koniec! Więc chcę pana poprosić... o przysługę... odrażającą przysługę...

GRAVIER

Mnie?

D'HÉMELIN

Jedynie pana! Ja bym nie mógł! Ja.. Ręce by mi się trzęsły... To byłoby nieludzkie... A jednak nie chcę, żeby ją wzięli żywą... Pan, przyjacielu...

GRAVIER

podążając za wzrokiem konsula w stronę konsulatu, gdzie jest zamknięta Denise, martwym głosem.

Ja...

D'HÉMELIN

Jedynie pan...

GRAVIER

przerażony.

Tylko nie ja! Nie ja!

D'HÉMELIN

Pan! Och, błagam pana... Błagam...

GRAVIER

Nie mógłbym!... Proszę pomyśleć... Tutaj... w tym samym miejscu... Denise! To było tutaj... Mówiłem jej o nadziei... o przyszłości... Wyznałem jej... Mieliśmy panu o tym powiedzieć później... Powiedziałem jej, że ją ko...

D'HÉMELIN

porażony.

Pan! Pan kochał moją córkę... pan, Georges!

(Przez chwilę wzruszony, potem, jak gdyby nieobecny.)

A więc muszę to być ja... ja, jej ojciec...

(Zatrzymuje się, a następnie, posępny, lecz zdecydowany.)

Nie chcę, żeby za życia wpadła w ich ręce... o nie! Nie za życia!...

Nie za życia!...

(Rozlega się wybuch. Słyszać krzyki. Wszyscy w mgnieniu oka wracają na środek sceny. Na zewnątrz strzelanina.)

GRAVIER

dowodzi.

Padnij! – Gotowi! Ognia!

*(Wszyscy mężczyźni, przyczajeni za barykadami, strzelają. Z od-
dali odpowiadają strzały. Wśród odgłosów strzelaniny rozlegają
się wrzaski bokserów. Słyszać uderzenia w gong i dźwięk dzwo-
neczków.)*

BERNARD

do konsula, który, jako jedyny, stoi.

Proszę uważać, panie konsulu! Strzelają do pana!

D'HÉMELIN

Źle celują!

(Świst kuli tuż nad barykadą.)

MORIN

Nie tak źle.

LOREAU

Korygują strzał.

KERDREC

Dobierają się już do naszych kryjówek...

*(Coraz większy hałas. Coraz bardziej słyszać krzyki bokserów.
Rozbrzmiewają uderzenia w gong i dźwięk dzwoneczków.)*

BERNARD

Przechodzą przez kanał.

CLÉMENT

Tam są! Tuż przy murze!

GRAVIER

Celujcie w trawy!

LOREAU

opuszczając swoje miejsce.

Mają ogromną przewagę!

D'HÉMELIN

Nadchodzą zewsząd.

GRAVIER

Sfora⁸ się zbliża...

(Odgłosy strzałów armatnich.)

WSZYSCY

Tutaj... – Tutaj... – Na wprost z prawej!... Już tu są! Już tu są!

(Bardzo bliski wystrzał armatni.)

D'HÉMELIN

Ach! Teraz armata!

GRAVIER

Jesteśmy zgubieni... nie uda nam się już ich powstrzymać!

D'HÉMELIN

Zejdźcie... do kryjówek! Nie zostawajcie tu.

LOREAU

rusza.

Na Boga, naprzód!

.....
⁸ Porównanie Chińczyków do psów gończych (w języku francuskim gra słów *meute* 'sfora' i *chiens de meute* 'psy gończe') – psów atakujących, które wypuszcza się jako pierwsze.

KERDREC, MORIN, BERNARD

Naprzód!

KERDREC

Jesteśmy skończeni... ale iluś zabiję!

LOREAU

Drogo zapłacą za moją skórę!

(Wszyscy wydają głośny okrzyk: Naprzód! I ruszają. – W obliczu coraz ostrzejszej strzelaniny jedynie Gravier i konsul pozostają z tyłu.)

GRAVIER

Niech pan tu nie zostaje, panie konsulu...

D'HÉMELIN

A niech pan da spokój!

GRAVIER

Zabiją pana...

D'HÉMELIN

To pana czeka już tylko śmierć!

(odpycha go silnie i, sam)

Ale ja... ja... Och, Denise!

(Kula armatnia wybucha na scenie. Drzwi konsulatu wylatują w powietrze. Słychać krzyki przerażonych kobiet, które się ratują, a jedna z nich, śmiertelnie ranna, upada na schody konsulatu. – Roztrzęsiona Denise rzuca się w ramiona ojca.)

DENISE

Ojczy! Ojczy! Pomocy! Pomocy...

D'HÉMELIN

Jesteś ranna?

DENISE

Uciekajmy... uciekajmy... boję się!

D'HÉMELIN

Denise!

DENISE

Och! Ojczel! Ojczel, ratuj mnie... Bokserzy! Ratuj mnie...

D'HÉMELIN

Uratuję cię... tak... tak...

DENISE

To oni!...

(W oddali rozlegają się krzyki rannych, a w pobliżu strzelanina.)

Ach, co za krzyki!... To rzeź... Ojczel! Ratuj mnie! To oni!...

(Chowa się w jego ramionach.)

D'HÉMELIN

trzymając ją w objęciach.

Nie bój się... Nie bój się, Denise... moja mała Denise...

DENISE

Ratuj mnie! Ratuj mnie!

D'HÉMELIN

Uratuję cię... tak... uratuję... Denise... moja mała Denise...!

(Powoli, wyciągnąwszy rewolwer prawą ręką, od tyłu podnosi broń do potylicy córki i strzela. Bezgłośnie, wciąż obejmując ojca, Denise zastyga w bezruchu, a jej głowa opada. – Trwa strzelanina. Potem nagle słabnie i milknie. – Zalega cisza. – D'Hémelin wciąż trzyma ciało córki w ramionach. – I nagle, bardzo daleko, na początku niewyraźnie, rozbrzmiewa dźwięk trąbki. Jest coraz bliżej. Słychać bębny i krzyki w oddali oraz kolejne wystrzały. – Coraz głośniejsze pomruki: „To nasi! Nasi!”)

GŁOSY KERECA, MORINA, BERNARDA, CLÉMENTA
na zewnątrz.

To nasi! Jesteśmy uratowani! Uratowani! To nasi!

(Trąbki, bębny. – Ranny i wyczerpany Gravier wchodzi na scenę i podbiega do konsula.)

GRAVIER

Panie konsulu! Panie konsulu! Jesteśmy uratowani... To nasi!
Nasi!

(Zatrzymuje się przed nieruchomym d'Hémlinem, wciąż trzymającym córkę w ramionach.)

D'HÉMLIN

oszalały bełkocze.

Uratowani... uratowani...

(Upuszcza ciało córki na ziemię, podczas gdy głośny pomruk, połączony z dźwiękiem trąbek i bębnów wita przybycie i zwycięstwo wojsk europejskich. – Kurtyna powoli opada.)

Telefon

SZTUKA W DWÓCH AKTACH*

PRZEKŁAD I OPRACOWANIE TEKSTU**
TOMASZ KACZMAREK

-
- * Sztuka miała swoją premierę 27 listopada 1901 r. na deskach Théâtre-Antoine, w roli Marexa wystąpił sam André Antoine. Rok później, 20 lipca, dramat został pokazany w Comédie-Française. Utwór doczekał się realizacji scenicznej w Grand-Guignol dopiero w roku 1922. To właśnie dzięki tej sztuce okrzyknięto pisarza „Księciem okrucieństwa”.
 - ** Tłumaczenia dokonano z języka oryginału na podstawie wydania: A. de Lorde, *Au téléphone*, [w:] A. Pierron, *Le Grand-Guignol. Le théâtre des peurs de la Belle Époque*, Paris 1995, s. 857–873.

Osoby

ANDRZEJ MAREX

PAN RIVOIRE

BŁAŻEJ*

CHŁOPIEC

SŁUŻĄCY

MARTA MAREX

HANIA**

LUCYNA RIVOIRE

PIOTRUŚ

.....
* W oryginale Blaise.

** W oryginale Nanette.

Akt I

Akcja sztuki rozgrywa się w pałacu Chesnaye u państwa Marexów, na wsi. Wnętrze salonu. W głębi drzwi wychodzące na park. Po obu stronach drzwi – okna. Po prawej stronie znajduje się kominek, w którym pali się ogień. Pomiedzy kominkiem a rampą teatralną aparat telefoniczny¹ zawieszony na ścianie. Po lewej stronie sceny stół, fotele, krzesła, sekretarzyk w kącie². Po podniesieniu kurtyny widzimy starą nianię, która siedzi przy kominku oraz przeglądającego książkę z obrazkami Piotrusia na jej kolanach. Pan Marex w garniturze podróżnym porządkuje papiery w sekretarzyku. Jego żona Marta zawija w papier drobne przedmioty, które pakuje do walizki leżącej na stole. Odgłosy wiatru i deszczu.

.....
¹ Telefon jest głównym elementem dekoracji, bowiem występuje w dramacie niemalże na tych samych prawach, co postacie sceniczne. Kiedy de Lorde pisał swoją sztukę, telefon należał jeszcze do nowinek technicznych, które wkrótce miały zrewolucjonizować świat. Por.: „W 1876 roku Amerykanin Aleksander Graham Bell stworzył telefon. Rozmawianie na odległość za pośrednictwem drutów stało się sensacją dnia. Już od 1878 roku zaczęły powstawać miejskie centrale telefoniczne, a w 1889 roku pojawiły się centrale automatyczne” (B. Orłowski, *Najkrótsza historia wynalazków*, PZSWiR, Warszawa 1993, s. 35).

² Pisarz dba o najdrobniejsze szczegóły dekoracji z iście naturalistycznym zacięciem. Jego drobiazgowość polega na zwróceniu uwagi na te elementy, które, jeśli nawet mogą wydawać się pozornie nieistotne, są powiązane z dalszym przebiegiem akcji dramatycznej. W tym przypadku sekretarzyk nie jest zwykłym meblem, ponieważ w szufladzie znajduje się rewolwer.

MAREX

Przerywa układanie papierów i nasłuchuje.
Samochód przyjechał?

MARTA

Podchodząc do okna z prawej strony.
Nie... jeszcze nie...

MAREX

Nie śpieszy się im.

MARTA

Zwykle są punktualni.

MAREX

Poirytowany.
W jakiej firmie wynajęliśmy powóz?

MARTA

Jak zawsze u Perrina. Hania się tym zajmowała.

HANIA

Byłam u nich wczoraj z samego rana. Powiedziałam, żeby woźnica stawił się najpóźniej za kwadrans szósta.

MARTA

No to jest jeszcze czas.

MAREX

Niewiele.

MARTA

W ciągu dwudziestu minut będziesz w Servon³.

.....

³ Miejscowość i gmina w regionie Île-de-France.

MAREX

Trzeba będzie szybko jechać.

HANIA

Konie Perrina są niezawodne.

MAREX

Coraz bardziej zdenerwowany.

Jeśli za dziesięć minut nie będzie powozu, to mogę zapomnieć o wyjeździe.

MARTA

Ależ zaraz przyjedzie.

MAREX

A jak nie zdążę na pociąg? Dopiero będę w niezłych tarapatach. Jak jutro nie spotkam się z Mullerem w Paryżu, to przejdzie mi koło nosa dziesięć tysięcy franków! Taka strata!

MARTA

To aż o taką sumę chodzi?

MAREX

Mam nadzieję, że nawet o nieco więcej...

MARTA

O proszę... słyszę jakieś odgłosy⁴.

(wyglądając przez okno.)

Niestety nie. Pomyliłam się.

(zaniepokojona.)

To byłoby w rzeczy samej przykre. Gdyby chociaż ten Perrin miał telefon, to można by było upewnić się, czy powóz wyjechał.

.....
⁴ Wszelkie odgłosy oraz dźwięki odgrywają w tym dramacie niezwykle istotną rolę.

MAREX

Jeśli powóz nie wyjechał, to i tak byłoby już za późno. Zresztą nie mają telefonu. W Servon nikt nie ma telefonu⁵. W tej dziurze nie ma niczego, nawet telefonu! Oni nawet tutaj nie wiedzą, co to jest telefon!

MARTA

spoglądając na zegar.

Już szósta!

MAREX

Gdybym tylko dorwał tego woźnicę!... Wszystko, co mi pozostaje, to iść pieszo. Błazej weźmie moją walizkę. Spotkamy się w drodze.

Deszcz przybiera na sile⁶.

HANIA

Ależ, proszę pana, leje jak z cebra...

MARTA

Okropna pogoda...

MAREX

Leje się z nieba! Piękny mamy wrzesień! I pomyśleć, że przyjechaliśmy na wieś, żeby oddychać czystym powietrzem, cieszyć się długimi spacerami... a tutaj od trzech tygodni człowiek nie wystawił nosa na zewnątrz... obrzydła okolica! Napęlnia mnie po prostu wstrętem!

MARTA

Nie przyjeździemy już tutaj na przyszłe wakacje.

.....

⁵ W 1913 roku zostaną uruchomione pierwsze budki telefoniczne w Paryżu.

⁶ Przybierający na sile deszcz ma wytworzyć atmosferę niepokoju. Widz bowiem nie wiedział, czy aby już na początku sztuki nie dojdzie do strasznego wydarzenia. Por. przypis 8.

MAREX

Przenigdy! Zwykła dziura... niczego nie ma... wszędzie wilgoć... Nawet miasteczko jest ponure. I nie ma telefonu⁷!

HANIA

Jesteśmy z dala od reszty świata! Bo gdybyśmy potrzebowali czegoś, gdyby na przykład ktoś zachorował w nocy, to mógłby umrzeć, zanim przyszedłby jakakolwiek pomoc⁸.

MARTA

Poszłoby się do sąsiadów.

HANIA

Sąsiedzi też mieszkają daleko od nas!

MAREX

To prawda. Jesteśmy tu oddzieleni od reszty świata.

MARTA

Dałoby się żyć, tylko potrzebowalibyśmy konia i powozu.

MAREX

Żeby tylko. Ten pałac jest za duży. Musielibyśmy jeszcze zatrudnić pięciu lub sześciu lokajów, żeby to jakoś utrzymać. Pomyśl tylko, mam siedem hektarów lasu: to prawdziwa puszcza! Na co nam to? Ja nie poluję, nikt nie wybiera się tam na spacer...

HANIA

Jeszcze tam udawać się na spacer?! Dzięki wielkie... żeby naknąć się na jakichś dziwnych typków jak ostatnim razem?!

.....
⁷ Pisarz nie bez kozery podkreśla odosobnienie pałacu, który potencjalnie staje się łatwiejszym celem dla przestępców.

⁸ Kwestia Hani zarysowuje oś, wokół której ogniskować się będzie dramatyczna akcja sztuki.

MARTA

Uśmiechając się.

Ależ ta Hania jest strachliwa.

MAREX

Wesoły.

Można by spotkać tam żebraka.

HANIA

Raczej zakazaną gębę!

MAREX

Może po prostu zaniedbaną? Tak czy siak, w przyszłym roku pojedziemy gdzie indziej.

HANIA

Już się cieszę na samą myśl. Tutaj to żadne życie. A gdybym ja musiała tutaj zostać sama!⁹... Na szczęście jest pan i Błażej.

MAREX

Właśnie. Byłbym zapomniał...

Podchodzi do telefonu.

MARTA

Co robisz?

MAREX

Dzwonię do Rivoire'ów.

(do słuchawki)

Halo?... może mnie pani połączyć z Vitré 276... tylko jak najszybciej, to pilne. Bardzo dziękuję.

(do Marty)

Powiem im, że przyjadę około dwudziestej.

.....

⁹ Zapowiedź tego, co się wydarzy w akcie drugim.

MARTA

I od nich pojedziesz?

MAREX

Złapię pośpieszny o dziesiątej czterdzieści. W Paryżu będę jutro rano kwadrans po piątej. Gdybyś chciała mi coś przekazać lub coś powiedzieć Rivoire'om, to możesz do nich zadzwonić jeszcze dziś wieczorem przed dwudziestą pierwszą.

MARTA

A jak będziesz w Paryżu?...

MAREX

Możesz zadzwonić do hotelu Terminus, mam zarezerwowany pokój numer 16...

(Dzwoni telefon. Marex odbiera.)

Halo!... to ty, stary przyjacielu?... ależ tak... mój drogi... musiałem założyć telefon... w Servon nikt nie ma telefonu... trochę mnie to kosztowało... ale jak ktoś prowadzi interesy, to nie może obejść się bez telefonu... tak... co wy na to, abyśmy spotkali się dzisiaj wieczorem... pojadę sobie potem pośpiesznym do Paryża... to dosyć pilna sprawa... wystarczy jak się napijemy kawy... właściwie to już jadłem kolację... myślę, że byłbym u was około dwudziestej. No chyba że macie jakieś inne plany?

MARTA

(podchodzi do Marexa.)

Pozdrów go i panią Lucyne.

MAREX

(odpowiadając na pytanie Rivoire'a.)

Tak... to była moja żona... serdecznie cię pozdrawia, Lucyne również...

MARTA

(do męża)

Jak to? Rivoire usłyszał jak do ciebie mówiłam?

MAREX

(do słuchawki)

Jestem zobowiązany... do zobaczenia wieczorem...

Odkłada słuchawkę.

MARTA

Usłyszał mój głos?

MAREX

Stałaś koło mnie. Wszystko dokładnie słyszać¹⁰. Trzeba bardzo uważać...

MARTA

Popatrz, nie wiedziałam...

HANIA

Nasłuchuje. Podchodzi do okna.

Coś czuję, że tym razem...

MARTA

podchodzi do drugiego okna.

Wreszcie... powóz zajechał...

Odgłosy dzwonków.

HANIA

Wjechał od strony parku.

.....
¹⁰ Przez słuchawkę bohater będzie słyszał, jak dochodzi do zbrodni na jego rodzinie.

MAREX
Wreszcie.

PIOTRUŚ
Podchodzi do ojca.
Tatusiu...

MAREX
Co mój mały?

PIOTRUŚ
A przywieziesz mi coś?

MAREX
Oczywiście, że przywiozę.
(do Marty)
Możesz podać mi moją torbę? Gdzie jest Błażej?

MARTA
W jadalni... Zaraz go zawołam.
(woła)
Błażeju! Błażeju!

HANIA
(wciąż w oknie)
Powóz zajechał.

BŁAŻEJ
(wchodzi)
Pani mnie wołała?

MAREX
Tak, Błażeju. Powierzam ci całą moją rodzinę na czas mej nieobecności. Oni są wszystkim dla mnie. Liczę na ciebie.

BŁAŻEJ

Może pan być spokojny!

MAREX

Zanieś walizkę do powozu.

(Błażej odnosi walizkę, po czym wraca. Marex żegna się z dzieckiem.)

Do zobaczenia, mój mały. I bądź grzeczny, bo w przeciwnym wypadku nic ci nie przywiozę.

PIOTRUŚ

Będę grzeczny, tatusiu...

MAREX

A powiedz mi, co byś chciał?

PIOTRUŚ

Tatusiu, przywieziesz mi małą siostrzyczkę?

MAREX

Śmiejąc się.

A to dopiero. Ale to będzie kosztowne.

PIOTRUŚ

Oj tatusiu, ja chciałbym mieć siostrzyczkę.

MAREX

Zobaczymy.

PIOTRUŚ

Jeśli nowa kosztuje za drogo, to może znajdziesz jakąś z przeceny?

MAREX

Śmieje się obejmując dziecko.

Siostrzyczkę z przeceny... dobrze, mój mały.

(obejmuje żonę.)

Do zobaczenia, moja żoneczko. Do zobaczenia, Haniu! I nie myśl o tych głupstwach. Nie macie się czego obawiać. Błażej zostaje z wami¹¹.

(podchodzi do sekretarzyka, otwiera szufladę.)

Zresztą... tak na wszelki wypadek... żeby przepędzić zakazanych typków... macie tu naładowany rewolwer...

(próbuje zamknąć szufladę.)

Nie chce się zamknąć¹²... zamkniecie później. Uważajcie tylko, żeby mały niczego nie dotykał. No to żegnajcie. Jestem już bardzo spóźniony. Żegnajcie kochani.

MARTA

(odprowadzając go do drzwi.)

Żegnaj.

MAREX

(zatrzymując Martę w drzwiach.)

Nie wychodź na dwór. Przeziębisz się.

(wychodzi, Błażej idzie za nim.)

Woźnico, ruszamy z kopyta, bo pociąg mi ucieknie... żegnaj Błażeju... miej pieczę nad całym domem!

PIOTRUŚ

(krzycząc w drzwiach)

Żegnaj, tatusiu, i nie zapomnij o młodszej siostrzyczce.

HANIA

Tatuś nie zapomni. Chodź, pooglądamy sobie obrazki.

Piotruś siada na kolanach Hani. Po chwili usypia.

.....
¹¹ Dopóki Błażej będzie przebywał w domu, kobiety będą czuły się bezpieczne. Widz również może być spokojny, że nic złego się nie wydarzy. Kiedy jednak służący się oddali, będzie to znak, że dojdzie niechybnie do tragedii.

¹² Dramatopisarz nie pozwala na zamknięcie szuflady, aby w kolejnej scenie nieznamy przybysz (Chłopiec) mógł ukraść rewolwer.

MARTA

(*w oknie.*)

Już są na końcu alei... Oby tylko zdążył na pociąg! Co za okropna pogoda!... i do tego ta mgła! Ledwo co widać lampy. Powóz przejeżdża obok lasku... a teraz już nic nie widać... zaczyna coraz mocniej padać... ależ zrobiło się ciemno. To rzeczywiście smutna okolica... Haniu...

HANIA

(*szeptem*)

Mały właśnie usnął.

MARTA

Położ go na fotelu. Tylko delikatnie. Trzeba przynieść lampę. Nawet tu w środku nic nie widać.

(*wchodzi Błażej.*)

Cicho, mały śpi.

Hania kładzie chłopczyka na fotelu i wychodzi po lampę.

BŁĄŻEJ

(*szeptem.*)

Pan jest już daleko. Jedzie z dobrym woźnicą.

MARTA

Błażeju, możesz zamknąć okiennice w jadalni.

(*wskazuje okno po prawej stronie.*)

Drzwi do ogrodu też można zamknąć... Hania pozamyka tutaj później.

BŁĄŻEJ

Dobrze, proszę pani. Czy mam spuścić psy?

MARTA

Tak. Przenieś tutaj swoje łóżko.

(*do Hani, która wchodzi z lampą.*)

Właśnie powiedziałam Błażewi, żeby dzisiaj spał tutaj. Tak będzie chyba lepiej?

HANIA

(szeptem, podczas gdy Błażej wychodzi, aby zamknąć okiennice.)

Oczywiście. Będziemy czuć się pewniej.

MARTA

(uśmiechając się.)

My?... możesz Haniu powiedzieć, że ty będziesz czuć się pewniej.

HANIA

Niech będzie, że i ja będę spokojniejsza. Nigdy nie ukrywałam, że nie należę do najbardziej odważnych... Zawsze byłam strachliwa.

MARTA

Ależ Haniu.

HANIA

Cóż robić? Starzeję się. Przecież trzy dni szybko zlecą. Pan będzie z powrotem najpóźniej w środę, czyż nie? Zresztą nie wyglądał na zadowolonego, że musiał nas zostawić samych.

MARTA

Kiedy już Błażej zainstaluje łóżko, to zaniemiemy małego do pokoju.

HANIA

(pochylając się nad dzieckiem.)

Oczywiście. Śpi jak suseł! Jaki anioleczek.

MARTA

Po chwili ciszy siada za stołem.

Dobra okazja, żeby zająć się rachunkami.

(bierze notes, do Hani.)

Wczoraj dałam ci dwadzieścia franków, czyż nie?

HANIA

Tak, proszę pani.

MARTA

Dobrze...

(oblicza).

Zapłaciłaś piekarzowi?

HANIA

Tak, proszę pani... sześć franków i dziesięć centymów.

MARTA

(zapisując.)

Sześć franków i dziesięć centymów... Rzeźnikowi też zapłaciłaś?

HANIA

Tak, proszę pani... Mam rachunek w kieszeni. Pójdę go poszukać.

Podmucha silnego wiatru, deszcz przybiera na sile.

MARTA

Zamknij okiennice... Strasznie zaczęło wiać... to naprawdę nieprzyjemne i takie smutne!

HANIA

(zamierza zamknąć okiennicę.)

Sama prawda...

(nagle odskakuje od okna.)

Ach!

MARTA

Co się stało?

HANIA

Ktoś jest za oknem!

MARTA

(odwraca się.)

Postradałaś zmysły? To pewnie odbicie lampy...

HANIA

(przerażona.)

Nie!

MARTA

Haniu, dajże spokój...

HANIA

(odsuwa się jeszcze bardziej.)

Oj, proszę pani, jak mi bije serce. Błazej zamknij okiennice, ja nie dam rady. Za bardzo się boję...

MARTA

Ale ty jesteś strachliwa! To naprawdę przekracza wszelkie granice! Kto miałby tam stać?.. No pomyśl chwilę.

(Podchodzi do drzwi. Otwiera je i nagle cofa się, wydając zduszony krzyk. Zobaczyła jakiś cień¹³.)

Ach!

W tym momencie w drzwiach pojawia się chłopiec z czapką w dłoni. Wygląda podejrzanie.

CHŁOPIEC

(wchodzi nie zamykając za sobą drzwi.)

Dzień dobry pani...

MARTA

Kim jesteś? Czego chcesz?

.....

¹³ Didaskalia często służą pisarzowi do snucia narracji iście prozatorskiej.

CHŁOPIEC

(rozglądając się nerwowo wokół siebie.)

List mam¹⁴...

Szuka czegoś w torbie.

MARTA

A skąd przychodzisz?

CHŁOPIEC

(szukając listu w kieszeniach.)

A stamtąd, z miasta...

MARTA

(gorączkowo.)

Jak się tutaj dostałeś? Czemu nie zadzwoniłeś do głównego wejścia?

CHŁOPIEC

(ciągle szukając listu.)

A ja nie wiem, gdzie jest główne wejście. Poszedłem skrótami... poszedłem przez lassek, to skraca drogę...

Wyciąga wreszcie pomięty list, który daje Marcie.

MARTA

(bierze list od chłopca.)

Dla kogo ten list? Kto ci go dał?

CHŁOPIEC

To dla pana Błażeja. Jego matka jest bardzo chora.

MARTA

(poruszona.)

O, mój Boże. Haniu, zanieś szybko list Błażejowi!

.....
¹⁴ De Lorde dozuje niepokój podobnie jak ma to miejsce w filmowych dreszczowcach.

HANIA

Zawołam go z kuchni.

(wychodzi.)

Biedny Błażej.

MARTA

Pośpiesz się... Pośpiesz!

(do chłopca.)

Kto dał ci ten list?

CHŁOPIEC

Osobiście nie znam. Powiedziano mi, żeby go dostarczyć... jak najszybciej, kazano mi biec... i to wszystko.

MARTA

Poczekaj tutaj chwilę. Być może otrzymasz odpowiedź.

(Piotruś upuszcza we śnie książkę z obrazkami. Marta patrzy na niego.)

Śpisz, moje kochanie?

(Podchodzi do fotela, na którym leży dziecko, układa je w wygodniejszej pozycji. Mówi do przybysza nie odwracając się do niego.)

Usiądź. Błażej zaraz przyjdzie, to mu wszystko wytłumaczysz...

Chłopiec rozgląda się uważnie wokół siebie. Siada na krześle. W pewnym momencie zauważa otwartą szufladę. Spostrzega rewolwer. Upewniwszy się, że nikt go nie obserwuje, podchodzi do sekretarzyka i wyciąga broń. Po cichutku kieruje się w stronę drzwi i znika.

PIOTRUŚ

(przez sen.)

Haniu...

MARTA

(Podchodzi do dziecka. Pochyla się nad fotelem. Przez cały czas nie spogląda na gońca.)

Hania zaraz przyjdzie. Nie martw się, mój malutki. Zaraz położymy cię spać na górze... Twoja mamusia ukołysze cię dzisiaj do snu. Ale masz zimne stopy. Za daleko byłeś od kominka...

(przesuwa fotel.)

I jeszcze te otwarte drzwi...

(do chłopca.)

Mógłbyś zamknąć te drzwi?...

(odwraca się.)

A gdzie on się podział?

(wstaje.)

Poszedł sobie?... Mówiłam mu przecież, żeby zaczekał. Pewnie mnie nie zrozumiał... Może czeka na zewnątrz.

(podchodzi do okna.)

Nie. Nie ma nikogo...

(zamyka drzwi.)

Poszedł sobie. Zupełnie mnie nie zrozumiał.

Wchodzi Hania.

MARTA

I co?

HANIA

Dałam list Błażejowi. Właśnie go czyta. I jak on płacze, biedaczysko. A gdzie ten chłopiec?

Rozgląda się wokół siebie.

MARTA

Poszedł sobie. Oto i Błażej... Błażeju, powiedz, co się stało?

BŁĄŻEJ

(wchodzi wycierając łzy.)

Och, proszę pani... wielkie nieszczęście... moja matka jest chora, bardzo chora! Jest umierająca, chce mnie widzieć.

MARTA

Och, mój biedny Błażeju. Twoja matka do ciebie napisała?

BŁAŻEJ

Skądże. Ona nie umie pisać. Jakaś sąsiadka musiała za nią napisać. Och, jakie nieszczęście... mój Boże, co za nieszczęście!

Płacze.

HANIA

Mój biedny Błażeju... Co teraz zamierzasz zrobić?

BŁAŻEJ

(niepewnie.)

Nie wiem.

MARTA

Ależ Haniu, Błażej pójdzie natychmiast do swojej mamy, żeby zobaczyć co się dzieje... i potem do nas wróci.

BŁAŻEJ

Naprawdę pani się zgadza? Mogę pójść do mojej matki?

MARTA

Ależ oczywiście. Idź jak najszybciej!

HANIA

(strachliwie.)

To my teraz zostaniemy same?

BŁAŻEJ

(odwraca się.)

No właśnie. Przecież nie mogę zostawić pań samych... wszak pan polecił mi, żebym....

HANIA

(do Błażeja.)

Pan nie byłby zadowolony.

BŁAŻEJ

To ja pójdę jutro z samego rana. Nie będzie pani bała się tu zostać o poranku?

MARTA

(podchodzi do Błażeja.)

Ależ nie będę się bała. Zresztą, czego ja właściwie miałabym się bać? Zamkniemy się dobrze. Hania jak zwykle przesadza. Idź już, Błażeju... nie trać czasu... Ja wszystko wyjaśnię panu... powiem mu, że ja chciałam, żebyś nas zostawił same... Idź już! Będziesz w Servon za jakieś pół godziny...

BŁAŻEJ

Będę znacznie wcześniej!

MARTA

W drodze powrotnej możesz wziąć powóz. Nawet gdybyś miał wrócić z samego rana.

BŁAŻEJ

Wszak pani wie, że nie będę się ociagał.

MARTA

Przecież wiem. Zamknij jeszcze okiennice zanim sobie pójdiesz.

(podczas gdy ten zamyka okiennice, Marta mówi szeptem do Hani.)

A gdyby doszło do jakiegoś nieszczęścia, nigdy bym sobie nie wybaczyła, że nie pozwoliłam mu zobaczyć ostatni raz własnej matki.
(do Błażeja.)

Dziękuję ci, Błażeju! A teraz w drogę!

BŁAŻEJ

Pani ma naprawdę dobre serce. Dom jest zabezpieczony. Pobiegnę wzdłuż drogi. Zobaczę tylko, co u mojej mamy i natychmiast wracam. W drodze powrotnej wezmę powóz. W ciągu najdłużej dwóch godzin będę z powrotem. Daję słowo. Proszę pani, będę na pewno przed dziewiątą!

HANIA

(z naciskiem.)

Byle przed dziewiątą...

MARTA

To by było bardzo dobrze. Okryj się czymś, pada deszcz. Zamknę za tobą drzwi. Hani nawet tego nie proponuję.

BŁAŻEJ

Bardzo pani dziękuję... dziękuję.

Błażej wychodzi.

HANIA

(do siebie.)

Ja bym nie miała odwagi zamknąć drzwi. W tym przeklętym domu poderżnięto by mi gardło i nikt nie przybiegłby z pomocą. Czytałam ostatnio w „Dzienniku Ilustrowanym”¹⁵, jak pewnego dnia...

MARTA

(zamknąwszy drzwi.)

Zamknęłam drzwi za Błażem.

(zamyka pozostałe okiennice.)

No to teraz jesteśmy bezpieczne. Poczekamy na Błażeja. Mały śpi jeszcze?

HANIA

Tak, proszę pani... Ma mocny sen. Nic go nie obudzi. Czy mam go zanieść do łóżka?

.....
¹⁵ „Le Petit Journal”, paryski dziennik sympatyzujący z republikanami i konserwatystami, który wychodził między 1863 a 1944 rokiem. Oprócz „Le Petit Parisien”, „Le Matin” i „Le Journal” należał do najbardziej poczytnych periodyków pierwszej połowy XX wieku. Po nieudanej próbie zamachu bulanzystów, nakład gazety dochodził nawet do miliona egzemplarzy.

MARTA

Jeszcze nie. Niech sobie pośpi. Położymy go w pokoju, jak tylko Błazej wróci.

(*do Hani.*)

Mówiłaś, że zapłaciłaś rzeźnikowi?

HANIA

Tak, proszę pani.

MARTA

Masz rachunek?

HANIA

(*szukając w kieszeni.*)

Oto i on.

MARTA

Dobrze. Jutro trzeba będzie zamówić sześć butelek wody źródlanej z Vichy¹⁶... tylko nie zapomnij!

HANIA

Ze źródła Cellestine¹⁷?

MARTA

Oczywiście. Jak zawsze... to dla pana.

HANIA

(*śmieje się.*)

I dla Błazeja.

.....
¹⁶ W oryginale: „Eau de Vichy”. Choć Vichy kojarzy się Polakom z II wojną światową, to francuskie miasto cieszy się od dawna popularnością ze względu na swe zasoby leczniczych wód mineralnych.

¹⁷ Vichy Célestins, woda mineralna naturalnie nasycona dwutlenkiem węgla. Zdobyła sławę dzięki swoim właściwościom leczniczym, wyjątkowo skuteczna na dolegliwości gastryczne.

MARTA

Jak to dla Błażeja?

HANIA

On od czasu do czasu wypija sobie szklanekę wody. Ma wyjątkowo wrażliwy żołądek...

MARTA

Śmiejąc się.

I dobrze robi.

HANIA

Jakby co, to ja pani nic nie mówiłam.

(nagle nasłuchuje.)

Słyszysz pani?

MARTA

Znów zaczynasz?

HANIA

Jakby ktoś gwizdał...

MARTA

(oschle, aby dodać jej otuchy.)

Zupełnie nic nie słyszę.

HANIA

W takim razie ja chyba tracę rozum.

Zajmuje się robótkami ręcznymi.

MARTA

Co do tego nie mam wątpliwości. A zapłaciłaś praczce?

HANIA

(wstaje, odkłada robótkę na fotel, kieruje się w stronę drzwi.)

Zapłaciłam, proszę pani... a teraz... słyszysz pani?

MARTA

(nasłuchując.)

Psy ujadają... to tylko psy!

HANIA

(przerażona.)

Ktoś jest w ogrodzie.

MARTA

(zniecierpliwiona.)

Może Błażej o czymś zapomniał i wrócił.

HANIA

Psy go dobrze znają. Nie czekałyby na niego. A jednak szczekają... w oddali... pewnie koło bocznego wejścia...

MARTA

(coraz bardziej zniecierpliwiona.)

To pewnie jakiś przechodzień.

HANIA

Albo złodziej.

MARTA

Śmiechu warte. Psy po prostu czasami tak sobie szczekają.

HANIA

O nie, nigdy tak sobie nie szczekają... psy jakby biegły!

MARTA

(nasłuchując, zaczyna się niepokoić.)

Tak...

HANIA

Proszę pani, psy się teraz zbliżają... jakby przed kimś uciekały... już są prawie przy domu... i teraz przestają szczekać... ach!... niech pani posłucha... ktoś się tutaj zbliża... piasek skrzypi pod stopami...

MARTA

(*zdeenerwowana.*)

Haniu, przestań wreszcie!

HANIA

(*przerażona.*)

Tam, zaraz obok... pewnie tuż za drzwiami...

MARTA

Haniu!

HANIA

Tak, wyraźnie za drzwiami... prawdopodobnie chcą wejść do środka... wyważyć drzwi...

MARTA

(*tym razem przerażona.*)

Haniu, zamknij się... zamknij!...

HANIA

Pani też się boi... widzę, jak pani się trzęsie...

MARTA

To ty się trzęsiesz... ależ ty jesteś głupia z tymi twoimi lękami! W końcu i twój strach mi się udzieli...

HANIA

Ja po prostu się boję, proszę pani...

MARTA

(*drżącym głosem.*)

Jesteś idiotką¹⁸! Pomyśl trochę: jeśli pod drzwi zakradaliby się złodzieje, to przecież psy by szczekały... a nic nie słyszeć...

.....

¹⁸ Marta używa mocnych słów, nie licujących z jej pozycją społeczną, co tylko podkreśla, że obawia się groźnych odgłosów tak samo jak strachliwa piasunka.

HANIA

To prawda... chyba że...

MARTA

Chyba że...?

HANIA

Chyba, że... sama nie wiem... chyba, że nie mogą czekać...
ponieważ ktoś zabił psy...

MARTA

(drżąc.)

Jesteś głupia.

(po długiej ciszy.)

Ja już nic nie słyszę... zupełnie nic... wszystko się uspokoiło...
jest cicho...

HANIA

Tak, proszę pani...

MARTA

(energicznie.)

Sama widzisz, że to nic takiego...

HANIA

(próbując się uspokoić.)

Trzeba mieć ufność...

MARTA

Haniu, opanuj się. Gdybyś tylko widziała swoją twarz!

HANIA

Cała się trzęsę... Pani też jest blada.

MARTA

Dosyć tego! Zaczyna mnie to irytować!

HANIA

Dobrze, proszę pani... nogi mi drętwieją... to nerwy!

MARTA

Rozpal trochę ognia w kominku, prawie zgaśł.

(do siebie zniecierpliwiona.)

Dopiero ósma!...

(próbuje myśleć o czymś innym.)

Pan już pewnie dojechał. Już pewnie siedzi u Rivoire'ów... to są bardzo porządni ludzie. Znam ich bardzo dobrze... Poznałam ich w Paryżu.

HANIA

(powracając do swojej myśli.)

Tak, pan jest tam... zupełnie spokojny... w doborowym towarzystwie...

MARTA

(nagle.)

A ja mam ochotę zadzwonić do męża, żeby mu powiedzieć o ciężkiej chorobie matki Błażeja!

Wstaje i podchodzi do aparatu telefonicznego.

HANIA

(uspokaja się nieco, radosna.)

Oj tak, tak. Proszę pani, niech pani zadzwoni do pana, to doda nam trochę otuchy...

(wskazując na telefon.)

Tak, usłyszeć głos pana po drugiej stronie słuchawki... to jakby pan był po prostu z nami, tu w tym salonie. Pani pozwoli mi posłuchać głosu pana?

Zbliża się do pani Marex.

MARTA

Pozwolę... pozwolę...

(*podnosi słuchawkę.*)

Halo?... Halo?...

HANIA

Jak tylko usłyszę głos pana, to od razu się uspokoję, już nie będę się bała... to jakby sam pan był tutaj!

MARTA

(*do słuchawki.*)

Nareszcie... może mnie pani połączyć z Vitré... numer 276...

Tylko proszę szybko... to bardzo pilne... dziękuję... będę czekała...

Kurtyna powoli opada.

Akt II

U państwa Rivoire, w miejscowości Vitré¹⁹. – Wnętrze niewielkiego gabinetu. – Stoły, krzesła i tak dalej. – Telefon na jednym ze stołów.

Kiedy podnosi się kurtyna, dzwoni telefon. Drzwi w głębi pokoju otwierają się. Wchodzi służący, podchodzi do telefonu.

SŁUŻĄCY

(*do słuchawki.*)

Halo!... Halo!... Ach! Z panem Marexem?... A przepraszam, kto dzwoni?... Ach! To pani... Tak, jest tutaj, jest właśnie z państwem Rivoire... są w jadalni... dopiero co przyjechał. Ależ oczywiście, proszę pani... Jeśli zechce pani zaczekać chwilę przy telefonie...

.....
¹⁹ Miejscowość we Francji, położona w Bretanii. W języku bretońskim nosi nazwę Gwitreg.

*Odkłada na bok słuchawkę. Kieruje się do drzwi, którymi wszedł.
Wtedy pojawiają się w nich państwo Rivoire z Marexem.*

PANI RIVOIRE

do służącego.

Justynie²⁰, przynieś nam kawę do gabinetu.

SŁUŻĄCY

Dobrze, proszę pani.

(do Marexa.)

Ktoś do pana dzwoni.

MAREX

Och!

Szuka telefonu.

PAN RIVOIRE

Jest tam... na stole.

MAREX

idąc do aparatu.

To na pewno moja żona. Powiedziałem jej, żeby...

(podnosi słuchawkę.)

Halo!

PAN RIVOIRE

do Justyna

I przynieś butelkę wyśmienitego szampana... wiesz, o której myśle... tę starą...

SŁUŻĄCY

Dobrze, proszę pana.

Wychodzi.

.....
²⁰ W tekście, prawdopodobnie przez niedopatrzenie, autor używa imienia Justyn dla służącego.

MAREX

(przy telefonie.)

Halo!... Halo!... Jest tam ktoś?... Halo!... Halo!...

Cisza.

PAN RIVOIRE

Nie odpowiada?

MAREX

Nie.

(do słuchawki.)

Halo!... Halo!...

PANI RIVOIRE

(do Marexa.)

Pewnie znów przerwało połączenie. To jest niedopuszczalne!

PAN RIVOIRE

(do Marexa.)

Ciągle to samo. Jak nie podejdzie się zaraz do telefonu, to od razu...

MAREX

Wszędzie tak samo. Doprawdy, nie ma się czym przejmować. Moja żona z pewnością jeszcze zadzwoni i tyle...

Odkłada słuchawkę.

PANI RIVOIRE

podając kawę Marexowi.

Cukru?

MAREX

Dziękuję pięknie, ale nigdy nie słodzę.

PAN RIVOIRE

(z *filizanką w ręku.*)

Mój drogi, telefon to wspaniały wynalazek... no i bardzo praktyczny, tyle że jeszcze niedoskonale działający... przynajmniej we Francji.

MAREX

(*dobrodusznie, sięgając po filizankę kawy.*)

Nie trzeba tak od razu narzekać. To przecież jest wspaniały wynalazek. Mogę dzwonić nawet dwadzieścia razy dziennie, a i tak nie przyzwyczailem się jeszcze do tego cacka... to jednak mnie zadziwia. Jest w tym coś tajemniczego, ponadnaturalnego...

SŁUŻĄCY

(*przynosi butelkę.*)

Bardzo proszę.

Służący stawia butelkę na stoliku i wychodzi.

PAN RIVOIRE

(*do Marexa.*)

Zaraz skosztujesz wybornego szampana, rocznik 1857.

MAREX

Rocznik 1857!

PAN RIVOIRE

Po prostu delicje!

PANI RIVOIRE

Proboszcz z Vitré sprzedaje szampana po 50 franków za butelkę.

PAN RIVOIRE

Nie zawracaj mu głowy. Niech wreszcie skosztuje!

MAREX

(rozkoszując się szampanem.)

Coś wspaniałego! Miałeś rację, delicje!

PAN RIVOIRE

(częstując go papierosami.)

Dobrze wam tam w pałacu?

MAREX

Źle, szczerze mówiąc bardzo źle. Już go nie wynajmę w przyszłym roku na wakacje.

PANI RIVOIRE

Opuszczacie nas?

MAREX

Wyberzemy się do Turenii²¹. Jest bliżej do Paryża... i będzie więcej rozrywek!

PAN RIVOIRE

Dużo was kosztuje?

MAREX

Zbyt dużo. Zresztą chodzi nie tylko o koszty, lecz także o samo miejsce: jesteśmy na odludziu! Odcięci od reszty świata. Żeby dostać się do Paryża, muszę przesiadać się aż trzy razy. To kłopotliwe dla kogoś, kto jak ja prowadzi interesy. Właśnie z tego powodu zainstalowałem telefon... kosztowało mnie to fortunę!

PANI RIVOIRE

To mnie nie dziwi, zważywszy na odległość między Luxeuil²² i Servon...

.....
²¹ Touraine, kraina historyczno-geograficzna we Francji leżąca w dorzeczu Loary, Cher, Indre i Vienne.

²² Miejsowość i gmina w regionie Burgundia-Franche-Comté, w departamencie Górna Saona.

Dzwoni telefon.

MAREX

(podchodzi do aparatu.)

Tak, to jest kawałek! – Halo!... Halo!... Ach, to ty, moja droga! Tak... miałem przyjemną podróż. Tutaj wszyscy są w jak najlepszym zdrowiu... A co u was? Jeszcze nie położyliście się spać?... Błażeja nie ma?... ale to rozumiałe... ależ oczywiście... dobrze zrobiłaś... Hania jak zwykle przesadza... biedaczek!... powiedziałaś mu, żeby w drodze powrotnej wziął powóz?... To bardzo dobrze. – Mam nadzieję, że nie obawiacie się niczego?... coś takiego?... Jakieś dziwne odgłosy?... psy?... przecież co wieczór się tak zachowują. Przypominasz sobie te wrzaski? To było w zeszły poniedziałek... Ależ ta Hania jest strachliwa!... Gorzej niż z dzieckiem... Mały już śpi?... Nie... czekacie na Błażeja?... jednak nie śpi?... dzwonek go obudził?... poproś go do telefonu... – Witaj, mój mały... spałeś?... jeśli byłeś grzeczny, to jak wrócę...

(do Rivoire'a, śmiejąc się.)

Nie umie utrzymać słuchawki...

(do słuchawki.)

Powiedz mu, że być może będzie miał tę swoją młodszą siostrzyczkę... Wiesz, przemyślałem wszystko i może moglibyśmy mu ją dać...

(śmieje się.)

Można by ją kupić, zupełnie nową... tak... – Że jak? Co się tam dzieje?... Hania znów coś słyszy?... To ty, Haniu?... Ty się już nigdy nie zmienisz!... Hałas?... co?... jakie hałas?... Ale czego się obawiasz?... Przecież pozamykałyście dokładnie drzwi i okna... to jest jakieś szaleństwo!... Śpijcie spokojnie, bez obaw!... Błażej zaraz wróci...

(śmieje się.)

Od dzisiaj zabraniam wam czytać kroniki wypadków w „Dzienniku Ilustrowanym”: to bardzo źle na was wpływa...

(z czułością.)

Już dobrze... dobranoc... do widzenia, moja droga żono... do jutra... to jest jednak niesamowite: mam wrażenie, że jesteś obok mnie... słyszę twój głos... widzę twoje ruchy... właściwie jakbym ciebie całą widział... tak, kochanie, widzę cię... moja najdroższa...

Przesyła jej ucałowania.

PANI RIVOIRE

(żartobliwie.)

Jak dwa gołąbeczki!

PAN RIVOIRE

(też żartobliwie.)

I w ogóle nie łamię konwenansów.

MAREX

(do słuchawki.)

No i nasi przyjaciele żartują sobie z nas... ależ nic się nie stało... w takim razie do jutra, moja droga... tak... do jutra...

Marex odkłada słuchawkę.

PAN RIVOIRE

Gdyby tylko nas tu nie było...

PANI RIVOIRE

To kto wie, do czego by tu doszło.

PAN RIVOIRE

Na szczęście dzieli ich odległość...

MAREX

Jedyne siedemdziesiąt kilometrów...

PAN RIVOIRE

Twoja kawa jest już zimna.

MAREX

To nic.

(pije.)

Wyobraźcie sobie, nasza stara i oddana służąca jest tak strachliwa, że nie da się tego opisać. Najmniejszy hałas budzi w niej lęk. Jest przekonana, że wszędzie czyhają złodzieje... mordercy...

Pan Rivoire zapala papierosa.

PAN RIVOIRE

A okolica jest spokojna?

MAREX

Bardzo spokojna... przynajmniej tak myślę... jak wszędzie. Mieszkamy na uboczu... daleko mamy do wsi, ale...

PANI RIVOIRE

Macie służącego, który śpi w domu pod pana nieobecność?

MAREX

Tak. Jest u nas Błażej, bardzo sumienny chłopak, ale właśnie musiał się udać do mamy, jest bardzo chora.

PAN RIVOIRE

Hmm... tak więc twoja żona i służąca są teraz same?

MAREX

Przez jakąś godzinę lub dwie! Nie będę ukrywał, że mnie to nieco niepokoi... nie chciałem tego mówić Marcie. Zresztą, co ona mogła zrobić w tej sprawie, nie mogła przecież zatrzymywać Błażeja... *(zmieniając ton głosu.)*

Nie ma żadnego niebezpieczeństwa! To jednak śmieszne, żeby od razu myśleć o najgorszym!

PANI RIVOIRE

Mój Boże! Wie pan, nigdy za wiele ostrożności. Ostatnio tyle się pisze w gazetach o takich strasznych rzeczach!

MAREX

(śmiejąc się.)

Pani też jest jak Hania.

Dzwoni telefon.

PAN RIVOIRE

(podchodzi do telefonu.)

Co tam znowu?

(do słuchawki.)

Słucham?... Aha...

(do Marexa.)

To twoja żona.

Podaje mu słuchawkę.

MAREX

(trochę poruszony, wstaje i podchodzi do telefonu.)

To ty?... Och! Masz jakiś dziwny głos! Co się dzieje?... Słyszycie kroki... te same, co przed chwilą... w ogrodzie... Może to Błażej?... Jesteście tego pewne?... To pewnie psy biegają po piasku... odgłosy jak gdyby ktoś się skradał?... tuż przy drzwiach... Sam nie wiem! Marto, proszę cię, nie szalej!... Słyszysz mnie?... Tak, błagam cię... dziecko płacze... słyszę... Przestraszyłyście małego... uspokójcie się... na Boga, uspokójcie się wreszcie!... Hania jest winna tej niepotrzebnej panice... udzieliło ci się od niej... Ależ przecież słyszę, że się boisz... Po prostu się boisz! – Za drzwiami?... Co ty?... to niemożliwe... Ach! Nie trać głowy!... Posłuchaj mnie: zaraz cię uspokoję... jak? To proste... w szufladzie jest rewolwer... wiesz... jest naładowany... Posłuchaj mnie: otwórz lekko okno... – Boisz się? Ty? Zawsze odważna?... teraz się boisz?... Jak otworzysz lekko okno, to oddaj strzał... to powinno odstraszyć... o ile w ogóle ktoś tam jest... Ale nie sądzę, by tam ktoś był, to po prostu niemożliwe... He?... to może jakie zwierzę?... nie wiem, może lis?... proszę cię, za-

chowaj zimną krew! Rób to, co ci mówię: oddaj strzał... tylko uważaj, żebyś się nie zraniła... uspokój dziecko, żeby się nie bało... po prostu zrób to, co ci powiedziałem... czekam... zaraz mi powiesz...

PAN RIVOIRE

(*wstaje, poruszony, do Marexa.*)

Co się dzieje?!

MAREX

(*do pana Rivoire'a.*)

Mój drogi, obie wpadły w panikę. Po prostu oszalały! Mówią, że słyszą jakieś odgłosy, kroki, nawet zgrzytanie... wiele rzeczy słyszą... i to wszystko tuż za drzwiami... straciły głowę! Gdyby chociaż był jakiś pociąg o tej porze, to nie wahałbym się natychmiast wrócić do domu...

PAN RIVOIRE

A może zadzwoniłbyś do najbliższej wsi?

MAREX

Nie mają telefonu. Nasz telefon jest podłączony pod Luxeuil.

PAN RIVOIRE

To tam zadzwoń. Najlepiej na pocztę, niech kogoś tam wyśłą!

MAREX

Ale to za daleko! Ach!... Ja też zaczynam się bać²³! Jestem... sam nie wiem, co robię!

Marex opiera się na stole.

.....
²³ Chociaż wszyscy już zrozumieli, że Marex odczuwa przerażenie, de Lorde uważa za konieczne, aby bohater skomentował stan, w jakim się znajdował (złośliwi twierdzili, że owe komentarze były skierowane do tych widzów, którzy mieli miejsca w ostatnich rzędach). Jak słusznie zauważył Michel Corvin, dramaturgia Grand-Guignol, obok przemocy fizycznej, próbowała wywołać grozę za pomocą sugestywnych opisów – we francuskim piśmiennictwie to zjawisko określane jest jako „dramaturgia słowa” (*dramaturgie de la parole*).

PAN RIVOIRE

Przyjacielu, opanuj się...

PANI RIVOIRE

Pana też dopadło?....

MAREX

Tak, niestety.

(*myśli.*)

Gdyby chociaż Błażej był na miejscu...

PAN RIVOIRE

Przecież nie będziesz się teraz dręczył... to idiotyczne...

MAREX

Tak, masz rację... to idiotyczne

(*do słuchawki.*)

Że jak?!... Nie ma rewolweru?! To niemożliwe!... Poszukaj lepiej!... poszukaj... wszędzie... musi być w szufladzie... a gdzie ma niby być?!... Zostawiłem go w szufladzie...

(*do Rivoire'ów.*)

Och, przyjaciele....

PAN RIVOIRE

Co takiego?!

Pan Rivoire i jego żona zbliżają się do Marexa. Ich wzburzenie będzie przybierało na sile aż do końca sceny. Stojąc obok Marexa, będą słuchać z niepokojem jego słów i przyglądać się gestykulacji.

MAREX

Jak to nie ma nic w szufladzie?!... Ktoś go musiał wziąć... Tylko kto?... Błażej?... nie?... no to kto?... chłopak?... ach! – Mów wyraźniej... nic nie słyszę... trzeszczy w słuchawce... co mówisz?... Nie!... Nie, Marto, opanuj się... błagam cię... jestem cały czas...

jestem, jestem... drzwi skrzypią... kto chce je wyważyć?... ależ to niemożliwe... okiennice są solidne!... ach! Słyszę jak cała drżysz... dziecko płacze.... – Nie róbcie tyle hałasu... uspokój go... uspokój go... – Mój mały, uspokój się, proszę... Piotrusiu, uspokój się... tak, zgaście lampę... powiedz Hani... natychmiast... może wtedy odejdą... Sam nie wiem!.. ach! Mój Boże... teraz... okiennice?... jesteś pewna?... Jest ich więcej?... za oknem też?...

PAN RIVOIRE

(podtrzymuje Marexa.)

Przyjacielu...

MAREX

(pochylony nad telefonem.)

Coś wsuwają pod okiennice... pod drzwi... chcą je wyważyć... Ach!... wołaj o pomoc, krzycz, krzycz: „Na pomoc”!... to jest straszne! Tak, masz rację... nie krzycz... nie, nie krzycz... schowaj się... uciekaj, zabierz dziecko... uciekajcie... spróbuj przez kuchnię... uciekaj... biegnij... Ach! Kto wydał z siebie ten krzyk?!... Marta?!... Marta?!... To ty krzyczałaś?! Odpowiedz!... odpowiedz wreszcie!...

PANI RIVOIRE

(przerażona, do męża.)

Trzeba zawiadomić policję.

PAN RIVOIRE

(załamany.)

Zawiadomić? To się rozgrywa siedemdziesiąt kilometrów stąd!

MAREX

(do słuchawki.)

Ach!... i wciąż te krzyki... co oni im robią?!... ktoś ich morduje... podcina gardła... Ach! Na pomoc!... Łapać mordercę!... Ach!... ach!... Ach!... Na pomoc!

PAN RIVOIRE

Mój przyjacielu! Mój przyjacielu!

MAREX

(puszcza słuchawkę. Chce wybiec, jest oszalały, wyje. Państwo Rivoire próbują go powstrzymać).

– Na pomoc!... Łapać morderców!... na pomoc!... ach! Na pomoc!...

KURTYNA

Cierpiący na nerwicę lękową André de Lorde (1871–1942) napisał wiele sztuk, które jeszcze w latach 20. XX wieku przejmowały paryżan szczerym strachem. Jego utwory na stałe weszły do repertuaru teatru Grand-Guignol (1897–1962), znanego przede wszystkim dzięki mrozącym krew w żyłach widowiskom. Tryskająca krew, wydłubywanie oczu, wbijanie na pal, skalpowanie czy przebijanie nożem serca stały się typowymi składnikami nowego makabrycznego gatunku. Owa scena, która szybko zyskała międzynarodową sławę – stając się obok wieży Eiffla i katedry Notre-Dame jednym z najatrakcyjniejszych miejsc na turystycznej mapie francuskiej stolicy – wyspecjalizowała się w ukazywaniu przerażających obrazów, które miały doprowadzić widza na skraj załamania nerwowego. Na sali czuwał nawet zatrudniony lekarz gotowy udzielić pierwszej pomocy osobom o wyjątkowo słabych nerwach. Wspomnieć tu trzeba, że liczba omdleń i spazmatycznych reakcji widowni decydowała o sukcesie lub o fiasku przedstawienia. Publiczność odwiedzała ochoczo paryskie centrum potworności, w którym epatowano okrucieństwem i wyrafinowanymi torturami, aby odreagować autentyczne lęki czy dać upust swym ukrytym, często sadystycznym potrzebom.

Tomasz Kaczmarek



**WYDAWNICTWO
UNIwersYTETU
ŁÓDZKIEGO**

🌐 wydawnictwo.uni.lodz.pl
@ ksiegarnia@uni.lodz.pl
☎ (42) 665 58 63

Książka dostępna również
jako e-book

ISBN 978-83-8142-958-0



9 788381 429580